

ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXXI.

ROK VIII.

TOM III. — ZESZYT III.

Wrzesień.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

1883.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 1 Września 1883 r.

SOCYALIŚCI Z KATEDRY.

(Friederich v. Baerenbach: Die Socialwissenschaften—zur Orientirung in den socialwissenschaftlichen Schulen und Systemen der Gegenwart. Leipzig, 1882. — John Rae: The socialists of the chair w Contemporary Revue. February, 1881.—Główne zasady teoryi polityki ekonomicznéj od Ad. Smitha do teraźniejszych czasów. I. Iwaniukowa, przekład z rosyjskiego. Warszawa, 1883).

Publicysta niemiecki, zastanawiając się przed kilku miesiącami w „Gazecie Augsburskiéj“ nad stosunkiem państwa do społeczeństwa, w dosadnych rysach zaznaczał położenie dzisiejsze. „W filozofii prawa—mówi on—nazywamy społeczeństwem: osoby, rodziny, stowarzyszenia, koła i kółka wszelkiego rodzaju, cały ogół związany mnogością wspólnych, a większą jeszcze bodaj sprzecznych interesów, plączących się i krzyżujących bez końca; otóż ta masa narodu wśród któréj odbywają się: obrót czyli zamiana, sprzedaż i kupno, pożyczki, rozrachunki, likwidacye i t. d., słyszy dzisiaj pod swemi stopami jakieś drgania nieznane, jakby głuche grzmoty podziemne, zwiastuny bliskich wstrząśnień. Państwo tymczasem, owa skoncentrowana siła związku politycznego, z ręką opartą na drucie telegraficznym przeprowadzonym do ministeryum wojny, wygląda skąd się pokaże niebezpieczeństwo, aby podać sygnał obrony. Czy ten drut jest jedynym łącznikiem pomiędzy państwem a społeczeństwem?“

Długo, bardzo długo liberalizm europejski twierdził stanowczo, że społeczeństwo innego łącznika z państwem nie potrzebuje, dzisiaj jednakże zdania przeciwne większéj nabierają powagi, coraz dobitniéj i coraz silniéj odzywają się głosy, nie samych tylko polityków ale i uczonych, domagające się interwencyi prawodawstwa

i czynnéj akcyi władz państwowych w ekonomicznych interesach narodów. Ekonomistów szkoły klasycznéj, mieniących się prawymi potomkami Adama Smith'a, przezwano pogardliwie trochę manczesterczykami, ich teorye wolnohandlarskiemi; liczne dezercye z ich szeregów znamionują w nauce kierunek nowy, powstający przeciwko wyłączności teoryi nieograniczonego spółzawodnictwa, która, wolność handlu podnosi do znaczenia dogmatu jedynie zbawczego, prorokując że ona jedynie, przez wszystkie burze rewolucyi politycznych i społecznych, przeprowadzić może społeczeństwa nowożytne do portu bezpiecznego, najkorzystniejszych dla wszystkich obrotów handlowych. Przeciwko zbawienności i prawdzie tych teoryi protestuje dzisiaj na katedrach uniwersytetów niemieckich wielu profesorów, perorując wymownie, że czas już zaprowadzić porządek w społeczeństwie, że wolność sama pojęta abstrakcyjnie jako prawo każdego człowieka, niekoniecznie do błogiego doprowadza stanu, że trzeba to pojęcie wypełnić treścią realną; zachęcają oni do najpilniejszego badania zjawisk życia społecznego, twierdząc, że taka dopiero metoda naukowa doprowadzić może do wniosków zgodnych z warunkami życia i wskazać drogi do reformy prawdziwie użytecznéj.

Ekonomia polityczna, oparta na teoryi wartości, produkcyi i wolnego handlu, zrodziła się w Anglii, gdzie wówczas przemysł był już silnie rozwinięty a interesa handlowe górowały po nad wszystkiemi innémi; tam ma ona i dzisiaj wielu zwolenników, bo powaga jéj odżywia się ciągle czerpanemi z życia pobudkami najrealniejszych interesów. Przeniesiona na ląd europejski w jednéj Francyi znalazła dla siebie grunt właściwy, z którego czerpać mogła soki żywotne; daléj szerzyła się już tylko w książkach jako teorya zbudowana logicznie, jako nauka do opracowania szkolnego bardzo przydatna; zajęli się téż nią wszędzie uczeni, ale publiczność interesowała się nią bardzo mało. W krajach niemieckich i słowiańskich, dla ludzi czynnych, pracujących na polu gospodarstwa i przemysłu, wolność handlu była rzeczą mało pożądaną, a jéj teorya zdała się być zawiłym traktatem o pojęciach oderwanych, które nie miały styczności z interesami żywo ich zajmującymi. Jednakże, na licznych uniwersytetach niemieckich istniały oddawna katedry nauk państwowych, profesorowie tameczni przyswoili sobie teorye Rikardo i Maltusa i obrabiali je zgodnie z tradycyami szkolnemi, trzymając się raczéj litery niż ducha i mniéj dbając o to czy ściśle formuły biegłych w logice Anglików znajdują odpowiedni dla siebie materyał w stosunkach gospodarskich krajów niemieckich. Znaczenie głębokich myśli Adama Smith'a zacieśniało się

coraz bardziéj w formułkach nauki niby klasycznéj, którą sprowadzono do czystéj teoryi produkcyi i zamiany, pozostawiając wolnéj konkurencyi rozwiązywanie wszelkich kwestyi praktycznych. Wtedy mógł Lassalle powiedzieć: „Weźcie szpaka, nauczcie go powtarzać na kilka tonów: zamiana, zamiana, zamiana, a będziecie mieli bardzo biegłego ekonomistę."

Jednakże, pomimo tego wycieńczenia teoryi w szkole, myśli rzucone przez Smith'a w pracownię ducha ludzkiego zrodziły tam bez porównania lepsze owoce; liberalizm wieku dziewiętnastego, na który napadać dzisiaj wchodzi już w zwyczaj i modę, czerpał z téj skarbnicy pełnemi rękami, i nie mało wyszło z niéj praw i instytucyi pożytecznych dla wszystkich narodów. Zasada swobodnego współzawodnictwa przesączała się stopniowo we wszystkie prawodawstwa, była i jest dotąd jednym z najskuteczniejszych bodźców do rozwijania sił ekonomicznych a zarazem i umysłowych, była dźwignią cywilizacyjną, która nie mniéj może jak głoszone w wieku szesnastym prawo wolnéj myśli, przyczyniła się do kształcenia ludzkości, pobudzając każdą jednostkę do śmielszego spożytkowania swych zdolności i talentów. Dzisiaj, kiedy długie jéj panowanie wykazało, że i ona jak wszystkie rzeczy ludzkie, może mieć złe strony i nie zawsze działa pomyślnie na układające się pod jéj wyłącznym panowaniem stosunki gospodarskie, ulega już ona licznym zarzutom i napaściom nawet. Pierwsi socyaliści rzucili na nią kamień potępienia, dla tego że sami budują odmienną wprawdzie ale nie mniéj bezwzględną teoryą porządku społecznego, opartego na poczuciu obowiązku i na sprawiedliwości, która ma być ściśle wymierzaną każdemu przez władze hierarchicznie zorganizowane. Politycy praktyczni i poważni uczeni, chociaż nie sądzą aby możliwém było wyrwać z serc ludzkich popęd do spółzawodnictwa, ani téż myślą iżby to korzystném być mogło pod jakimkolwiekbądź względem, jednak medytują nad wynalezieniem środków ograniczenia tych wybujałości, w jakie wpadać musi każda dążność człowieka, skoro nie znajduje przeciwwagi w swém otoczeniu. Stąd powstały prace około budowania na gruncie wszystkich nauk społecznych wyższéj ich filozofii nazwanéj—socyologią; z tego kierunku téż wytworzyła się w Niemczech szkoła ekonomistów, których przezwano socyalistami z katedry; dla tego ks. Bismark powtarza w parlamencie, że pożyteczném będzie na kółka machiny rządowéj wylać trochę oleju socyalnego; a wszyscy statyści kierujący polityką państw europejskich stwierdzają kolejno gotowość swoją i chęć żywą przystąpienia do reform społecznych.

I.

Socyalizm naukowy dzisiejszy nie jest wcale samorodkiem, zjawiającym się za dni naszych bez poprzedników, zaczątki jego odnaleźć łatwo w pracach ekonomisty, którego imię w swoim czasie było w Niemczech bardzo popularne. Fryderyk List (1789—1846) nie odbywał studyów uniwersyteckich, a w pierwszym dziesiątku lat naszego stulecia rozpoczął swój zawód od służby rządowéj na stanowisku bardzo podrzędném w Wirtembergii; niepospolite zdolności doprowadziły go w lat kilka do urzędu starszego referenta przy ministrze Wagenheimie, który, po kongresie wiedeńskim polecił go senatowi uniwersytetu w Tübindze na profesora nauk państwowych; zajmował on tam katedrę tylko dwa lata (1817—1819), bo wskutek rozwielmożniającéj się coraz bardziéj reakcyi musiał ją opuścić. Potém jako deputowany w sejmie Wirtemberskim agitował energicznie myśl podania do rządu petycyi o naprawę administracyi i ukrócenie jéj nadużyć, a ta agitacya zaprowadziła go do więzienia i na wygnanie; odjechał więc do Ameryki. Stosunki ekonomiczne nowego świata, nauczyły go wielu rzeczy na które w Europie mniéj zwracano uwagi, pisywał ztamtąd ciągle do rozmaitych gazet niemieckich a w roku 1832 wrócił do Europy i osiadł w Hamburgu, a potém w Lipsku jako konsul amerykański, tolerowano go w tym charakterze lat kilkanaście. Ale opinie liberalne nie popłacały wtedy w Niemczech, w roku téż 1846 znalazł się on znowu w więzieniu w Kufsteinie i tam sobie życie odebrał.

Podczas długiego peryodu wojen napoleońskich, kiedy granice wszystkich krajów Europy zamknięte były dla wyrobów angielskich, zaczęto wszędzie zakładać i urządzać fabryki na większą skalę; po kongresie wiedeńskim otworzono granice i wszystkie nowo powstałe fabryki znalazły się wtedy w bardzo smutném położeniu, bo nie mogły jeszcze wytrzymać konkurencyi z Anglikami. Strwożeni fabrykanci, szukając dla siebie ratunku, zaczęli zgłaszać się do rządów, domagając się ustanowienia ceł protekcyjnych. List zaraz wziął czynny udział w tym ruchu i stanął na czele jednego ze stowarzyszeń przemysłowych w południowych Niemczech; ale, umysł bystry i patryotyzm szczery nie pozwoliły mu długo myśleć o interesie kilkunastu fabrykantów, zaciągał więc do stowarzyszenia swego obywateli z rozmaitych kraików niemieckich i podjął tam sprawę przemysłu narodowego. Rzucił myśl związku celnego całych Niemiec, któryby zniósł cła pobierane na granicach państw oddzielnych, ułatwił przez to obrót wewnętrzny, na granicy zaś

ogólnéj ustanowił cła odpowiednie od wyrobów przywożonych z obcych krajów, cła prawdziwie opiekuńcze, tak iżby pod ich osłoną mogła się rozwijać praca a przedsiębiorczość przemysłowa dojść do znaczenia poważnego i spotęgować siły całego narodu. Lista nazywają dotąd ojcem związku celnego niemieckiego, którego projekt rozwinął jeszcze przed wygnaniem do Ameryki, a ztamtąd nie przestawał go popierać najenergiczniéj; kiedy zaś rozpoczęto budowanie kolei żelaznych, on pierwszy wskazywał najkorzystniejsze kierunki linii, nakreślił plan całéj sieci kolejowéj dla ułatwienia stosunków handlowych i aż do śmierci zajmował się czynnie temi dwoma wielkiemi sprawami swojéj ojczyzny.

Na uniwersytetach tymczasem, profesorowie ekonomii głosili pożytki wolnego handlu i swobodnéj konkurencyi, List widział w tém potępienie czynności całego swego życia, powstał więc przeciwko nim, własne poglądy ułożył w całość teoretyczną i wydał w r. 1841 główną swą pracę naukową „Das nationale system der politischen Oekonomie," pełną myśli zdrowych i pojęć czerpanych z praktyki interesów. Nie szczędzi on w niéj zarzutów ekonomistom angielskim, nie tyle jednak im się sprzeciwia ile raczéj chce dopełnić ich teorye, wytykając im jednostronność, zajmowanie się tylko techniczną stroną produkcyi, procesem wytwarzania wartości i zamiany. Dla Lista o wiele ważniejszém jest badanie saméj natury i organicznego rozwijania się sił produkcyjnych, bo jak powiada, dla narodu daleko większe znaczenie mieć muszą siły wytwarzające bogactwo, a niżeli wartości już wyrobione i ich zamiana; zarzuca więc Smithowi a bardziéj jeszcze jego następcom, że traktują interesa ekonomiczne jako abstrakcye, rezonują o podziale pracy, o wartości, o zamianie, zapominając o ludziach, którzy są siłą twórczą wartości i dla których pożytku i dobra odbywa się wszelka zamiana. List nie zaprzecza, że teorya produkcyi sama przez się jest wielce użyteczną dla nauki i praktyki, ale dowodzi, że obrabianie jéj abstrakcyjne sprowadza naukę ekonomiczną do materyalizmu, partykularyzmu i kosmopolityzmu. W człowieku każe ono upatrywać jednę tylko sprężynę działania, regulującą wszystkie jego czynności gospodarskie, mianowicie interes osobisty czyli egoizm, co prawdą nie jest, bo człowiek ulega najrozmaitszym wpływom i pobudkom, a chociaż każdy interes pojedyńczo wzięty nie może tracić z widoku korzyści bezpośrednich, jednakże czynność gospodarska całego życia ludzkiego musi się stosować do innych jeszcze celów. Uznanie egoizmu za jedyną pobudkę w sprawach ekonomicznych prowadzi ekonomistów do zajmowania się zawsze tylko pojedyńczemi gospodarstwami, nadaje to nauce cechy

partykularyzmu, bo niezwraca ona zgoła uwagi na związki organiczne łączące gospodarstwa pomiędzy sobą; dlatego też musi ona być kosmopolityczną i każdego producenta stawić wobec obrotu handlowego całego świata. Rzeczy jednak inaczéj się dzieją, pomiędzy oddzielnym wytwórcą a interesami handlu wszechświatowego, stoi zawsze jako członek pośredni — interes narodowy; przedsiębiorca działa wśród narodu, którego stanowi cząstkę składową, więc interesa narodu koniecznie warunkują wszystkie czynności i urządzenia przemysłowe.

Każdy naród, dość liczny ażeby wytworzyć sobie warunki istnienia jako państwo oddzielne, jeżeli na swém terytoryum posiada materyał do wszechstronnego rozwoju ekonomicznego, musi się urządzać jako gospodarstwo, do pewnego stopnia przynajmniéj sobie same wystarczające; wobec innych narodów musi uważać siebie za solidarną całostkę gospodarczą, któréj interesa mają swój własny punkt ciążenia, a która wyróżnia się od innych gospodarstw narodowych. Wśród narodu żyjącego samoistnie rodzą się ciągle i rozwijają bez końca wspólne interesa ekonomiczne, które wzmacniają i zacieśniają związek państwowy i służą za jednę z najważniejszych spójni podtrzymujących siłę polityczną. Jeżeliby nawet rządy mniéj dbały o interesa narodu, one same będą się grupować i łączyć w pewne związki, szukając wzajemnéj podpory; naprzykład bank centralny, bez którego obejść się nie może kraj z ożywionym przemysłem, może się sam wytworzyć, a stanowić on będzie węzeł bardzo silny, organizując w jednę całość delikatne stosunki kredytowe; linia kolei żelaznéj solidaryzuje interesa téj części kraju przez którą przechodzi, a cała sieć kolei odpowiednio narzucona może scentralizować w danym punkcie obrót handlowy niezmiernych obszarów. Otóż w takim związku t. j. w narodzie chodzi przedewszystkiem o kształcenie i rozwijanie sił wytwórczych.

Stan obecny każdego narodu jest wynikiem nagromadzenia pracy i wysileń, odkryć, ulepszeń i wynalazków przeszłych jego pokoleń, wszystkie one razem stanowią kapitał duchowy ludzi żyjących dzisiaj, którzy o tyle tylko utrzymać się mogą na odpowiednim stopniu produkcyjności, o ile potrafią przyswoić sobie nabytki przeszłości i powiększyć je własną pracą. Więc uczony ekonomista powinien przedewszystkiem badać stan sił wytwórczych swego narodu, bo nie wartości materyalne przezeń nagromadzone, ale siły jego twórcze mogą dopiero stanowić o prawdziwym stopniu bogactwa i potęgi kraju. Sama teorya wartości i zamiany nie jest w stanie wyjaśnić wszystkich zjawisk ekonomicznych. Wszakże właściciel niewolników hodując swój towar rozmnaża swoje wartości zamienne,

ale szerząc koło siebie zepsucie, czyż nie niszczy sił wytwórczych przyszłych pokoleń. Jeżeli w jakiéj rodzinie usiłowania będą stale zwracane ku budzeniu i kształceniu sił umysłowych i talentów, a takowe z pokolenia w pokolenie nie przestaną się mnożyć i rozrastać, każda nowa jéj generacya będzie miała w swém posiadaniu coraz więcéj sił do nabywania bogactw materyalnych; inna znowu rodzina rozkoszująca się w bogactwie i poddająca lenistwu, będzie się stawała coraz uboższą w myśli, siły umysłowe w niéj wyjałowieją, nakoniec zapanuje tam głupota, a udział jéj w posiadaniu bogactw niegdyś nabytych musi się przez to zmniejszać.

Człowiek, przekonany że dbanie o przyszłość jest jego obowiązkiem, zwracać musi swe myśli i siły ku zabezpieczeniu pomyślności swego potomstwa. O ile młode pokolenia nawykać będą do życia czynnego i myślenia porządnego, o ile rozum ich będzie lepiéj kształcony, uczucia szlachetne mądrzéj rozwijane, ciało zdrowo i krzepko hodowane, o tyle więcéj wysileń zrobić potrafią. Żeby wysilenia te nie marnowały się, każdy musi mieć zapewnioną możność używania sił swoich ku polepszeniu własnego położenia; im mniéj więc prawna działalność człowieka będzie ograniczoną, im lepiéj owoc pracy będzie każdemu zabezpieczony, jeżeli obok tego pracowitość i ład w życiu będą mogły zapewnić każdemu uznanie i poszanowanie wśród współobywateli, a duch nie wpadnie pod panowanie pojęć fałszywych czy błędnych, niewiadomości czy przesądów — tém lepiéj potrafi człowiek użyć sił ciała i ducha, tém więcéj napręży swą czynność, więcéj dokaże i zrobi, tém lepiéj też potrafi użyć owoców swéj pracy.

Wypowiadając wszystkie te niezaprzeczenie zdrowe i prawdziwe myśli, List zaznaczał w szerokich rysach koleje rozwijania się życia ekonomicznego narodów. Kraj, w którym ludność nie jest liczna, a stopień jéj wykszałcenia nie wysoki, może być tylko wyłącznie rolniczym; w takim stanie rzeczy wolność handlu jest dobrodziejstwem dla narodu, bo ułatwia stosunki jego z innemi wyżéj cywilizowanemi ludami, od których dostaje wszystkiego czego mu potrzeba do zaspokojenia słabo jeszcze odczuwanych wyższych czy wykwintniejszych potrzeb. Z czasem coraz to większa liczba ludzi oswaja się z temi potrzebami, stają się one dla nich niezbędnemi i rozpoczynają się próby zaprowadzenia własnych rękodzieł. Kiedy praca około przeróbki miejscowych materyałów surowych nabierze już pewnéj żywotności i znaczenia, co dziać się może tylko jednocześnie z rozmnożeniem się ludności i podniesieniem w pośród niéj oświaty, powinna w polityce ekonomicznéj występować na plan pierwszy opieka nad przemysłem, cła ochronne stają

się wtedy potrzebą najżywotniejszą, koniecznością, bez któréj początkujący przemysł ani się wzmocnić ani nawet utrzymać nie może. Otwierające się coraz szerzéj źródła coraz obfitszych zarobków dają środki wyżywienia zgęszczonéj ludności, praca przemysłowa oddziaływa na kształcenie się coraz większéj liczby osób i pod opieką ceł, przemysł nabiera siły prawdziwie żywotnéj, która pozwala mu lepiéj się organizować, przybrać charakter swój własny, miejscowy czy narodowy i daje możność spółzawodniczyć z innemi krajami. Skoro już przemysł krajowy jest dość silny ażeby walczyć o lepsze z zagranicą, cła ochronne powinny być stopniowo znoszone, bo wtedy nie będą już bodźcem lecz hamulcem tylko, tamującym energią w rozwoju sił narodowych, spółzawodnictwo zaś przy równym stopniu umiejętności technicznéj, przenosi się na pole nowych ulepszeń, ułatwień w komunikacyach lądowych i wodnych, biegłości w samym organizowaniu i prowadzeniu interesów.

Taka była treść „Systematu ekonomii narodowéj,“ któréj autor długo uważanym był za marzyciela, za fantastę samouka, niepojmującego celów i zadań prawdziwéj nauki; tradycye szkolne, lubujące się w abstrakcyjném traktowaniu zdań naukowych i powaga imion Smith'a, Rikardo i ich adeptów nie pozwalały myślom Lista przecisnąć się na katedry uniwersyteckie, chociaż znalazły one drogę do umysłu polityków praktycznych. Dopiero w ostatnim lat dziesiątku profesorowie niemieccy zaczęli zajmować się teoryą sił wytwórczych, dzisiejsi zaś socyaliści z katedry mienią się być dziećmi duchowemi Lista, a prof. Dühring nazywa go największym ekonomistą swojego czasu i jemu wspólnie z Carrey'em przyznaje tuż obok Smith'a najzaszczytniejsze miejsce pomiędzy prawdziwie uczonymi ekonomistami.

Wkrótce po ukazaniu się dzieła Lista, młody profesor uniwersytetu lipskiego W. Roscher ogłosił swe studya historyczne nad ekonomią narodów (1843). Książka jego od owego czasu do dni naszych już dwadzieścia kilka miała wydań, rozszerzając się i wzbogacając w treść za każdym razem i obecnie stanowi trzy duże tomy. Roscher nie buduje systematu, metoda jego, którą nazwał historyczno-fizyologiczną, polega na badaniu rozlicznych zjawisk ekonomicznych u rozmaitych ludów i stwierdza zmiany zachodzące zarówno w pojęciach ludzi o gospodarstwie i jego znaczeniu, jak i w załatwianiu praktyczném spraw i interesów gospodarstwa prywatnego i publicznego. Na drodze tych badań Roscher doszedł do przekonania, że nie istnieje zgoła żaden absolutny ideał ekonomiczny, do któregoby ludzkość dążyła i nie ma też żadnych praw niezmiennych, któreby rządziły stosunkami ludzkimi; każdy zaś

czas i niemal każdy naród miewa swoje cele służące mu za ideał gospodarski, do czasu, póki pojęcia się nie zmienią i nowe cele się nie ukażą. Ostrzega on ekonomistów, żeby się nie dawali uwodzić pojęciom oderwanym, badania swoje opierali na faktach wyłącznie i nie wpadali wbłąd objaśniania zjawisk różnorodnych koniecznie jednemi i temi samemi prawidłami; wnioski, wysnute dedukcyjnie ze studyowania natury człowieka, należy sprawdzać doświadczeniem, do czego historya dostarcza obfitego materyału; fakt zaś ekonomiczny wtedy tylko uznać można za wytłómaczony naukowo, jeżeli objaśnienia metodą dedukcyjną i indukcyjną zgodzą się pomiędzy sobą. Pomimo to jednak Roscher nie odrzuca pojęcia o prawach natury w ekonomii, owszem sam używa tego wyrażenia; twierdzi tylko, że prawa takie należy badać wszechstronnie, nie zadawalniając się rezonowaniem formalném dla ich określenia i ustalenia. Powstaje téż Roscher przeciwko niedopuszczaniu akcyi władz państwowych w sprawach przemysłu, bo działanie państwa, jako jednego z najważniejszych czynników ekonomicznych, zdaje się jemu tutaj równie naturalném jak czynność każdego rolnika, rękodzielnika lub kupca, gdyż rząd jest zawsze częścią składową organizmu społecznego, bez którego się ten ostatni nawet obejść nie może.

Prace naukowe Roschera przyczyniły się bodaj najskuteczniéj do zaszczepienia na uniwersytetach niemieckich zamiłowania w studyach ekonomiczno-historycznych, uczniowie jego podejmowali całe szeregi badań specyalnych nad rozlicznemi faktami, i wyjaśnili dużo szczegółów; zachęcał ich do tego z jednéj strony ogólny w nauce kierunek pozytywny, a z drugiéj coraz jaskrawiéj zarysowujące się teorye socyalizmu, które nagliły do głębszego studyowania stosunków społecznych. Krytyka namiętna, skierowana przez socyalistów przeciwko panującym prawom i obyczajom, wywołała ten niezaprzeczenie dobry dla nauki skutek, że wielu teoretyków oderwała od zbytniego zagłębienia się w analizę pojęć i szukania w niéj wyłącznie wskazówek do rozwiązywania wszystkich trudnosci i zagadnień. Człowieka i stosunki ludzkie postawili filozofowie socyalizmu u samego ogniska badań, a zarówno oni jak ich oponenci przyczynili się do oświetlenia wszechstronnego interesów ogólno ludzkich i wykazania, że siły żywe społeczeństw tj. ludzie nie są jedynie środkiem do wytwarzania wartości, przeciwnie wartości są, a raczéj powinny być, środkiem doprowadzającym tych co je wytworzyli, najprzód do celów elementarnych utrzymania życia i pomnożenia siły, a daléj do celów wyższych cywilizacyjnych i moralnych.

II.

Wkrótce téż okoliczności nadały nowy popęd studyom historyczno-prawnym i ekonomicznym. Organizowanie związku Niemiec północnych a w kilka lat potém cesarstwa niemieckiego, poruszyło całą masę kwestyi prawa publicznego, finansowych, handlowych i przemysłowych; trzeba je było rozwiązywać odpowiednio do nowych warunków życia wielkopaństwowego, które miało się toczyć nadal w formie, niepraktykowanéj dotąd, militaryzmu federacyjnego; jakoż nowe prawa musiały dotykać wszystkich żywotnych interesów narodu, przy czem sprawy ekonomiczne wystąpiły na pierwszy plan, wszędzie téż dyskutowano o nich z największym zapałem. Pomiędzy ludźmi traktującymi politykę ekonomiczną praktycznie przeważał kierunek liberalny, oparty na tradycyach ekonomii klasycznéj, nawet ks. Bismark przechylał się na ich stronę, zachęcając do liberalnego prawodawstwa w sprawach ekonomicznych, w nadziei zapewne, że tym okupem uwolni się od nacierania narodowo-liberalnych na atrybucye władzy rządowéj. Jednocześnie, budzący się z nową siłą po wojnie duch przedsiębiorczy, podsycany nadzieją złotego deszczu miliardów francuskich, gorączkowo rzucił się do organizowania przemysłu na wielką stopę, któraby odpowiadała ambicyi narodu, świeżo występującego na arenę polityczną jako wielkie państwo; wywołało to cały szereg błędów i nadużyć odbijających się boleśnie na stosunkach gospodarskich i na losie masy robotniczéj i torowało drogę coraz czynniejszéj i skuteczniejszéj propagandzie demokratów socyalnych. Wszystkie te okoliczności zbudziły czujność młodszych uczonych w kilku uniwersytetach niemieckich, którzy zaczęli się domagać dla władzy państwowéj: prawa interwencyi czynnéj w stosunki gospodarskie narodu i roli o wiele ważniejszéj aniżeli ta którą jéj przyznawała ekonomia klasyczna, a zarazem chcieli się dobić dla nauki głośnego uznania prawa jéj, nie tylko do badania zjawisk i kierunków życia, ale i do stawiania wskazówek jak należy rozwiązywać trudne zagadnienia praktyczne. Nauka wedle słów ich miała być sternikiem postępu.

Ludzie praktyczni, przemysłowcy, kupcy, dziennikarze, całe stronnictwo liberalne oburzone takiem odszczepieństwem od dogmatów prawomyślnéj nauki, odezwało się niechętnie dla nowych teoryi, które wprowadzić mogły rozdwojenie do ich obozu i osłabić ich siły w walce z socyalizmem; okrzyknięto więc pogardliwie „to są socyaliści na katedrach!“

Młodzi uczeni, mniéj dyplomatycznie zapewne jak na ową chwilę, odpowiedzieli na to: tak, myśmy socyaliści ale tylko na katedrach naszych, bo uznajemy w znacznéj części słuszność zarzutów i krytyki socyalizmu, nie chcemy żeby rewolucya zburzyła wszystko do czego nas doprowadziła tylo-wiekowa praca cywilizacyjna, chcemy radą mądrą i reformą spokojną naprawiać co widzimy w życiu niedobrego, chcemy ratować ludzkość od smutnego stanu do którego doprowadziła ją wasza nauka. Żądania nasze wypowiadamy wyraźnie i wzywamy do spokojnéj czysto naukowéj nad nimi dyskusyi. Jakoż w r. 1872 zwołali do Ejsenach kongres naukowy, zaprosili tam ludzi wszelkich opinii, stawiąc za jedyne warunki: uznanie ważności groźnéj już kwestyi społecznéj i wyrzeczenie się zasady laisser-faire i wszystkich wyników. Zjechało się osób 150, wszyscy prawie profesorowie ekonomii politycznéj z uniwersytetów niemieckich i wielu ludzi znanych ze stanowiska politycznego jakie zajmowali. Gneist prezydował, odczytano i dyskutowano trzy referaty: pr. Brentano z Wrocławia o prawodawstwie fabryczném, pr. Schmoller ze Strasburga o stowarzyszeniach robotników i zmowach i dr. Engel statystyk berliński o mieszkaniach dla wyrobników. Kongres ejsenachski wykazał dopiero publiczności niemieckiéj całą siłę i żywotność nowego w nauce ruchu i kierunku: stronnicy wolnego handlu przerazili się niepomału widząc dezercyą ze swych szeregów; mniemali oni, że to kilku młodych profesorów hołduje jakimś nowym mrzonkom, a spostrzegli w téj grupie niemal wszystkich ekonomistów o reputacyi ustalonéj. Wywiązała się zaraz polemika namiętna, najprzód w dziennikach i czasopismach, a następnie w coraz poważniejszych pracach naukowych. Socyaliści z katedry przyswoili sobie stanowczo rzucone im ironicznie przezwisko i w następnym roku zawiązali „Stowarzyszenie polityki socyalnéj;“ które odtąd corocznie odbywa zjazdy i konferencye, i coraz czynniéj występuje, podejmując pracę około wyjaśnienia kwestyi społecznych na zasadach wbrew przeciwnych szkole manczesterskiéj.

Wszakże i obrońcy nieograniczonéj swobody spółzawodnictwa w przemyśle i handlu nie twierdzą ani dowodzą, iżby na tym świecie wszystko działo się jak nalepiéj; ale źródło wszelkich dolegliwości społecznych, wszystkich wad czy błędów w dzisiejszéj organizacyi przemysłu, upatrują oni jedynie tylko w tych przeszkodach i zawadach, jakie czynności człowieka w swobodném jéj rozwoju stawiają, czy to władze rządowe, czy zakorzenione w społeczeństwie przesądy lub stare nawyknienia; jako jedyne zaś i na wszystko skuteczne lekarstwo przepisują—uprzątanie owych zawad i uznanie wolności bezwarunkowéj za normalne i jedyne prawo życia gospodarskiego;

dodają też, że moralne sprawy ludzkości nie wchodzą w zakres ekonomii i dlatego traktować o nich ani chcą ani mogą, dla sprowadzenia zaś na ziemię coraz większéj pomyślności jest tylko jedna droga wolność, wolność i jeszcze raz wolność w produkcyi, w zamianie, w spożywaniu; niczego więc urządzać nie ma potrzeby, a kwestya socyalna nie istnieje zgoła i jest tylko hasłem wymyślonem przez demagogów, którzy gwałtem chcą ludzi zrobić równymi a dobra tego świata podzielić pomiędzy wszystkich.

Socyaliści z katedry jako grupa, jako stronnictwo, tém głównie wyróżniają się od ekonomistów klasyków, że uznają *istnienie kwestyi społecznéj* i *obowiązek jej rozwiązywania*. Po zatém twierdzeniem ogólném, w całym ich obozie trudno doszukać się jednomyślności, bo różnią się pomiędzy sobą w bardzo wysokim stopniu nawet co do saméj definicyi na czem kwestya zależy, co do przyczyn z których powstała, a tem bardziéj co do jéj znaczenia obecnego i zaradczych na nią środków. Profesor Brentano trzyma się jeszcze ściśle twierdzeń z nauki klasycznéj a samopomoc w stowarzyszeniach uznaje za najskuteczniejszy środek działania; Wagner i Samter dowodzą: że prawo własności musi uledz znacznym modyfikacyom na drodze prawodawczéj, Schäffle zaś zaleca własność wspólną jako cel, do którego dążyć należy; wszyscy uznają prawowitość interwencyi władz rządowych w sfery interesów prywatnych, ale niemal każdy w odmiennym stopniu. Jeżeli jednak nie widzimy tam jedności w zdaniach, łatwo dają się dostrzedz wspólne wszystkim cechy, występujące najwybitniéj w zarzutach stawianych przeciwnikom i w usprawiedliwianiu przyjętego przez siebie kierunku ogólnego.

W obec dogmatyków indywidualizmu i swobody nieograniczonéj, socyaliści z katedry podnoszą prawo nauki do krytykowania wszelkiego dogmatu; praktykom, którzy ich skarżą o sprzyjanie przewrotowi społecznemu, odpowiadają, że za przykładem Dekarta i Kanta domagają się tylko dla siebie prawa powątpiewania i badania rozważnego ażali obecnie wszystko najlepiéj się dzieje, ażali prawda i sprawiedliwość istotnie panują w ustawach obowiązujących. Nie twierdzimy bynajmniéj, powiadają, ażeby ludzie byli lub musieli być pomiędzy sobą równi, ale musimy protestować przeciwko uznawaniu nierówności ludzi, wedle metody staroplatońskiéj, za fakt ściśle naturalny. Nierówność pomiędzy osobnikami ludzkimi z powodów fizyologicznych i etnicznych może być olbrzymia; ale w dzisiejszych czasach, w każdym cywilizowanym kraju, organizacya społeczna nie tyle się opiera na nierówności przyrodzonéj, ile na wytworzonéj przez kulturę; która w znacznéj części jest wynikiem obyczajów normujących stosunki ludzkie i praw działających na nie. Prawo i oby-

czaje nie są przyrodzonemi ani wiecznemi, owszem ulegają zmianom; o ile więc kultura wywołała nierówność i do rozwijania jéj się przyczynia, o tyle ma obowiązek oddziaływania na złagodzenie cierpień stąd wynikających. Główną przyczynę tych cierpień znajdujemy w bezwzględnéj zależności ubogich od bogatych; jak usunąć konieczność téj zależności ze stosunków ekonomicznych—na to odpowiedzićć może tylko badanie krytyczne tych stosunków. Wskazówki nauki wykonać potrafi już tylko odwaga reformatorów wierzących w przyszłość i w postęp; a przesądzać dzisiaj nie można czy tu wystarczy akcya samego społeczeństwa, czy téż trzeba będzie odwoływać się do prawodawstwa lub do władzy państwowéj; niewiadomo skąd wyjdzie inicyatywa czynna, ale klasy robocze muszą w ten lub inny sposób ratować się od degeneracyi, od wzrastającéj pomiędzy ludźmi nierówności tak duchowéj jak i fizycznéj.

Dla skutecznego rozwiązywania zadań organizacyi przemysłowéj, socyaliści z katedry chcą najprzód: badać działające w danym narodzie popędy psychiczne, które ulegają nadewszystko wpływowi praw i obyczajów i na tych wzorach zwykle się kształtują. Dwa szeregi przyczyn, do pewnego stopnia od siebie niezależnych, warunkują układ każdego organizmu gospodarskiego: jedne z nich są przyrodzone i techniczne, temi to głównie zajmowała się dotychczas ekonomia; drugie, gnieżdżą się w nawyknieniach narodu, w pobudkach psychiczno-obyczajowych, a tych dotąd nie badano zgoła z punktu widzenia ekonomicznego. Ekonomią wtedy tylko można będzie nazwać nauką w ścisłém tego słowa znaczeniu, kiedy potrafi zbadać i wytłómaczyć oba te szeregi przyczyn. Warunki przyrodzone stanowią podwaliny gospodarstwa narodowego, na których dopiéro przymioty moralne i warunki życia społecznego wznoszą sam gmach, budują one gospodarstwo; obie grupy razem składają się na rezultaty dotykalne. Znaczna część ekonomistów dawniejszych błądziła przypisywaniem całkowitego rezultatu jedynie tylko i bezpośrednio pierwszemu szeregowi przyczyn; chciano objaśniać na mocy danych przyrodzonych i technicznych, to co wychodzi po za granice wszelkiéj techniki; twierdzono, że z pewnych faktów naturalnych musi sam przez się wypływać pewien porządek życia i prawa, kiedy historya poucza, że się on może układać rozmaicie. Zapomniano o naturze obyczajów, prawa, o sile uczuć moralnych i myśli cywilizacyjnych, które niemniéj téż panują nad całością gospodarstwa narodowego. Istotnie, czem jest na prz. popyt?—czyż to nie będzie cząstka konkretnéj historyi obyczajów danego narodu w danym czasie; a kwestya robotnicza—czy nie zależy głównie od obyczajów klasy robotników. Wzrastanie lub obniżanie się zarobków

odpowiada w znacznym stopniu energii z jaką robotnicy umieją trzymać się pewnych potrzeb, niezbędnych dla nich, których zaspokojenie stanowi o stopie ich życia. Ekonomia polityczna nie może ograniczyć się do badania saméj techniki produkcyi, głównym jéj przedmiotem powinny być stosunki pojedyńczych gospodarstw pomiędzy sobą i stosunek ich do całości, do ogółu; chodzi więc tu przedewszystkiem o czynność przy któréj strona techniczna usuwa się prawie na plan drugi, obyczaj zaś i prawo stanowią tu o formie i kierunku.

Kwestya socyalna nie jest bynajmniéj specyalną właściwością dni naszych; w ciągu dziejów kwestye tego rodzaju powstawały nieraz i nie u jednego narodu, a nabierały one znaczenia poważnego wszędzie, gdzie praktyka życiowa stawała w sprzeczności z przeważającemi w społeczeństwie pojęciami o tém co jest sprawiedliwe. Od czasów wielkiéj rewolucyi francuskiéj nad ludzkością unosi się ideał wolności i równości; pod wpływem idei przekazanych nam z wieku ośmnastego, przegrody dzielące stany średniowieczne usuwały się jedna za drugą, w prawach zapisano wolność człowieka, a równość stała się aspiracyą tych wszystkich, którzy zajmują stanowiska niższe; tembardziéj mogą do równości wzdychać ci, którzy, nic nieposiadając, niepewni są o jutro. Pojęcia te żyją i rozwijają się w umysłach ludzkich, a obok tego rozrastający się przemysł wielki przerzadza szeregi dawniejszych rzemieślników, którzy mieli stanowiska niezależne i stanowili niegdyś zwartą masę stanu średniego; z każdym rokiem zmniejsza się ich liczba a zwiększa się ilość wyrobników żyjących z dziennego zarobku; w których życiu przeważa żywioł niepewności o chleb powszedni na dzień jutrzejszy. Prawda, że dzisiaj robotnicy lepiéj się odziewają niż przed stu laty, lepiéj się żywią i lepiéj mieszkają; ale za to w życiu ich nie ma prawie niczego stałego, a nadewszystko braknie im nadziei na trwałe polepszenie losu. Przemysł, mnożąc wielkie fabryki, powiększa zarazem szanse przypadkowe, wyrobnik żyje w ustawicznéj obawie utracenia zarobku, drogi do niezależności ścieśniają się przed nim, a jednocześnie postęp kultury zwiększa potrzeby wyrobników nawet. Kiedy więc rozwój przemysłu zdaje się usuwać z życia robotnika nadzieję lepszéj przyszłości, postęp cywilizacyi ogólnéj każe mu jéj pragnąć gwałtowniéj. Robotnik wyraźniéj odczuwa dzisiaj swoję godność osobistą; uznano jego wolność, równość z innymi w obec prawa, obdarzono go prawami politycznemi, kazano się uczyć nawet pod przymusem, powiadają mu że powinien być świadomym siły i znaczenia swojéj klasy w społeczeństwie; możnaż się dziwić, że on chce iść daléj po téj drodze, domaga się coraz większego udziału w do-

brodziejstwach cywilizacyi. Spółczesna opinia publiczna upoważnia robotnika do tych żądań, niemal jako do prawa, które mu się należy, a warunki przemysłu zdają się odsuwać od niego coraz daléj ich spełnienie. Tutaj szukać należy klucza pozycyi, bo to właśnie stanowi kwestyą socyalną dni dzisiejszych.

Socyaliści z katedry, uznając ważność kwestyi socyalnéj i konieczność szukania dróg i środków do jéj rozwiązania, wyrzekają się stanowczo wszelkiéj wspólności z demokracyą socyalną, wszelkiéj myśli o przewrocie społecznym i jakiéjkolwiek bądź dążności rewolucyjnéj. Przyjmują nazwę socyalistów, bo wedle ich pojęć socyalizmem należy nazywać każdą dążność do poddania woli jednostki pod wolę i kierunek ogółu. Ale socyalizm nie jest dla nich nauką zamkniętą, nie ma on zgoła stałego programu, a jest to myśl ogólna, widniejąca w rozmaitych dążeniach, dająca się zużytkować w rozlicznych kierunkach.

Instytucye rządzące ekonomicznemi sprawami narodów składały się zawsze, wedle słów Helda, z żywiołów indywidualistycznych i socyalistycznych. Indywidualizm—to swoboda, socyalizm—to porządek; te dwie zasady są od wieków równouprawnione, jedna drugiéj nigdy nie potrafi wykluczyć, muszą one żyć zawsze obok siebie, tylko w różnych czasach stosunek ich do siebie rozmaicie się układa. Chodzi o to, która z nich w obec nowożytnych pojęć o państwie, o prawie i o wolności ma być drugiéj podporządkowaną. Państwo jest węzłem łączącym w jedność różnorodne interesa społeczeństwa; demokracya socyalna, która pragnie znieść przyrodzoną różnorodność interesów, jest dla państwa najniebezpieczniejszą; ale socyalizm nie jest wcale partyą, ani nawet szkołą, a poprostu zasadą, która istniała zawsze we wszystkich państwach, zawsze dążyła do panowania i dążyć do niego będzie, ale nigdy nie zapanuje wyłącznie. Socyalizm jest tylko protestem, wypowiadanym w imieniu dobra ogólnego, przeciwko nadużyciom skrajnego indywidualizmu; przekonanie o konieczności pozytywnych reform społecznych jest łącznikiem wyznawców socyalizmu, mają oni wiele celów praktycznych wspólnych, ale nie wiąże ich pomiędzy sobą żaden dogmat nieomylny. Socyaliści z katedry, powiada tenże Held, rozwijają tylko w dalszym ciągu naukę ekonomii narodowéj niemieckiéj z piątego dziesiątka naszego stulecia, przybrali pewien odcień agitatorski, bo muszą walczyć na dwie strony, odkrywać błędy i niebezpieczeństwo absolutnych teoryi demokratów socyalnych a zarazem występować zaczepnie przeciwko szkole wolnohandlarskiéj, któréj propaganda była nawet korzystną, póki chodziło o usunięcie zastarzałych zawad hamujących ruch przemysłowy, ale która w Niemczech od czasu re-

formy ustawy rzemiosł z r. 1869 zaczyna sama już być zawadą do wytworzenia nowego porządku. Dążności socyalno-polityczne w nowéj swéj formie skłaniają się wyraźnie ku wzywaniu silnego ramienia władzy państwowéj, ażeby życie gospodarskie Niemiec wprowadziła na drogi prawdziwe, żądaniom robotników wymierzyła sprawiedliwość, bogatych oświecała o ich obowiązkach względem ludności wyrobniczéj, przełamała wyłączne panowanie egoizmu w życiu ekonomiczném i uzasadniła konieczność uwzględniania dobra ogółu w instytucyach przemysłowych.

III.

Boje staczane z dwoma obozami nieprzyjaciół muszą utrzymywać socyalistów z katedry w pewnéj jedności, związywać ich pomiędzy sobą i solidaryzować; jednakże zjednoczenie to daje się osiągać tylko na najwyższych punktach pojęć ogólnych, których bodaj naukowemi nazwać nawet nie można, bo są nieokreślone, zarysowane tak niewyraźnie, iż zdają się rozpływać w chęciach, w pragnieniach, w samém dążeniu do wyjaśnienia rozmaitych zawiłości ekonomicznych. Każdy z nich z równym zapałem przystępuje do naukowego badania faktów życia gospodarskiego, ale każdy téż nieco odmiennie na rzeczy się zapatruje, a formułując swe żądania, niemal każdy na czem inném się zatrzymuje. Ani partyą w znaczeniu politycznem, ani nawet szkołą w znaczeniu naukowém nazwać ich jeszcze nie można. W dziełach szczegółowo opracowanych wyjaśniają oni wiele kwestyi specyalnych, nie małą téż przeto położyli już zasługę na polu nauki. Nie mogąc streszczać tutaj tak obfitego materyału, musimy poprzestać na przypatrzeniu się twierdzeniom kilku z pomiędzy nich, którzy z ogólniejszego filozoficznego stanowiska samą kwestyą socyalną traktowali.

Dr. v. Scheel profesor uniwersytetu berneńskiego, pierwszy, o ile nam wiadomo, wskazywał na genezę kwestyi socyalnéj, oraz wyjaśniał jéj znaczenie i stosunek jéj do celów i dążności różnych stronnictw politycznych. Nawołuje on rząd cesarski niemiecki, a ogólniéj rzeczy biorąc władze państwowe, do przeprowadzenia reformy społecznéj, ale nie wskazuje żadnego reformy programu; ogranicza się więc do wyrażenia życzeń i podawania rad, mądrych niewątpliwie i wyrażających najlepsze chęci, których cel jednak zdaje się rozpływać w dość mglistém pojęciu dobra ogólnego. Polityka socyalna, powiada on, jest sztuką i zarazem umiejętnością urządzania społeczeństwa; urządzenie wychodzić może tylko od władzy obejmują-

céj całość stosunków, a więc—od państwa, bez którego, dzisiejszych społeczeństw nawet wyobrazić sobie byśmy nie mogli. Z tego wynika, że państwo musi być organem każdéj reformy, a to dlatego, iż polityka jego powinna się kierować wspólnemi wszystkim zasadniczemi poglądami na prawo, trzymać się obyczaju narodowego i jednocześnie z prawem i obyczajami rozwijać się postępowo. Na każdym stopniu rozwoju cywilizacyi, u wszystkich narodów spotykamy przeciwieństwa pomiędzy partyami społeczno-politycznemi; główny powód i podstawa pierwotna tych różnic leży w tém: iż jedni mają życie znośne, zadowolnieni z obecnego stanu rzeczy, chcą zachować go jak najdłużéj, zakonserwować o ile można w całości i dlatego opierają się wszelkiéj zmianie; inni znowu czują się upośledzonymi, pokrzywdzonymi, pragną wyjść ze stanowiska, jakie się im dostało w udziale, i dlatego żądają zmian; o ile komu gorzéj, tém gruntowniejszéj zmiany będzie się domagał. Na tém tle różnicy interesów, zarysowują się najrozmaitsze odcienie dążności: od konserwatyzmu i wstecznictwa, do postępu, reformy i rewolucyi.

Stronnictwo społeczno-polityczne stanowić będzie pewna ilość ludzi, mogących występować czynnie w życiu publicznėm, jeżeli dojdą do wspólnego zasadniczego poglądu na istotę i stopień uprawnienia kwestyi obchodzącéj całe społeczeństwo, jeżeli się porozumieją w jaki sposób należy ją traktować, przy czem nie potrzebują zgoła zdawać sobie jasno sprawy z celu do którego dążą, ani téż wymagać, żeby każdy przystępujący do stronnictwa miał przekonanie, naukowo zdobyte, o prawdziwości pojęć i zasad przez partyą reprezentowanych.

Sprawy społeczne z natury swojéj muszą być ciągle w stanie ruchu, ponieważ nowo rodzące się potrzeby wyrabiają sobie nowe formy stosunków; nawet sama treść zasadniczych w społeczeństwie urządzeń, chociaż niezmiernie powolnym krokiem, jednakże zmienia się z biegiem czasu; zatem—przyszłość należy do tych partyi, które stają na stanowisku postępowem t. j. w zasadach swych przyznają konieczność rozwoju towarzystwa. Ludzie, dążący do przewrotu radykalnego i prędkiego, tylko w kierunku zniszczenia mogą działać skutecznie; skrajni zachowawcy znowu nie potrafią zahamować przyrodzonego rozrastania się sił żywych, ani zniszczyć wpływu idei, które działają na ludzi nawet pomimo ich woli, z siłą jakby elementarnych praw natury; pozostaną więc po za obrębem na którym się odbywa ruch społeczny, utracić będą musieli wpływ, znaczenie, a co zatém idzie, i pozycyą swoją socyalną.

Dzisiejszy stan społeczeństw wskazuje, że wolność osobista człowieka bardzo łatwo staje się ułudą; człowiek ubogi, chociaż wol-

ny, musi iść pod panowanie bogatego, który może dostarczyć mu środków do życia; na wyższym zaś stopniu stosunków gospodarskich, przy równéj wolności, kto posiada więcéj łatwiéj będzie mógł odnieść zwycięstwo we współzawodnictwie i przez to niszczyć słabszego; więc interes społeczeństwa wymaga oddziaływania na zmniejszanie się nierówności. Chcąc zaś działać w tym kierunku, nie można, jak to czyni liberalizm dzisiejszy, zajmować się wyłącznie jednostką i otaczać gwarancyą tylko jéj interesa; owszem należy myśleć o całości społeczeństwa, zajmować się przedewszystkiem funkcyami głównego organu téj całości tj. państwa, należy określić treść wolności jednostki; inaczéj mówiąc, należy ograniczyć tę wolność, dla osiągnięcia wyższego stopnia równości. Chodzi zaś tu nie tyle o instytucye i formę ich zewnętrzną, ale raczéj o sam porządek życia, którego niedostatki naprawiać i usuwać powinna świadoma swych celów polityka socyalna; kiedy bowiem wolność i równość, takie jak je sformułował liberalizm, nie dostają się w równéj mierze bogatym i ubogim, należy szukać ideału o innych formach, a zadaniem nauki będzie wskazać go i uzasadnić.

Demokracya socyalna, jako partya dążąca do władzy politycznéj z zamiarem przekształcenia społeczeństwa—nie usunie się, nie zniknie, dopóki istnieć będą przyczyny stanowiące prawo wewnętrzne jéj bytu, dopóki prawo to daje jéj samo społeczeństwo i władza nim rządząca, nie przykładając ręki do usunięcia niedostatków, przeciwko którym ona powstaje. Możemy wymagać od niéj, żeby ideały swe pojmowała spokojniéj, z większym umiarkowaniem, żeby nie zdążała do negacyi jedynie, ale raczéj szukała idei pozytywnych możebnych do wykonania dzisiaj; pole jednak do walki społecznéj stać będzie otworem, póki nie wynajdziemy dla pojęć o wolności i równości formy prawnéj, któraby je uczyniła rzeczywistemi i prawdziwemi na polu stosunków ekonomicznych.

Ciężkie, ale na dzisiaj najważniejsze, zadanie, jakie stawić należy nauce i polityce społecznéj—to wprowadzenie w warunki życia robotników stałości i możliwéj pewności o dzień jutrzejszy, ażeby oni mogli—jako czynnik samoistny, jako warstwa społeczna zadowolniona, z usposobieniem przychylném—wejść w prąd życia cywilizacyi nowoczesnéj i przykładać się czynnie do dalszego harmonijnego jéj rozwoju.

Inny znowu, a jeden z więcéj znanych socyalistów z katedry dr. Gustaw Schmoller prf. uniwersytetu Strasburskiego, zasłużony autor „Historyi rzemiosł niemieckich w 19-m wieku,“ broniąc się przeciw zarzutom prf. Freitschkego, rozwinął teoretyczne zasady stronnictwa. Podobnie jak towarzysze, uważa on za obowiązek walczyć,

z doktryną oddającą egoizmowi wyłączny rząd nad stosunkami gospodarskiemi; protestuje też energicznie przeciwko mięszaniu pojęć i usiłowaniu piętnowania ogólną nazwą socyalizmu dążności zarówno reformatorskich jak i rewolucyjnych. Dowodzi konieczności reformy w prawie i w obyczajach, reformy, którąby doprowadziła do zmiany w urządzeniach regulujących podział wytworzonéj wartości pomiędzy czynniki produkcyi. Twierdzi wyraźnie: że przy dzisiejszéj organizacyi przemysłu robotnicy obdzielani są niesprawiedliwie, że należy się im udział większy; gdy jednak nie dostrzega żadnego prawa przyrodzonego, któreby rządziło podziałem, zależnym jedynie od ustaw i instytucyi wyrobionych przez samychże ludzi—dopomina się dla badań naukowych prawa krytyki, roztrząsania i rozwiązywania kwestyi, drażliwych zapewne, ale stawianych przez sam bieg wypadków, nie zaś dowolnie przez ludzi podejmowanych. Uczony pracuje jedynie w interesach nauki, a nauce chodzi o to, aby na te pytania znaleść odpowiedź słuszną, zgodną z prawdą a praktycznie skuteczną. Odpowiedź, jeżeli będzie owocem dobréj woli, pilnych studyów i pracowitego myślenia, utoruje drogę reformie rzeczywistéj.

Mniejsza o to kto reformę przeprowadzi—państwo czy społeczeństwo, bo tu chodzi o skutek jedynie. Mniéj powinno nas interesować, czy stowarzyszanie się robotników organizować będzie p. Szultze Delitsch czy inspektor fabryczny; wszystko nam jedno kto nauczy robotników porządku, dokładnego rachowania się, oszczędności, przezorności, bo zawsze tu wykształcenie wyższe będzie działało pod wpływem pobudek moralnych na lud roboczy, będzie go wychowywać i podnosić. Jednakże władze rządowe mogą działać na tém polu prędzéj i skuteczniéj, bo dzisiaj już mają prawo i możność dotykać wszystkiego, reformować i zmieniać. Cesarski rząd niemiecki nie może się obawiać dyskusyi naukowéj, boć ona nie stanowi o niczem większością głosów, liczy zaś jedynie tylko na przekonywającą siłę prawdy, bijącéj w oczy z faktów zbadanych i wyjaśnionych. Państwo powinno być zawsze pewne siebie i dość dumne żeby dozwalać nauce wątpić i krytykować, skoro jest przekonane że instytucye jego są sprawiedliwe, że się ostoją w obec rozumu; a o ile nie są jeszcze doskonałe, dadzą się skuteczniéj naprawić na drodze reformy prawnéj wśród spokoju i porządku, aniżeli wśród burzy rewolucyjnéj. Jedność przekonań i harmonia w usposobieniach mogą być pożądane, ale nie wypłyną one nigdy z jakiejś dogmatyki państwowéj, twierdzącéj że wszystko co jezt—jest rozumne; owszem dyskusya swobodna i zdrowe stosunki społeczne łatwiéj do nich prowadzić mogą.

Podają nam jako dogmata odwieczne kilka abstrakcyi prawno-filozoficznych, popularnie sformułowanych; ale czyż porządek społeczny i siła państwa mogą w nich znaleść podpory dostateczne. Rozpatrując na przykład wszystkie prawodawstwa o własności i małżeństwie i wynajdując w nich cechy wspólne, dojdziemy do pojęcia oderwanego, do definicyi szkolnéj, wystarczającéj dla tych którzy studyują filozofią prawa lub nauki społeczne, ale taka abstrakcya nie może być przecież miarą dostateczną do sądzenia o tém czy działające przepisy prawne są słuszne w każdym wypadku, czy odpowiadają potrzebom obecnym. Tutaj odpowiedź dać mogą jedynie badania krytyczno-historyczne samychże praw i wpływu ich widocznego na warunki życia moralne i materyalne. Dzisiaj więcéj niż kiedykolwiek badania tego rodzaju są potrzebne i naglące, bo wszystko zdaje się wskazywać, że żyjemy w czasach kształcenia się nowego prawa ekonomicznego, które, swoją treścią i dążeniem do ograniczenia samowoli osobistéj jednostek, może być podobne do dawniejszego prawa cechowego, tylko musi inaczéj zakreślić granice czynności indywiduów. Co dziś wydaje się nam zbiorem przepisów pojedyńczych, następnym pokoleniom przedstawi się jako systemat cały, który téż z czasem, kiedy zapanują nowe idee i wyrobi się nowa technika doskonalsza od dzisiejszéj, przeżyje siebie i będzie musiał być zmieniony; żadne bowiem prawo wiecznotrwałem nie jest, musi zaś być tylko formą odpowiednią, kanałem dogodnym dla rozwijających się sił moralnych, umysłowych i przyrodzonych. Zrozumieć i ocenić każde prawo potrafimy tylko rozpoznając oddziaływanie jego na życie realne, przy czem téż zapominać nie należy, że ono wspólnie z dopełniającym go obyczajem daje dopiero pewne rezultaty.

Nie można spuszczać się na niczem nie dowiedzioną bezwarunkową harmonią interesów osobistych i na niby ztąd wynikające uprawnienie egoizmu w stosunkach gospodarskich, ani téż popędów życia ekonomicznego tłómaczyć z motywów abstrakcyjnie definiowanych. Iście nihilistyczną zasadę *laisser-faire* należy zastąpić reformą pozytywną, dla klas wyrobniczych dzisiaj koniecznie potrzebną a praktycznie możliwą, która dla Schmollera streszcza się cała w dwóch punktach: 1) wychowanie przez naukę szkolną i udostępnienie dla wszystkich wykształcenia technicznego i 2) o ile niedostateczne wykształcenie robotników nie pozwala im oryentować się samym wśród zmieniających się okoliczności, dopomódz im do przejścia w nowe stosunki.

Profesor berliński Adolf Wagner zaliczany do skrajnéj lewicy pomiędzy socyalistami z katedry. Dla niego urządzenia państwowe

są sprawcą powstania kwestyi socyalnéj, bo państwo reprezentuje siłę i myśl kierującą społeczeństwem, ono też obowiązane sprawę załatwić i kwestyę rozwiązać, bo ono tylko ma w swém rozporządzeniu odpowiednie do tego środki. Prawodawstwo obowiązujące jest pierwszą przyczyną owego charakteru szkodliwego i zgubnego, jaki w społeczeństwie przybrał podział bogactw, uprawniło ono nieograniczoną swobodę przemysłu a zapomina o nałożeniu odpowiednich ograniczeń na własność prywatną, nie kładzie żadnéj tamy niszczącemu szerzeniu się lichwy ani rozrostowi spekulacyi giełdowych. Wagner faktami historycznemi dowodzi, że własność nigdy nie była pojęciem absolutném, określa ją: jako formę prawnego panowania osoby nad rzeczą przez prawo dopuszczoną; przyczem przepis prawny określa zarówno rozciągłość prawa własności jak i gatunki rzeczy do których własność jest dopuszczana. Przy dzisiejszym nawet porządku, pewne przedmioty np. grunta swobodne, przez nikogo nie zajęte, należą do państwa, więc są własnością wspólną nie zaś czyjąś osobistą. Jeżeli prawo wskazuje przedmioty, które nie mogą być posiadane przez osoby prywatne, więc chyba tylko przewaga i zupełne zwycięstwo zasady indywidualizmu nad zasadą społeczną—wspólności t. j. interesu zbiorowego, mogły zrodzić w ludziach myśl, a raczéj doprowadzić ich do fikcyi, jakoby własnością w znaczeniu ogólném jest li-tylko własność prywatna, osobista, w treści swéj pojmowana bezwzględnie, właściwa wszystkim osobom, i obejmująca wszystkie zarówno przedmioty czy rzeczy, a przytém taka iż wola właściciela panującego nad przedmiotem jest w niéj jedynym rzeczywiście stanowiącym momentem. Tymczasem już sama konieczność wywłaszczenia ze względów dobra ogólnego, tak często praktykowana i przez nikogo nie zaprzeczona prawność tego procesu, starczyć-by powinny za dowód, iż niemożebném jest stosowanie do własności dzisiejszéj, określeń czerpanych z dawnych pojęć rzymskich. Ci zaś, którzy chcą się trzymać definicyi ścisłych, powinniby pojmować je szerzéj, a w treści ich zawierać nie samą tylko własność rzeczy materyalnych, ale i własność duchową w obszerném znaczeniu, t. j. własność do pewnych praw w stosunkach pomiędzy ludźmi. Wśród rodzajów własności Wagner wyróżnia prawo posiadania rzeczy służących osobom do zużycia, od prawa do przedmiotów mogących przynosić dochód, jak ziemia i kapitał, a pomiędzy temi ostatniemi gatunkuje własność nieruchomą i ruchomą. Ze względów użyteczności publicznéj chciałby ażeby lasy były własnością państwa lub gmin; zważywszy zaś na krzywdy jakie swobodne współzawodnictwo wyrządza słabszym elementom gospodarskim t. j. klasom roboczym, żąda iżby system

gospodarstw prywatnych mógł być dopełnionym i naprawionym przez zaprowadzenie obok niego systematu gospodarstw wspólnych. Nie uznaje żeby absolutna własność osobista miała być warunkiem koniecznym uprawy lepszéj, głębszéj, pracowitszéj, bo taką właśnie uprawę i gospodarstwo intensywne można widzieć często na gruntach należących do gmin albo w wielkich majątkach rządowych. Rodzaje własności każe porządkować wedle przeznaczenia jakie przedmioty mieć powinny w celach ogólnych gospodarstwa narodowego, a także wedle funkcyi ekonomicznych im właściwych. Źródłem prawa własności do rzeczy przez człowieka zrobionéj może być jego praca, ale własność ziemi i kapitału opiera się jedynie na porządku prawnym, na woli prawodawcy, na uznaniu jéj przez państwo. Ze zmianą potrzeb społecznych, które pociągają za sobą zmianę w poglądach, rozwijają się pojęcia prawne, odbywa się przekształcanie całego porządku prawnego wogóle, przyczem uporządkowanie własności musi być odmienne. Nowe potrzeby, nowe cele stawiane życiu ludzkiemu, inne pojęcie o życiu społeczném, muszą stanowić o porządku, któryby mógł odpowiadać pojęciom prawnym czasu obecnego, muszą téż decydować o tém co *prawem być powinno*, chociażby to jeszcze w danych okolicznościach prawem nie było. Więc trzymanie się starych form nie będzie legalnością, owszem legalność przemawia za możnością a nawet potrzebą przekształcenia prawa własności.

Radykalniejsze jeszcze zdania wypowiada bankier królewiecki Adolf Samter, kwestye ekonomiczne traktuje on z nowego punktu widzenia, a wywody jego są bardzo ciekawe i pouczające, chociaż, tak samo jak u wszystkich niemal socyalistów z katedry, rozpływają się w żądaniach przyszłéj reformy niedokładnie wskazanéj. Zasada wspólności jako podstawa socyalizmu, sama przez się słuszna, tém większe dzisiaj ma dla Samtera znaczenie, że kierunek indywidualny przeważnie jeszcze panuje w społeczeństwach ludzkich; jednakże nie zaprzecza on praw jednostki, ani téż chce osłabiać jéj żywotności i znaczenia w życiu społecznéim; owszem dowodzi, że jedynie dla bezpieczeństwa osób i ich wolności, wobec grożącego konfliktu pomiędzy sprzecznemi a tak ostro przeciw sobie występującemi zasadami, nauka społeczna przedsiębierze pracę pojednawczą, wskazując potrzebę uznania w pewnych granicach zasady socyalizmu i domagając się, dla pojęć o wspólności i wzajemności, większego niż dotąd znaczenia w życiu społeczeństw nowożytnych. Samter chce, ażeby nauka ekonomii politycznéj stanęła na stopniu wyższym niż dzisiaj i nabrała przez to prawa do miana socyologii. Za punkt wyjścia służą mu potrzeby człowieka żyjącego w społe-

czeństwie (1); proces wytwarzania wartości, którego badanie było dotychczas głównym zadaniem ekonomistów, usuwa on na plan drugi; znajduje, że potrzeby przez ludzi odczuwane są właściwie pierwszym bodźcem do wszelkiéj pracy i do czynności nie tylko gospodarskiéj ale i każdéj innéj, i sądzi, słusznie zresztą, że ujął tu pierwotną przyczynę i sam zaczątek wszystkich starań, zachodów i zabiegów ludzkich. Jednak pomimo to nie jest materyalistą, potrzebom duchowym przyznaje znaczenie nawet wyższe niż materyalnym i dąży do ideału etycznego chcąc wznieść całą budowę prawodawstwa i obyczajowych przepisów na podstawie idei humanitarnych.

Człowiek, jak każde jestestwo organiczne, ma właściwe sobie potrzeby, od których zaspokojenia zależy utrzymanie jego życia; ponieważ wszystkie istoty żyjące mogą się rozwijać jedynie w warunkach ich życiu właściwych, więc potrzeby ludzkie są dane od przyrody. Tenże człowiek żyjący w społeczeństwie staje się wytworem otaczających go okoliczności, stosunków, wśród których się znajduje, więc potrzeby jego wypływają nie z samego tylko organizmu, lecz w równym stopniu są produktem jego woli zostającéj pod wpływem stałego otoczenia. Przystosowywanie się do zewnętrznych warunków otoczenia staje się dla człowieka potrzebą przyrodzoną, od któréj uchylić się, człowiek zwyczajny przynajmniéj, nie jest w stanie; ono to gra bodaj rolę najważniejszą w procesie różniczkowania się potrzeb ludzkich. Różnorodność wpływów jakim człowiek ulega nadaje potrzebom jego cechy mieszane materyalno-duchowe, przyczem zwykle przeważa w nich jedna lub druga strona. Dopuszczając w nich najrozliczniejsze odmiany w kombinowaniu się i w przejściach, można w ogólności dzielić je na dwie grupy: potrzeby cielesne — pokarm, odzież, mieszkanie i psychiczne—wrażenia, uczucia, myśli i czynność.

Do zaspokojenia potrzeb istnieją trzy źródła: natura, sam człowiek i społeczeństwo; środki zaś zaspokojenia potrzeb dzielą się na rzeczowe (martwe) i osobowe (żyjący ludzie). Przy téj analizie robi Samter uwagę, że nie należy mniemać aby ludzie nie służyli innym ludziom za środki rzeczowe zaspokojenia potrzeb. Dotąd jest to szlachetne żądanie wypowiadane często, ale na nieszczęście faktem tego dziś jeszcze nazwać nie można.

Wytwarzanie środków do zaspokojenia potrzeb, a więc całą pracę przemysłową i społeczną, należy badać i sądzić ze względu

(1) A. Samter. Socialehre. Ueber die Befriedigung der Bedürfnisse in der menschlichen Gesellschaft. Leipzig 1875.

na to o ile ona odpowiada całości potrzeb ludzkich; a wedle zdania Samtera, powodem dzisiejszéj nędzy tak wielkiéj liczby ludzi nie jest niedostateczność produkcyi, lecz fałszywy kierunek który ona przybiera.

Siły natury zawsze i wszędzie występują jako element produkcyi niezbędny, ale w najwyższym stopniu zmienny i nie równy sobie w czasie i miejscu; człowiek opanowuje te siły i stosuje do swych potrzeb, do tego koniecznem mu jest ich poznanie, więc pierwszą robotą człowieka musi być pojmowanie—praca umysłowa. Pomimo to z pojęciem roboty w ogólności mylnie wiążemy zawsze wyobrażenie o ruchu i twierdzimy, że każda robota usiłuje zmienić stan czegoś istniejącego; wszakże robota o tyle lepszą będzie o ile robotnik jest rozumniejszy, skąd wynika potrzeba konieczna kształcenia wszystkich w ogóle ludzi.

Robota ludzka operując nad materyą przyrody prowadzi do własności i dla tego własność staje się koniecznością antropologiczną; własność osobista, prywatna, jest instytucyą odpowiadającą w zupełności naturze człowieka, ale jako instytucya społeczna, wtedy tylko może być trwałą jeżeli się stanie dostępną dla wszystkich. Społeczeństwo oparte na własności prywatnéj, w którém ona jest tylko przywilejem małéj liczby ludzi, nie będzie zgoła wyrazem ludzkości, lecz chyba jéj karykaturą.

Wypowiadając twierdzenie tak radykalnie rewolucyjne, potępiające poniekąd dzisiejszy porządek społeczno-prawny, Samter zastrzega się przeciwko wszelkiéj dążności do przewrotu: czy to idącego z dołu od mas ludowych i dokonanego przemocą, czy też zarządzonego z góry w sferach rządowych, któreby pod wpływem mesyanicznego natchnienia chciały dekretować przekształcenie ogólne; sprowadzenie właścicieli ze stanowiska uprzywilejowanego być musi rozwiązaniem umiejętném zadania cywilizacyi, jest to postulat etyczny, który może się urzeczywistnić powoli i stopniowo wedle praw normalnego rozwoju organicznego.

Najistotniejszą treścią nauki społecznéj jest rozbiór środków i sposobów zaspokojenia potrzeb ludzkich; potrzeby mają niezaprzeczenie charakter osobisty, dla zaspokojenia ich człowiek musi rzeczy zrobić swojemi — przywłaszczyć je. W stanie natury przywłaszczenie dokonywa siła i używanie samowolne, w stanie prawnym—praca i posiadanie. Dzisiaj stowarzyszanie się jest praktykowane na szeroką skalę, widzieć w tém można zapowiedź nowéj ery, bo przez to zaciera się powoli wyłącznie osobisty charakter własności, łagodzą się spory pomiędzy ludźmi, a jednak indywidualizm w pewnych granicach zachowuje słusznie należne mu prawa,

co dowodzi że zasada wspólności nie jest wcale przeczeniem indywidualizmu, owszem jest jego naturalnym wypływem.

Występuje też u Samtera odmienna teorya wartości: środki zaspokojenia potrzeb mają *wartość społeczną*, która wynika z użyteczności rzeczy, a rozwija się odpowiednio do siły jéj potrzebowania; o ile społeczeństwo całe więcéj czego potrzebuje o tyle przedmiot ten nabiera więcéj wartości, t. j. większego znaczenia w stosunku do wszystkich innych przedmiotów. Na zapotrzebowanie w społeczeństwie wpływa podział bogactwa i stopień sprawności samych-że potrzebujących. Sprawność t. j. zdolność i zdatność do pracy, do świadczenia usług, do dostarczania rzeczy potrzebnych oznacza dochód jaki się dostaje każdemu; jednakże na wysokość dochodu oddziaływa w wysokim stopniu siła ekonomiczna każdego, a w dzisiejszym rzeczy porządku siły téj wyrazem jest ilość posiadanego majątku t. j. ziemi czy kapitału, i w historycznym rozwoju społeczeństw nowożytnych przewaga majątku nad pracą ciągle wzrasta. Otóż Samter swoję naukę społeczną doprowadza do ostatecznego wniosku, że praca i własność powinny zlać się w jedno, ponieważ działanie ich wspólne niezbędném jest do wytwarzania środków zaspokojenia potrzeb; ale i przy takim zlaniu się w jedno pracy z własnością, kiedy każdy właściciel będzie pracować a każdy robotnik będzie miał własność, zawsze jeszcze dochód z własności nie dającéj się powiększyć (ziemia) musi wzrastać, jednocześnie ze zmniejszaniem się dochodu od własności mogącéj się rozmnażać (kapitał); dochód z pracy umiejętnéj będzie wzrastał, z pracy pospolitéj będzie się zniżał. Więc cel historyczny do którego dążymy i wymaganie etyczne które musimy urzeczywistnić — to możliwie najogólniejsze połączenie pracy z własnością i faktyczne panowanie zasady równouprawnienia. Równouprawnienie osób i przygotowanie możliwie najszerszych podstaw do wspólnéj pracy i własności, ale nigdy ujednostajnienie stosunków; równymi ludzie są tylko na cmentarzu—nigdy za życia.

Ze ztanowiska o wiele praktyczniejszego rozważa kwestyą socyalną dr. Lujo Brentano, profesor uniwersytetu wrocławskiego. W jego oczach dzisiejsza kwestya robotnicza jest tylko ogniwem wielkiego łańcucha spraw i zadań, nad których rozwiązaniem społeczeństwa ludzkie pracują od wieków, a których celem idealnym jest najwyższy rozwój wszystkiego co żyje na świecie. Dla tego nie widzi on potrzeby przedsiębrania jakichś środków nadzwyczajnych, a żąda tylko doskonalenia istniejących stosunków na drodze ekonomicznéj i prawnéj. Ruch, szerzony dzisiaj tak energicznie pomiędzy robotnikami, jest tylko usiłowaniem podniesienia o jeden

stopień wyżéj rozwoju ludzkości, dąży on do uprzystępnienia masom dotychczasowych nabytków cywilizacyi, ale nie powinien a nawet nie może zatrzymywać dalszego jéj pochodu, który musi ciągle postępować naprzód. Przekonania ludzi wykształconych i idąca za nimi opinia publiczna upoważniają dzisiaj wyrobnika do żądania dla siebie rozmaitych praw przyznanych człowiekowi w ogóle, warunki zaś przemysłu nowoczesnego bynajmniéj mu używania tych praw nie zabezpieczają; stąd powstaje kwestya socyalna w obecnéj swéj formie. Ale sam ruch postępowy cywilizacyi każe już przypuszczać stałą nierówność pomiędzy ludźmi, więc urzeczywistnienie społecznéj zasady równości może się odbywać tylko w pewnych granicach i musi się zatrzymać w obec warunków, któreby dalszy postęp robiły niemożliwym; chodzi więc o to, żeby te warunki zbadać bezstronnie ale dokładnie, a granice oznaczyć sumiennie.

Zadaniem praktyczném dni dzisiejszych jest wynalezienie dla przemysłu nowożytnego organizacyi, któraby odpowiadała jego naturze tak dobrze, jak cechy średniowieczne odpowiadały potrzebom rzemiosł ówczesnych. Dr. Brentano badał wszechstronnie historyą cechów i urządzenia spółczesnych związków robotniczych w Anglii (trade-unions) i znajduje, że forma nowéj organizacyi mogłaby być bardzo zbliżoną do dawnego modelu, byleby uszanowała wolność człowieka i nie uświęcała przywileju. Władzom państwowym nie można zaprzeczać prawa mięszania się do spraw przemysłu, ale należy téż żądać od nich jak najmniéj, bo one wiele zrobić nie są w stanie; jeżeli urządzą inspekcye nad fabrykami, które jak wszystkie liczne zbiorowiska ludzi potrzebują nad sobą kontroli, jeżeli określą formy prawne, w którychby robotnicy mogli stowarzyszać się swobodnie, oznaczą zakres działania sądów pośredniczych, przepiszą ilość godzin pracy dziennéj dla tych którzy sami sobą rozporządzać nie mogą lub nie umieją jak dla dzieci i kobiet, a przytém jeszcze zajmią się czynnie sprawą urządzania dla robotników lepszych i zdrowszych mieszkań, bodaj więcéj już niczego od nich wymagać nienależałoby, bo działając za pośrednictwem organów biurokratycznych władza państwowa do akcyi szerszéj nie byłaby nawet zdolną. Samo podniesienie dobrobytu i wykształcenia klasy roboczéj może być już tylko owocem własnych jéj usiłowań podejmowanych wytrwale i kierowanych umiejętnie. Treść zadania w kwestyi socyalnéj stanowi wysokość i pewność zarobku, otóż, o ile dzisiaj osięgnąć się dają w praktyce pożądane w tém rezultaty, już niektóre z angielskich związków robotniczych dobiły się do nich; dowiodły bowiem że mają siły dostateczne do stałego podno-

szenia zarobku i potrafiły kwestyą postawić w sposób dla robotników korzystniejszy; bo kiedy przedtem robotnik dostawał ile mógł wziąść najmniéj, dzisiaj zarobek oblicza się tam wedle tego co przedsiębiorca dać może najwięcéj; co znaczy że zarobek podniesiono z minimum do maximum ilości jaką dopuszcza stan rynku (1).

Brentano przyznaje, że stowarzyszenia robotnicze angielskie osiągają tylko skutek częściowy, dzielą one klasę roboczę na dwie grupy: ludzie należący do stowarzyszeń podnoszą się na stanowisko lepsze, ci zaś którzy do nich nie przystępują, pozostają po dawnemu w biedzie i nędzy; jednakże dla społeczeństwa już stąd wypływa korzyść wielka, że znaczna liczba robotników może spokojnie, w sposób zupełnie prosty, wstępować na drogę rozwoju cywilizacyjnego; a trudno przecież się spodziewać ażeby kiedykolwiek znalazła się możność podniesienia całéj ludności roboczéj inaczéj jak stopniowo, część za częścią. Stowarzyszenia wniosły w życie robotników angielskich żywioł nadziei, widzą już oni przed sobą lepszą przyszłość; reszty dokonają ubezpieczenia oparte na podobnych stowarzyszeniach, bo dadzą im bezpieczeństwo i spokój. Przy dzisiejszych stosunkach ekonomicznych, robotnicy, jedynie tylko łącząc się w stowarzyszenia trwałe, mogą wpływać na podwyższenie zarobków bez naruszenia nowoczesnych moralnych warunków życia, bo zachowują przytém wolność osobistą, niezależność od władzy w sferze interesów własnych, stają na możliwém stopniu równości społecznéj z innemi klasami z pełném uszanowaniem w sobie godności człowieka.

Nauka społeczna w najwyższém jéj etyczném znaczeniu ma dzisiaj do rozwiązania zadanie: odszukać granice, do których równość pomiędzy ludźmi doprowadzona być może, t. j. wskazać chociażby najmniejszy obszar praw realnych, których używając człowiek mógłby rozwijać swe życie w sposób godny natury ludzkiéj, a które zarazem nie zawadzałyby podnoszeniu się ogólnie ludzkiego rozwoju na stopień najwyższy. Zadanie to trudne, ale wielkie; chodzi tu o same cele do których dąży ludzkość przez cywilizacyą; badacz przezorny i oględny będzie wolał pozostawić rozwiązanie jego przyszłości, aniżeli pośpiechem narazić na szwank wszystko do czego się ludzie już na téj drodze dobili.

---

(1) Ciekawe w téj materyi studya dr. Brentano, o których tutaj tylko pobieżnie wspomnieć możemy, postaramy się przedstawić czytelnikom w osobném dokładniejszém streszczeniu.

III.

Przegląd myśli zasadniczych kilku znakomitszych socyalistów z katedry pokazał nam, że każdy z nich kończy na wyrażeniu żądania jakiejś reformy, której konieczności dowodzi naukowo, opierając się na faktach, ale o której wyobrażenia dokładniejszego dać nam nie może. Polepszyć los robotników, naprawić wyrządzane im krzywdy, — urządzić dla nich nowe stosunki, uporządkować prawo własności,—połączyć pracę z własnością, — zakreślić granice możebnéj ale realnéj równości; wszystko to są aspiracye godne uznania, ale trzymają się one w sferze dobrych chęci i za wskazówki naukowe dla praktycznego działania służyć nie mogą. Wprawdzie żaden z naszych profesorów nie podaje siebie za reformatora, żaden nie obiecuje przepisów o uszczęśliwieniu ludzkości, i jakkolwiek wszyscy śmiało krytykują stosunki społeczne i wypowiadają zdania bardzo stanowcze, jednakże w formułowaniu wymagań praktycznych żaden z nich nie odważa się projektować nawet ograniczeń w prawie dziedziczenia; domagają się tylko wprowadzenia różnych przepisów porządkowych, któreby lepiéj niż dotąd zabezpieczały swobodę działania wyrobników i rzemieślników. Niedotykaliśmy tutaj ich prac specyalnych, które rzeczywiście stanowią zasługę naukową całéj téj grupy ekonomistów, ale których samo streszczenie jużby tomów oddzielnych wymagało; studya te są w wysokim stopniu pożyteczne, bo będą doskonałym materyałem dla prac prawodawczych. Oprócz wielu dzieł poważnych w rozmaitych gałęziach nauk społecznych, wydali oni wspólnemi siłami w r. 1882 „Podręcznik ekonomii politycznéj,“ opracowany prawdziwie na sposób niemiecki, przez dwudziestu dwóch zwolenników nowego w nauce kierunku, zawierający w dwóch tomach dużéj ósemki około 2,000 str. ścisłego druku, a złożony z trzydziestu kilku traktatów, w których począwszy od teoryi wartości i produkcyi a kończąc na policyi myśliwskiéj i opiece nad zwierzętami, starają się przedstawić całkowity zakres spółczesnéj czynności gospodarskiéj ze strony realnéj, tak jak się ona dzisiaj rzeczywiście odbywa. Za prawdziwą téż zasługę téj grupy uczonych uważać należy, wyraźne zaznaczenie czysto naukowego charakteru prac swoich, w których wprawdzie przemawiają z tonu bardzo wysokiego, ale powtarzają co chwila niemal, że im chodzi jedynie o wyjaśnienie faktów, o jasne i dokładne zrozumienie tego co się w społeczeństwach ludzkich dzieje i jak się stosunki dzisiejsze układają, bo rozumieją dobrze że trudności kwestyi socyalnéj nie należą do

rodzaju tych którehy się dawały rozwiązywać teorytycznemi pracami. Krytyka sumienna i głęboko pojęta może wskazać skąd pochodzą cierpienia ludzi w życiu społecznéni, ale jeżeli zejść zechcemy do działania praktycznego, zaledwo parę cegiełek naraz w budowie społecznéj zmienić potrafimy, bo będziemy mieli do czynienia z wolą ludzką, z interesem, z nawyknieniem, z obyczajem—z rzeczami które ustępować nie zwykły nawet w obec prawdy najlogicznéj dowiedzionéj i najjaśniéj wypowiedzianéj.

Socyaliści z katedry zarzucają ekonomii klasycznéj trzymanie się w sferach abstrakcyi, ale sami zagłębiając się w analizę naukową chętnie bawią się myślami oderwanemi, a kiedy dotykają zasad ogólnych łatwo unoszą się w strefy ideałów. Przeciwnicy ich, szczególnie publicyści i politycy nazywają ich ideologami, traktującymi po profesorsku najrealniejsze interesa życia z punktu widzenia teoretycznego; zarzucają im że chcąc przeprowadzić rzeczy tak proste jak naznaczenie inspektorów nad fabrykami, lub określenie praw robotników do stowarzyszania się, zapędzają się bez żadnéj potrzeby i zuchwale poruszają kwestye najdrażliwsze i same zasady prawa własności, konieczność naprawiania krzywd wyrządzonych robocie przez kapitał, czy téż naglącą potrzebę dania podstaw rzeczowych równości pomiędzy ludźmi. Ogromna większość pomiędzy bogatymi zgodzi się niezawodnie że byłoby pożądaném: iżby każdy człowiek mógł mieć swoją własność, żeby robota była lepiéj niż dzisiaj opłaconą, i żeby wyrobnicy mogli używać wszystkich dobrodziejstw cywilizacyi; ale któż nie cofnie się znowu przed myślą iżby do tego dać robotnikom prawo, bo takie prawo wkładałoby na społeczeństwo obowiązek dostarczenia im tego wszystkiego. A tak właśnie zdają się rzecz pojmować socyaliści z katedry i to budzi ku nim nieufność ludzi praktycznych.

Nie przyznając jednak słuszności zarzutom przeciwników, bronią się oni tém że używają tylko nowéj metody naukowéj, którą nazywają historyczną, realistyczną a nadewszystko etyczną.

Historyczną jest ich metoda dla tego, że idąc za zdaniem Roschera, nie przyznaje żadnego absolutnego ideału w systemacie gospodarstwa narodowego, a twierdzi natomiast że każdy naród i każda epoka może mieć swój typ odrębny, że ideałów gospodarskich może być dużo. Zadania ekonomiczne są zawsze zadaniami dla pewnego miejsca i czasu, rozwiązywać je można tylko wtedy i tam gdzie one powstają, bo w innym klimacie i na innym stopniu rozwoju zmienia się sama natura zadania; należy więc kwestye ekonomiczne traktować historycznie, a sama ekonomia polityczna jest sprawą narodu a nie ludzkości całéj i dlatego nie może być kosmopolitycz-

ną; jak każdy naród ma swój własny charakter i swoję kostytucyą tak téż musi mieć i swoję ekonomią. Metoda ta zupełnie racyonalna i odpowiadająca celowi o ile chodzi o przedsiębranie środków praktycznych, ale socyaliści z katedry idą daléj i twierdzą: że w ekonomii nie ma zgoła żadnych praw powszechnych, bezwzględnie prawdziwych, któreby można nazwać naturalnemi; na tym punkcie uzasadniają opozycyą przeciwko ekonomii klasycznéj, robiąc zeń jakby sztandar reformy w nauce. Zaprzeczyć nie można że polityka ekonomiczna powinna być narodową, jak zresztą każda polityka któréj powołaniem jest stosowanie się do czasu, miejsca i okoliczności; ale z ekonomii jako nauki nie można bodaj usunąć pojęcia praw ogólnych, praw naturalnych. Prawa ekonomiczne mają cechy odmienne od praw fizycznych, ale czy dla tego przestaną być prawami przyrodzonemi. Zjawiska wypływające ze swobodnéj czynności ludzi wykazują zawsze pewną prawidłowość, bo charakter ludzki, chociaż ma bardzo rozmaite odcienie, ma téż i cechy ogólne, wspólne wszystkim ludziom. Wszak wielu ludzi bezwiednie i mimowolnie postępują jednakowo w podobnych okolicznościach; skoro ich do takich uczynków nikt nie zmusza, więc natura musi im dawać popędy jednostajne. Nauka, w któréj zakres badań wchodzą takie skłonności, musi też mieć znaczenie ogólne dla całego rodzaju ludzkiego.

Protest socyalistów z katedry przeciwko prawom naturalnym w ekonomii będzie słusznym o tyle, o ile zwraca się przeciwko upartym twierdzeniom niektórych ekonomistów: że dzisiejsza doktryna jest zupełna i zakończona, że określone dzisiaj dokładnie jéj pojęcia oderwane mogą być bezwarunkowo stosowane do rozwiązywania wszelkich trudności praktycznych. W tém znaczeniu nowy kierunek jest bardzo dla nauki korzystny, bo prowadzi do ściślejszych obserwacyi nad rozmaitością i powikłaniem zjawisk życia przemysłowego, do badania faktów głębszego i wszechstronniejszego; ale wszystkie możliwe komplikacye stosunków ekonomicznych nie dadzą zdaje się jeszcze dostatecznego powodu do zaprzeczenia egzystencyi praw tak ogólnie działających, że je słusznie nazwać można naturalnemi; wartość, produkcya, zamiana w żadnym kraju nie stracą swego ogólnego charakteru, chociażby nawet nie umiano tam określać ściśle tych pojęć.

Socyaliści z katedry nazywają siebie *realistami*, dlatego że szukają wszystkich realnie działających w człowieku popędów; przyznać należy że zupełnie słusznie przeczą iżby o czynności gospodarskiéj człowieka jedynie decydował interes osobisty. Gra on rolę ważną w przedsiębiorstwach i umowach, ale w bardzo ciasnem tylko

znaczeniu nazwać go można siłą przeważną i kierującą; zapewne, nie można myśléć o wyniszczeniu w człowieku pobudek interesu osobistego, albo jak socyaliści dawniejsi marzyć o zastąpieniu go uczuciem sympatyi lub wspaniałomyślném umiłowaniem dobra ogólnego, jednakże cały ruch i obrót interesów nigdy nie byli być nie może pod wyłącznym jego wpływem. Wiele innych sił oddziaływa na sprawy ekonomiczne, a wpływ ich jest zarówno istotny i nie mniéj poważny. Temperament przyrodzony właściwy narodowi, stopień wykształcenia i urobiony przezeń charakter moralny ludności, pojęcia panujące, zwyczaje tradycyjnie przekazane, skłonności osobiste: u jednych upodobanie w przewodzeniu nad ludźmi i wywieraniu nad nimi władzy, u innych skłonność do dogadzania ludziom i robienia im dobrego, sumienie zarówno jak opinia publiczna, związki rodzinne tak samo jak stosunki miejscowe, zresztą obowiązujący kodeks praw—wszystko to działa wyraźnie, bardzo realnie na ludzkie sądy, na wolę, na popędy i nie mniéj silnie jak egoizm wpływa na uczynki. Zwyczaje mogą się zmieniać ale trwa zawsze coś co jest obyczajem panującym, opinie ulegają zmianom ale opinia nigdy istnieć nie przestaje. Przypisywanie interesowi osobistemu wyłącznego panowania w dziedzinie ekonomicznéj jest tylko zabytkiem metafizyki któréj tak nadużywano dawniéj. Uczeni upatrywali w egoizmie jedyny motyw ekonomiczny bo panowała wtedy psychologia sensualistyczna, która nauczała że egoizm jest dla uczynków ludzkich jedyną realną pobudką, wszystkie zaś inne są tylko jego gatunkami czy odmianami, dlatego twierdzono że działanie i oddziaływanie egoizmu pomiędzy ludźmi jest systematem sił przyrodzonych, działających wedle praw saméj natury. Cała atmosfera intelektualna, mianowicie ku końcowi wieku ośmnastego, przepełniona była ideą że wszystko złe co się na świecie dzieje, wszelkie błędy zarówno w sztuce i poezyi jak w życiu i w etyce a więc i w ekonomii społecznéj pochodzą stąd, że się oddalono od natury, że wszędzie i zawsze najlepiéj postępować zgodnie z naturą rzeczy i dawać przewagę prawom przyrodzonym; prawa te zaś tłómaczono metafizycznie.

Ale badając rzeczywistość i nie uwodząc się pojęciami oderwanemi, czyż można w sprawach ekonomicznych rozróżnić co jest naturalném a co nie; tutaj wszystko wynika zarówno z popędów naturalnych jak i z instytucyi, działa tu przeważnie wola człowieka, która jest tak samo pod wpływem jego natury, jak i stanowiska jakie on w społeczeństwie zajmuje. Obrońcy naturalnego rzeczy porządku występowali z nim głównie w myśli potępienia interwencyi rządowéj w sprawach przemysłowych; można się spierać o to czy ten

lub ów akt władzy państwowéj był potrzebnym, ale niemożebném jest usunąć działania państwa na interesa gospodarskie, dyskusya będzie się toczyła o dozę jego większą lub mniejszą, o to w jakim miejscu i w jakim czasie ono jest właściwsze. Państwo i jego władze nie są zgoła czemś obcem dla przemysłu, kimś mięszającym się w sprawy nie swoje. Od samych początków ruchu przemysłowego i układania się jego w jakąś całość żywotną, państwo było członkiem żywym tego organizmu, a nawet punktem jego środkowym, do którego zbiegały się wszystkie sprawy jego żywota i w rzeczywistości jest ono pewną częścią owéj natury rzeczy, od któréj chciano go nie tylko wyróżnić ale usiłowano z niéj zupełnie wykluczyć. Nadzy na świat przychodzimy, jednakże, odziewając się nie postępujemy sprzecznie z prawami natury, a rozum jest nam równie przyrodzony jak i uczucie. Nie mądrą byłaby hygiena odradzająca użycie odzienia, ani zdrową moralność zalecająca dogadzanie swym chęciom i popędom przyrodzonym a zaniechanie celów rozumnych, pod pretekstem że to są wytwory sztuczne. W podobny trochę błąd wpadają ekonomiści, którzy zaprzeczają państwu prawa dotykania do interesów przemysłowych, sądząc że w ten sposób dadzą przemysłowi możność wejścia na drogi naturalne. Państwo, przy najlepszéj z jego strony woli nie mogłoby nawet zachować neutralności absolutnéj, nieinterwencya jego w praktyczném przystosowaniu staje się interwencyą szczególnego rodzaju na korzyść silniejszych; zresztą muszą przecież istnieć prawa i przepisy o własności, o związku rodzinnym, o dziedzictwie, a wpływ ich rozciągać się będzie do całego systematu gospodarskiego, bo one oddziaływają zarówno na charakter produkcyi jak i na podział wytworzonego bogactwa.

Metodę swoją historyczno-realistyczną, socyaliści z katedry nazywają téż najchętniéj *etyczną*, dla tego głównie iż przeczą stanowczo dawniejszym twierdzeniom jakoby zjawiska życia ekonomicznego były obojętne dla moralności, nauka zaś była obowiązaną wyjaśniać je tylko, opisywać i tłómaczyć. Wielu ekonomistów klasyków chciało dowodzić że sfery działania praw moralnych i praw ekonomicznych są zupełnie sobie obce, że prawa którym ulegają czynności gospodarskie są równie dla moralności obojętne jak prawo ciążenia naprzykład, temu błędowi adepci nowéj szkoły przypisują zmateryalizowanie nauki i wprowadzenie jéj na drogi fałszywe. Zjawiska ekonomiczne, wykraczające po za sferę czystéj techniki produkcyi, wchodzą w dziedzinę etyki i muszą być traktowane z uwzględnieniem téj ich właściwości. Weźmy dla przykładu kontrakt najmu pracy; uważać go jako wolną umowę między równymi, jako prostą zamianę, byłoby nielogiczném. Robotnik w ogromnéj

większości wypadków znajduje się pod przymusem sprzedania swego czasu i siły roboczéj—bo głód mu grozi, musi więc przyjmować ofiarowane sobie warunki, które znowu mogą go postawić w niemożności—nietylko używania praw przyznanych mu przez społeczeństwo ale i spełnienia obowiązków jakie ono na niego wkłada. Zapewne, dla teoretycznego rzeczy wyjaśnienia, można robotę a z nią razem i robotnika, uważać jako towar, ale nie można zapominać że ten towar żyje, żyje wśród pewnych z innymi ludźmi stosunków, że dla tego musi mieć do spełniania obowiązki ludzkie i niesie téż na sobie odpowiedzialność domową, społeczną, polityczną. Dla zabezpieczenia sobie pewnego sposobu do życia mógłby on zaprzedać swą wolność, a jednak społeczeństwo nie pozwala mu tego zrobić; ale te same społeczeństwo pozwala mu sprzedać swoje zdrowie i życie, a nawet swoją godność człowieczą, swój charakter; wolno mu wypłynąć na morze na okręcie spróchniałym, wolno iść do roboty w podziemia lub w budynki ciasne i wilgotne nieraz grożące zawaleniem się, może on z wielu innymi być zapędzony w jakie ciasne zagrody, gdzie nie ma sposobu zachować nawet najelementarniejszych warunków przyzwoitości, wolno mu z potomstwa swego wyciskać całą przyszłą jego siłę znaglając do przedwczesnéj roboty dla powiększenia środków nędznego żywota. Umowa wpływająca bezpośrednio na zdrowie, na bezpieczeństwo, na moralność człowieka, na siły przyszłych pokoleń, na dobrobyt całego narodu, nie może być moralnie obojętną, musi się dla niéj znaleść miejsce wśród sfery obejmującéj ogólne cele i ideały ludzkości, bo strona jéj etyczna jest, a przynajmniéj być powinna, najważniejszą, nauka zaś która o takich rzeczach traktuje jest koniecznie nauką etyczną. Zresztą, najzacieklejsi obrońcy ortodoksyi klasycznéj w ekonomii nie mogą uniknąć ustawicznego mówienia o tém jak rzeczy dziać się powinny, co chwila dają od siebie wskazówki że to lub owo źle się dzieje, tylko że oni domagają się nadewszystko aby władze rządowe dały pokój przemysłowi; socyaliści z katedry przeciwnie, widząc że interesa ludzkie pozostawione samym sobie zbyt często rozwiązują się na krzywdę większości, dowodzą że właśnie dlatego sprawy ekonomiczne muszą podlegać działaniu państwa, które Schmoller nazywa: stróżem uprawnionym interesów społeczeństwa ogólnych i stałych. Stróż taki nie może w stosunku do przemysłu poprzestać na odegrywaniu roli warty, postawionéj na zewnątrz dla pilnowania cudzéj własności, nie mającéj prawa ani obowiązku doglądania co się wewnątrz dzieje. Owszem państwo ma powołanie i obowiązki wyraźne względem przemysłu; wedle teoryi Schmollera *państwo kulturne*, które on wyróżnia od państwa policyjnego i prawnego (Culturstaat,

Polizeistaat, Rechtsstaat); „jest wielką instytucyą wychowawczą dla całego rodzaju ludzkiego; nie należy uważać go za potężny przyrząd do utrzymywania porządku i pokoju chociażby w imieniu sił niebieskich, ani za organ konstytucyjny zbiorowéj władzy narodu czuwający nad bezpiecznym używaniem praw i przywilejów legalnie przyznanych wszystkim stanom, klasom i osobom składającym naród; ono być powinno agencyą czynną, powołaną do zasiewania i szerzenia kultury na swojem terytoryum w geograficznie oznaczonych granicach.“

IV.

Najgłówniejsze więc żądania socyalistów z katedry co do zasad ogólnych, na których podstawie należy przedsiębrać reformy społeczne, wyrażają się w nawoływaniu władz państwowych do przodowania w reformach i we wskazówkach na konieczność ulepszenia praw rządzących własnością. Kierunek ten zbliża ich na pozór z socyalistami czystéj krwi, lecz pomimo to pozorne zbliżenie, różnice w pojęciach, a tém bardziéj w żądaniach są nieskończenie wielkie.

Nikt nie zechce zaprzeczać twierdzeniu ogólnému że państwo jest instytucyą wychowawczą, bo historya dała dowody niewątpliwe że organizowanie się państw zawsze było najpotężniejszym czynnikiem cywilizacyi, dla tego, że wtedy dopiero zaczynały wyrabiać się między ludźmi pojęcia dokładniejsze o prawach i obowiązkach, co torowało drogę do jaśniejszego rozumienia czem być powinna sprawiedliwość. Ale socyaliści tezę historyczną podnoszą do znaczenia bezwzględnego i władzy państwowéj, w przyszłości przynajmniéj, chcą narzucić przymiot nieomylności; tymczasem taż sama historya wskazuje tysiące wypadków zgubnego działania władz na stosunki pomiędzy stanami, klasami czy grupami z których się składa każde społeczeństwo ludzkie. Socyaliści z katedry widzą dobrze że państwo w życiu historyczném nie jest tém czem go mieć chce nauka prawa publicznego; składa się ono z ludzi i jest wytworem sił umysłowych i przekonań moralnych obywateli, w najlepszym razie reprezentantem jedności narodowéj, najwyższym wyrazem prawa i narzędziem do wymierzania sprawiedliwości—takiéj jak ją pojmują klasy przewodniczące. Nie dziwią się téż oni temu iż w obec ogromu nadużyć, jakich się dopuszczał we Francyi rząd Ludwika XV, Quesnay a za nim cała szkoła fizyokratów, chcieli usunąć wszelkie wtrącanie się władzy w stosunki przemysłowe i wygłosili hasło *laissez-faire laissez-passer*. Znajdują owszem że w danym czasie żą-

danie to było zupełnie słuszne, protestują tylko przeciwko przerobieniu owego postulatu praktycznego, w abstrakcyach teoretycznych, na dogmat wiary, od którego wszędzie i zawsze pomyślność ekonomiczna ma niby zależeć.

Wprawdzie w zapale polemicznym idą za daleko przypisując sobie pierwszą zasługę podjęcia walki z tym absolutem gospodarskim szkoły manczesterskiéj. W saméj Anglii, w ziemi klasycznéj przemysłu wielkiego i teoryi wolno handlowych, parlament oddawna już nakazywał ankiety o stanie dobrobytu, o środkach i sposobie życia wyrobników i wtrącał się w stosunki robotników z pracodawcami, a prawa angielskie o godzinach roboty kobiét i małoletnich nastały pierwiéj aniżeli się zebrało na zjazd ejzenachski. Myśl ograniczania konkurencyi czy nadawania jéj kierunku nie jest nową, wszystkie rządy brały się do tego, tém chętniéj nawet im więcéj przeważały w nich żywioły autonomiczne; tylko że w Niemczech przemysł wielki jest jeszcze rzeczą nową, prawa ogólne dla całego cesarstwa jeszcze nowszą, więc tam na gruncie niemieckim socyaliści z katedry mogą sobie w téj sprawie przyznać zasługę początkowania. We Francyi rzeczy te idą téż bardzo powolnym krokiem, bo tam przywiązanie doktrynerskie do zasad r. 1789 i ślepa wiara w zbawcze ich skutki odstręcza umysły od uwzględniania w prawodawstwie potrzeb praktycznych, podczas gdy administracya zcentralizowana silniéj niż gdzieindziéj, nie bardzo może jest zdolna ani chętna do podjęcia się czynnéj opieki nad robotnikami.

Ekonomiści nowéj szkoły słusznie twierdzą, że zadaniem nauki być powinno: szukanie dróg nowych prowadzących do równomierniejszego podziału wytwarzanéj wartości pomiędzy wszystkie czynniki produkcyi, ale nam się zdaje że zbyt silny nacisk kładną na skuteczność w téj materyi działania władz państwowych. Zapewne że prawodawstwu przypadnie w tém rola przeważna, ale nawet u Niemców prawodawstwo nie dokaże wszystkiego. Realistycznéj ekonomii powinno być wiadomem że władza prawodawcza, nie mniéj od innych organów państwowych, ulega wszystkim prądom nurtującym lub unoszącym społeczeństwa, a pomimo całéj niezależności przyznawanéj jéj przez konstytucye, zostaje ona zawsze jeżeli nie pod wpływem stałym to pod naciskiem władz wykonawczych, domagających się dla siebie udziału, i to bardzo znacznego w wytworzonych wartościach. Budżet opłacić trzeba, każdy parlament wie że go opłacić musi, bierze więc pieniądze tam gdzie je znaleść można, i pierwéj myśli o zadosyć uczynieniu potrzebom ministeryum wojny, aniżeli o urządzaniu szkół ludowych lub kas pomocy dla robotników. Na téj więc drodze nie można się spodziewać prędkiego osiągnienia rezultatów skutecznych.

Państwo być powinno instytucyą wychowawczą dla narodu, zgadzamy się na to zdanie; ale chociaż państwo było zawsze taką instytucyą w starożytności i w wiekach średnich i za naszych czasów, metody wychowania zmieniać się muszą i zmieniają się téż ciągle. Dzisiaj wychowanie narodu nie może być tém czém było za czasów monarchii starożytnych lub za rządów patryarchalnych, bo dzisiaj narodów za zbiorowisko małoletnich uważać już nikt nie może. Historya tylu wieków nauczyła ludzi, że wolność osobista wpływa najsilniéj na wykształcenie charakteru człowieka, na rozwinięcie w nim władz umysłowych i poczucia moralnego; więc swoboda osób za naszych czasów nie może już podlegać ograniczeniom, owszem musi ona rozwijać się i kształcić w coraz doskonalszych formach, bo ludzie dopiero w szkole wolności mogą nauczyć się szanować siebie i drugich. *Kulturstaat* ekonomistów niemieckich nie będzie pracował nad ścieśnianiem wolności człowieka, nad poddawaniem jéj pod przepisy, których spełniania pilnowałyby władze wykonawcze; bo oni sami jakkolwiek protestują przeciwko nadużyciom zasad indywidualizmu, jednakże w swobodnem działaniu widzą najwyższą siłę ludzkości i w tém nie są zgoła socyalistami. Słuszniéj niż nazwy socyalistów z katedry mogliby domagać się dla siebie miana prawych synów i następców nauki Adama Smith'a, boć przecie prawym dziedzicem jest ten, kto myśl czy dzieło mistrza rozwija i doskonali, nie zaś ten co ją koszlawi i fałszuje.

Dalsze żądania reformy dotyczą jakichś niejasno określonych zmian w prawie własności. Nietykalność prawa własności dotychczas jest uważana zarówno w nauce jak i w praktyce jurydycznéj za najważniejszą gwarancyą wolności osobistéj, a w ekonomii za jedyny warunek energicznego rozwijania się działalności przemysłowéj. Socyaliści domagają się ażeby własność osobista była przekształcona na zbiorową czy wspólną; ekonomiści nowéj szkoły chcieliby tylko otworzyć szerszy zakres, obszerniejsze pole na którém-by własność wspólna mogła się poruszać swobodniéj niż dotąd, a zatém krzewić się bujniéj i szukać dla siebie form doskonalszych pod któremi-by stać się mogła korzystniejszą dla większéj ilości ludzi. I tutaj więc różnią się oni od socyalistów samą treścią żądanéj reformy, bo chcą pozostawić, kształtowanie się nowych form własności wspólnéj, swobodnemu rozwijaniu się sił żywych w społeczeństwie, nie przepisując im z góry żadnéj normy; tylko niekonsekwentnie dopraszają się u władzy prawodawczéj żeby się reformą zajęła, nie oznaczając zgoła w jakim zakresie wskazówki naukowe dopuszczają odmiany w prawie własności, lub takowych wymagać mogą.

Pytanie czy dzisiejsze formy prawa własności mogą być zmienione i w jakim kierunku, będzie zapewne jeszcze długo przedmiotem sporu pomiędzy zachowawcami a stronnikami reformy. Stowarzyszanie się ludzi dla wspólnéj pracy, łącznie drobnych kapitałów w większe masy, nawet obrabianie roli wspólnemi siłami, uważają się dzisiaj za skuteczne środki potęgowania siły wytwórczéj i polecają się nadewszystko robotnikom, jako sposób mogący postawić ich na stanowisku niezależném i samoistném. Wielka ilość stowarzyszeń posiada własność, więc ta własność jest zbiorową; jeżeliby więc chodziło tylko o ułatwienia w zawiązywaniu stowarzyszeń na własności opartych, reforma nie potrzebowałaby sięgać zbyt głęboko, bo własność stowarzyszenia jakkolwiek wspólna, podlega normom własności osobistéj i w niczem nie narusza dzisiejszego porządku społecznego. Lecz wskazywane a raczéj pożądane reformy co innego miałyby na celu, zadaniem ich byłoby doprowadzić jak największą ilość ludzi do posiadania własności chociażby wspólnéj. Socyaliści chcą tego dokazać zadekretowaniem wspólności, co bez przemocy zrobićby się nie dało; ekonomiści chociaż nazywają siebie realistami, uwodzą się jednak myślą zbyt idealną, że to da się zrobić za pośrednictwem sztucznego opiekowania się stowarzyszeniami. Kooperacya, jedyna znana dzisiaj w praktyce forma stowarzyszenia wytwórczego, mogąca budzić nadzieję wzbogacania się robotników, w tak niewielkiéj liczbie wypadków dawała dotąd rezultaty pomyślne, że długo jeszcze zapewne nauka ekonomii i prawa, a więcéj jeszcze niż te nauki sama praktyka interesów przemysłowych, będą musiały pracować nim się dobiją do urządzeń, któreby mogły zabezpieczyć pomyślny rozwój produkcyi obok dostatecznéj gwarancyi wolności człowieka w stopniu doskonalszym niż to czyni dzisiejsze prawo własności. Najprostsza forma stowarzyszenia kapitałów małych — towarzystwo akcyjne, dzisiaj jeszcze w urządzeniu swém dużo pozostawia do życzenia i tak mało daje gwarancyi bezpieczeństwa i zysków dla posiadaczy małego kapitału, że sztuczne wciąganie wielkiej masy ludzi na tę nawet drogę, byłoby lekkomyślną nieostrożnością.

Ekonomiści, jak Wagner lub Schäffle, twierdzą, że własność wspólna bynajmniéj nie hamuje rozwoju produkcyi i wskazują przytém na wielkie gospodarstwa na fermach rządowych, lub na dobrze urządzone lasy rządowe; ale samo przeniesienie tytułu własności na państwo rząd czy gminę niczemu nie zaradzi, bo rząd eksploatacyą własności będzie musiał komuś odstąpić, czyli po prostu ziemię wydzierżawić, co w niczem nie zmieni kapitalistycznego ustroju produkcyi. Wszakże *Pionierowie Roszdalscy*, ów pierwowzór kor-

poracyi wśród robotników, prędko przedzierzgnęli się w kapitalistów i mają swoich najemnych wyrobników; wszak *sielska obszczyna* w wielkorosyi, owo tak sławione palladyum tamecznéj ludności, broniące niby naród od wytwarzania się proletaryatu, nie umie oprzeć się grabieży *kułaków*, którzy wyzyskują siły robocze innych współwłaścicieli, niemiłosierniéj może niż najzaciętszy w pogoni za zyskiem kapitalista angielski swoich robotników; i *artel* rosyjska nie umie się obronić od „podradczyków" i „starostów," którzy największą część jéj zarobków dla siebie zabierają. Chodzi tu więc nie tyle o zmiany w formach prawnych, ile o zmiany w naturze stosunków pomiędzy ludźmi, a te nie dają się modyfikować inaczéj jak pod wpływem wykształcenia, rozumniejszego zapatrywania się na rzeczy, ich przyczyny i skutki i doskonalszego pojmowania czem jest sprawiedliwość. Zresztą w państwach średniowiecznych tytuł własności ziemi należał do panującego, kapitał zaś nie miał wówczas tego co dzisiaj znaczenia, dopiero lepsze zrozumienie natury stosunków ludzkich przeniosło ten tytuł na pojedyncze osoby; pomimo zaś wymownego zachwalania stosunków średniowiecznych, wątpić można aby kto z poważnych uczonych lub mądrych statystów mógł marzyć o powrocie do ówczesnych form życia społecznego lub politycznego.

Pominąwszy kwestyą ekonomiczną produkcyi obfitéj, prawo własności ma swoje znaczenie polityczne i społeczne, jako podstawa na któréj opiera się sam porządek organizacyi państwowéj. W każdym kraju ludzie są zgrupowani w pewne zbiorowe ciała, pozostające pomiędzy sobą w związkach bardzo żywotnych; dzisiejsi uczeni lubią to ugrupowanie porównywać do organizmu zwierzęcego, znajdując pomiędzy nimi dużo analogii. Nie zastanawiając się nad temi podobieństwami, które nas tutaj mniéj obchodzić mogą, musimy tylko przypomnieć, że cechą główną każdego organizmu jest zależność wszystkich członków jednych od drugich. Każde zbiorowisko ludzi, ażeby dojść w zabiegach swych i pracy do jakichkolwiek rezultatów, musi się urządzić, uorganizować; ów porządek zależy na tém, że jedni muszą ulegać drugim; jedni muszą mieć możność i umiejętność rozkazywania, drugim niezbędną jest dobra wola i umiejętność słuchania t. j. spełniania rozporządzeń. Nazywa się to władzą i posłuszeństwem; rozkazywano ludziom w imieniu bóstwa—słuchali z obawy zatracenia wiekuistego, rozkazywano niewolnikom—słuchali z obawy utraty życia, poddani słuchali z obawy kary cielesnéj i utraty mienia, robotnicy wolni słuchają z obawy utraty zarobku. Jak tylko narody zaczynały się wyzwalać z więzów rządów teokratycznych, własność stawała

się główną podstawą organizacyi, węzłem spajającym organizm społeczny; węzeł ów z biegiem czasu staje się coraz luźniejszym, zależność jednak jako warunek porządku i gwarancya pracy skutecznéj istnieje dotąd, ale w stopniu znacznie mniejszym niż to było przed wiekami; istnieć zaś zawsze musi w stopniu odpowiadającym wykształceniu rozumnemu u tych, którzy rozkazują i dobréj woli słuchania u tych którzy rozkazy spełniają. Nie wyrzekamy się bynajmniéj nadziei, że kiedyś ludzkość dojdzie do takiego stopnia wykształcenia, iż rozkazu słuchać będą dlatego, że zrozumieją konieczność ładu i porządku w robocie, i z obawy narażenia interesu ogólnego spełniać będą sumiennie wszelkie rozporządzenia kierowników, wtedy być może własność okaże się już niepotrzebną. Póki jednak nie dosięgniemy tego szczytu wykształcenia i nie nabierzemy umiejętności ulegania swobodnego i dobrowolnego dla celów naprzód już zrozumianych, póty, pomiędzy wszystkiemi znanemi formami zależności, ta która się opiera na własności dzisiejszéj zdaje się nam być jeszcze ze wszystkich najlżejszą. Nie przyczymy że dzisiejsze formy prawne mogą a nawet powinny ulegać zmianom i muszą się doskonalić jednocześnie z wykształceniem się coraz większéj liczby ludzi, ale nie możemy nie widzieć, że zmiany te, właśnie dla tego, muszą być niezmiernie powolne, naraz bardzo drobnostkowe tylko i rozłożone na stopniowanie nieskończone prawie.

Jeżelibyśmy dzisiaj chcieli własność dekretem prawa przerobić na wspólną, lub tylko otwierać dla wspólności szersze pole t. j. dopomagać sztucznie do jéj formowania się, musielibyśmy robotnikom nakazać posłuszeństwo względem pewnych osób, boć żadna spółka bez kierownika obejść się nie może, a kiedy kierownika niesłuchają spółka się rozprzęga; żeby zabezpieczyć skuteczne jéj działanie, musielibyśmy obmyśleć kary, których obawa wywołałaby uległość i posłuszeństwo. Mielibyśmy w ten sposób drogę otwartą do socyalizmu państwowego, do roboty nakazanéj, od któréj nikt uchylićby się niemógł, a wynagrodzonéj wedle normy przepisu prawnego o podziale wytworzonéj wartości; co wszystko byłoby bardzo podobne do poddaństwa i pańszczyzny, ze zniesienia któréj przecież chlubią się wszystkie narody europejskie.

Konkurencyi nieograniczonéj zarzucają anarchią, którą ona do przemysłu wprowadza, a obok tego, że pozostawiając swobodę działania wszystkim siłom społecznym, ułatwia ona kapitalistom panowanie bezwzględne nad robotnikami. Chcąc ją z tych wad poprawić, należałoby ją uporządkować, czyli z jednéj strony zakreślić granice w jakichby przedsiębiorcy mogli spółzawodniczyć pomiędzy sobą, z drugiéj zaś wpływać na umowy pomiędzy kapi-

talistami a robotnikami. Nie zaprzeczając bynajmniéj władzom rządowym prawa mięszania się w sprawy gospodarskie, nie możemy jednak uwierzyć żeby one kiedykolwiek potrafiły uporządkować spółzawodnictwo; przepisując mu pewien porządek można osłabić jego energią, ścieśnić ruchy przedsiębiorców, nie pozwalać im liczyć na własne siły i umiejętność, ale słabość i brak energii nigdy bodaj nie bywały na świecie gwarancyą kierunku rozumnego a tém mniéj porządku, owszem zwykły one prowadzić do nieładu i do coraz gorszych nadużyć. Dobrze urządzone biuro statystyczne, wiadomości o produkcyi i handlu dokładnie gromadzone i prędko ogłaszane lepiéj zapobiegą anarchii w przemyśle fabrycznym, aniżeli najdowcipniejsza reglamentacya administracyjna.

Dla obrony téż słabych od ucisku silnych niekoniecznie brać ich potrzeba pod opiekę biór rządowych, które same od wpływu silnych świata tego zbyt rzadko obronić się umieją; nam się zdaje że o wiele pewniejszą do tego drogą będzie dozwolenie owym słabszym łączenia się w grupy legalnie organizowane, bo tak z sobą solidarnie związani lepiéj swój interes rozpoznają i lepiéj bronić go potrafią, aniżeli oficyalni ich opiekunowie. Przepisy prawne o czasie roboty dla kobiet i dzieci mogą być użyteczne o ile inspekcya fabryk będzie umiała dopilnować spełnienia tych przepisów; w Anglii i w Niemczech wślad za normowaniem dnia roboczego dla małoletnich idą zaraz wyjątki z pod tego prawa, wyjątki dopuszczone w celach interesu praktycznego saméj produkcyi, albo nawet i rodzin robotniczych; trudno przypuścić ażeby inspektorowie fabryczni nie folgowali tym wyjątkom nieraz więcéj i szerzéj aniżeli to mieli na celu mądrzy prawodawcy. W Anglii zaś robotnicy stowarzyszeni w trades-unions sami oznaczają liczbę uczniów małoletnich przy fabrykach i sami pilnują żeby oni więcéj nad przepisaną liczbę godzin nie pracowali. Droga stowarzyszenia się robotników bodaj skuteczniejszą się okaże w praktyce aniżeli przystawienie im opiekunów urzędowych.

Parlamenty i sejmy składają się we wszystkich krajach z ludzi zamożnych, można ich podejrzewać że interes kapitalistów bliższy ich sercu aniżeli interes robotników; tam gdzie nie ma parlamentu biurokracya, a przynajmniéj sfery jéj wyższe, kierujące, również werbują się z pomiędzy bogatych, a ci może jeszcze mniéj na seryo niż posłowie sejmowi biorą do serca sprawy ubogich. Dla tego zapewne prawodawstwo wszystkich krajów, ludziom prostym, ciemnym, ubogim, przyznaje tak skąpą dozę praw o jakimkolwiekbądź znaczeniu praktycznem. Dzisiaj w rzeczypospolitéj francuskiéj, w izbie gdzie tylu jest radykalistów, większość nie może odważyć

się na legalne organizowanie syndykatów pomiędzy robotnikami, chociaż one pomimo prawa istnieją oddawna, a nawet administracyi krajowéj nieraz wyświadczają usługi; w cesarstwie Niemieckiém każdy *verein* robotniczy bywa podejrzewany o socyalizm; tam i tu budzą się ciągle obawy o spokój, o porządek społeczny, a tam i tu statyści kierujący nawą państwową mają zawsze na ustach i wypisują w projektach do praw wyrazy opieki, pomocy dla ludu: zdają się więc powiadać wyrobnikom: nie róbcie sami niczego, nie myślcie o waszych sprawach, my dla was urządzimy los pomyślniejszy i wyższe zarobki i damy wam bezpieczeństwo o dzień jutrzejszy.

Trochę więcéj wiary w skuteczność wolności, w pożytek dla ludzi zajmowania się własnemi interesami, bodaj wyszłoby na lepsze statystom i parlamentom; nie trudno obiecywać, ale dotrzymać obietnicy często bywa bardzo trudno. Cóż odpowiedzą ministrowie kiedy robotnicy zaczną dopominać się u nich o pozycyą zabezpieczoną na starość, wniosą do izb projekta do praw nakazujących robotnikom pewne składki, ażeby było z czego wypłacać im emeryturę; a jeżeli ciż sami robotnicy, ufni w robione im obietnice, dla możebności wnoszenia składek zaczną się dopominać o wyższe zarobki, wówczas władza odwoła się chyba do *ultima ratio*, do owego drutu telegraficznego, który z gabinetu prezesa rady przeprowadzono do ministeryum wojny i wystąpić trzeba będzie z kartaczami w obronie porządku społecznego.

Byłoby bezpieczniéj a niezawodnie skuteczniéj powiedzieć odrazu robotnikom: radźcie sami o interesach waszych, próbójcie dopiero za wspólnym między sobą porozumieniem przystępować do umowy z fabrykantami, szukajcie sami sposobów podwyższenia waszych zarobków, a dopóki to będziecie robili spokojnie, nie dopuszczając się kroków gwałtownych, my nie pozwolimy wam w tém przeszkadzać, owszem obronę legalną wam zapewnimy i starać się będziemy ułatwić wam rozpoznanie warunków, w jakich się znajduje przemysł w którym pracujecie, żebyście mogli korzystać z każdego szczęśliwego zbiegu okoliczności i stopniowo zapewnić sobie trwale zarobki wyższe.

Taki rodzaj opieki byłby, jak się nam zdaje, drogą prostą, środkiem skutecznym wychowywania robotników i tutaj władze państwowe mają przed sobą rozległe pole do reformy rzeczywistéj. Wielu z pomiędzy socyalistów z katedry drogę tę wskazuje, a jeżeli niektórzy pomiędzy nimi dopominają się zmiany w formach prawa własności, wynika to ze szczeréj chęci prędszego polepszenia stosunków pomiędzy kapitałem a pracą, ale zarazem ze zbyt idealistycznego zapatrywania się na działanie przepisów prawnych.

Kapitał jest siłą gospodarską, a kapitalista ma możność nadużywania swéj siły i zmuszenia robotnika do przyjęcia warunków mniéj korzystnych, ażeby stosunek ten poprawić zdaje się rzeczą do zrobienia najprostszą: osłabić silniejszego—a nie będzie mógł szkodzić słabemu; bliższe wpatrzenie się w ten stosunek wykaże bodaj, że najprzód: osłabić silnego nie tak łatwo, bo on umiejętnie bronić się potrafi; a potém pracując nad osłabieniem jednéj kategoryi silnych można dojść do rezultatu niespodziewanego, do wzmocnienia innéj grupy także silnych, która zachwyci kierownictwo i tak samo, a może znacznie gorzéj, będzie uciskać słabych, tylko z innéj strony; na szczęście jest inna droga, mianowicie: dozwalać słabszym wzmacniać się; każdy krok postawiony na téj drodze posunie nas cokolwiek naprzód do zamierzonego celu, do poprawienia stosunku pomiędzy kapitałem a pracą, a tutaj będziemy mieli o tyle więcéj korzyści, że usiłowania nasze prawie nie mogą ginąć marnie, jeżeli będą rozumnie kierowane, bo przyczyniać się będą do wzrostu nowéj siły społecznéj, która wzmacniając się, sama siebie od wszelkiego rodzaju ucisku coraz to lepiéj bronić będzie mogła i obronić potrafi.

Prawo własności dzisiejsze nie jest dla nas zgoła żadną absolutną i doskonałą formą, niezawodnie z czasem będzie się ono przekształcać, ale zmiany te powinny przejść przez próbę ognia praktyki życiowéj, ażeby mogły bez niebezpieczeństwa dla porządku społecznego skrystalizować się w przymusowe formy prawne. Własność nie jest żadną siłą żywą bujającą w przestrzeni, którejby można nadawać ten lub inny kierunek, zmusić ją do robienia zamierzonéj roboty wedle pomysłu jurystów lub ekonomistów; jest ona dopełnieniem siły moralnej swobodnego człowieka, materyalną podporą wolności, układać się téż będzie w formy prawne wedle możebnego stopnia téj wolności rozumnie używanéj. Nikt nie zaprzecza legalności wywłaszczenia na rzecz pożytku publicznego i nie protestują ludzie przeciwko podatkom przez prawą władzę nakładanym, chociaż one nieraz bardzo są uciążliwe, bo wszyscy mają pojęcie jasne i dokładne o korzyściach wypływających z tych form wywłaszczenia dla całego narodu; jeżeli więc własność wspólna czy zbiorowa, z którą już dzisiaj zaczynają się dokonywać pierwsze próby, okaże się być korzystną, egoizm dzisiejszych właścicieli będzie musiał ustępować krok za krokiem i wtedy układać się będą nowe kodeksa, wedle których może i podział produkowanéj wartości słuszniéj się pomiędzy żywiołami produkcyi odbywać będzie.

Socyaliści z katedry probóją torować drogę dla nowych kodeksów, a chociaż w swych pracach naukowych nie osiągnęli jesz-

cze żadnych wielkich rezultatów, jednakże położyli na tém polu niemałą zasługę, bo otwarcie, głośno i wyraźnie uznali niedostatki dzisiejszéj organizacyi społecznéj; krytykę społeczną koryfeuszów socyalizmu wzięli pod osłonę swojéj flagi naukowéj, oswoili z nią publiczność, starają się oczyszczać ją od przerażającéj spokojnych ludzi atmosfery rewolucyjnéj, która dotąd ją otaczała, pozbawić cechy namiętnéj wyzywającéj do walki na pięści; agitującą się ciągle demokracyą socyalną niemiecką usiłują wprowadzić na spokojne tory socyalizmu naukowego, który trzyma się zdala od wszelkich rewolucyjnych zachcianek. Oby téż uniknąć potrafili innego niebezpiecznego kierunku i nie wpłynęli a raczéj nie dali się wciągnąć w ciasny kanał socyalizmu państwowego.

A. Oskierka.

GWIAZDA PRZEWODNIA

OBRAZ NA TLE ŻYCIA WSCHODNIEGO.

III.

W jednéj z uliczek trebizondzkiego bazaru, przypierającéj do muru zębatego bizantyńskiéj cytadeli, wówczas siedziby tureckiéj ludności, w otwartéj wystawie sklepowéj, siedział szpakowaty Turek kupiec z podkurczonemi nogami, kurząc nargile i licząc w przestankach ziarnka różańca. Miał twarz jak nalaną, oczki świdrujące a koniec nosa trądem okryty; pomimo wieku spóźnionego zdradzał ogromną pretensyonalność, woń piżma i olejku różanego zalatywała od niego z daleka. W sklepie prócz jego właściciela i sofy, na któréj siedział, nic zgoła nie było widać z towarów;—każdy jednak w Trebizondzie wiedział, że to był sławny „jesir-han", bazar niewolnic, Kizir-effendego, najznakomitszego handlarza czerkieskiemi niewolnicami i w ogóle niewolnikami.

Kizir-effendi z wygładzoném czołem i spokojem bożka w pagodzie chińskiéj, pogrążony w majestatyczném milczeniu, zerkał to w niebiosa przelotnemi chmurkami okryte, to na psy śpiące na śmietniku, to na gołębie latające nad sąsiednią „dżamiją"; niekiedy téż rzucał ukradkiem wzrok na przechodniów, by w czas odpowiedzieć na ukłon lub przywitanie. Z wnętrza sklepu, z po za żółtéj kotary we drzwiach, dolatywał od czasu do czasu śmiech srebrzysty lub urywana zwrotka śpiewu czerkieskiego, nucona głosem krtaniowym. Oczki mu w téj chwili pływały jak w oliwie, a ziarnka różańca stukały mocniéj. Melodyę wschodnią na raz przerwała obca, smutkiem i nabożeństwem tchnąca, czystym złocistym sopranem dziecinnym nucona po polsku. Polskiemu słuchaczowi żywo-by się przypomniały czasy jasyrów, gdy branki polskie korne modły słały do nieba z serajów Stambulskich i Bachczysarajskich.

Wszystko ucichło, polski śpiew jeden brzmiał:

„Tyś swą skruszyła nogą łeb smokowi,
Tyś pyszne starła rogi Turczynowi“...

Kizir-effendi nie rozumiejąc słów, ani wiedząc że to pieśń pobożna chrześcijańska, kiwał w takt zachwycony głową, puszczając cieniusie smużki dymu przez naperfumowane wąsy. Kantyczka o N. P. Częstochowskiéj dochodziła końca, gdy na środku ulicy ukazał się dość liczny orszak, na czele którego szedł przysadkowaty, krzepki mężczyzna w sile wieku, w delii futrzanéj, krytéj „sofem“ angorskim, rodzajem repsu, z białym zawojem na głowie, o surowéj twarzy z kabłąkowatym nosem i siwemi oczkami, ostro spoglądającemi z pod nawisłych brwi. Należący do orszaku, słudzy i dworzanie, mieli również poważne i surowe postacie jak ich pan. Zaledwo zrównali się z „jesir-hanem,“ Kizir-effendi, skoczył na nogi jak młodzieniec, witając pana z najuniżeńszą grzecznością, pomięszaną z radością kupca na widok hojnego nabywcy.

Po odmówieniu nieodzownych przywitań, pierwszy przemówil pan.

— Przybywam do ciebie, duszko—baranku, stosownie do umowy i chcę być przedewszystkiem słownym—obyśmy wszyscy takimi byli!

— I któżby nad twoją bejowską mość był akuratniejszym?—chyba słonko jasne i błogosławiony księżyc, bo zegarek ci nie dorówna...

— Na tośmy, aby pilnować sprawiedliwości i porządku padyszacha, aby zwyciężał!

— Uf! uf! a jest że kto pilniejszy i sprawiedliwszy od Achmeta-beja z Kierasundy? Pokaż tylko twe „białe“ oblicze, a niesprawiedliwość i nieporządek wnet pierzchają jak noc przed słońcem...

Ostatni komplement wywołał i u służby Achmeta-beja oznaki głośnego zadowolenia, przez cmokania i ochania. Możnowładca kierasundzki przestąpił zresztą próg sklepowy, nie spiesząc się siadł na sofie, powitał milcząco ręką gospodarza i wypił sakramentalną kawę, pociągnąwszy parę razy z fajki na cybuchu sążniowym.

— Pokaż że mi teraz twoją perłę bahreimską—rzekł bej wstając przy pomocy swego czibakczego—słyszałem o niéj od waszych wielkich ludzi. Zobaczymy. A któraż to tak pięknie śpiewa?

Kantyczka była nuconą przez cały czas bytności beja u handlarza, dopiero teraz ucichła.

— To ona, klnę się, równéj nigdy nie miałem w mym handlu! Twarz jej, to księżyc w pełni, oczy jak gwiazdy, usta korale a war-

kocze promienie słoneczne. Słodka jak pomarańcza z Jaffy, ciałko jéj, to aksamit z kości słoniowéj. Uf! uf! klejnot nad klejnotami pokażę przed twe jasne oczy.

— Może ci narobić z czasem wiele rozgłosu, dopomódz twéj sławie...

Kotara żółta została podniesioną przez czarnego rzezańca. Zaledwo weszli, handlarz wydał rozkaz rzezańcowi:

— A sprowadź tu nam, duszko, dziewczynę Kasima! Prędko tylko!

Izdebka, do któréj wprowadzony został bej, była nieco umeblowaną; miała sofkę niewielką, podłogę usłaną pysznemi „hały,“ dywanami smirneńskiemi, ściany poobwieszane szalami perskiemi, tyftykami, strojami kobiecemi, źwierciadłami okrągłemi w ramach z perłowéj macicy, szafkami oszklonemi z klejnotami kobiecemi. Zapach dymu aloesowego i olejku różanego przenikliwie czuć było w powietrzu. Był to na pół buduar damy tureckiéj, napół magazyn strojów kobiecych najwytworniejszych, a salon prezentacyjny niewolnic.

Achmet-bej usiadłszy na sofie, odselamował gospodarza ręką i pogrążył się w rodzaj niemego zachwytu, na widok tylu pięknych rzeczy, wystawionych w magazynie. Nie miał czasu jeszcze dobrze obejrzeć wszystkiego, gdy przez uchyloną kotarę weszła, popychana z tyłu, przez wyszczerzającego zęby murzyna, postać dziecięca zakutana w biały „czarczaf“, rodzaj mantyli do ziemi, do zakwefiania się z głową.

Wprowadzona wydała okrzyk zgrozy i wstydu. Czarny popchnął ją na środek i jednocześnie zdarł z niéj „czarczaf.“ Krzyk przerażenia ponownie zabrzmiał, a z pod zdartego kwefu ukazała się biała jak alabaster dzieweczka, która wnet przypadła do ziemi zasłaniając wstydliwie ramionami piersi zaledwo zaokrąglone; pyszny warkocz złocisty kaskadą spadł na ziemię, broniąc przed ciekawym wzrokiem, nieszanującym wstydu niewieściego. Chociaż obnażenie trwało zaledwo chwilkę, bej był bardzo zadowolony z oględzin; nieznaczny uśmiech przemknął po jego surowo zaciśniętych ustach. Dzieweczka, na wezwania eunucha i gospodarza, za nic powstać z ziemi nie chciała, dopóki nie narzucono na nią znowu „czarczafu.“

Turcy do dziś dnia pojmują wstydliwość kobiet, tylko w obec cudzych mężczyzn; jest ona dla nich niepojętą, w obec pana lub męża.

— Dzika - rzekł bej—dowodzi to, że choć cudzoziemka będzie skromną jak nasze niewiasty—następnie dodał po czerkiesku, zwrócony do niewolnicy—a jak się nazywasz duszko?

— Kasia Dziewoniówna—odpowiedziała przez łzy swym śpiewnym głosem córka Bartosza.

— Nie bój się córko, nadzwyczajny może cię spotkać zaszczyt i szczęście... A pokaż że mi ty zęby?

Gdy i te ostatnie obrzydliwe oględziny odbyte zostały, bej, cmoknął parę razy i poprosił Kasię, by mu co zagrała a następnie potańczyła. W przestanku, gdy Bartoszównę strojono w przyległym pokoju, bej dopytywał się pilnie o rodziców jéj, handlarz zapewniał uroczyście, że pozostali na zawsze na Kaukazie.

— Pamiętaj, effendi,—rzekł bej do handlarza—może ona pójść tam, gdzie o żadnych rodzicach wiedzieć nie wolno kobiecie...

— Prędzejby ten język usechł — i handlarz dotknął ust palcem—zanimby kłamliwe słowo przed tobą, sułtanie, ośmielił się wymówić.

Kasia weszła na powrót wystrojona w bogaty strój turczynki, z gitarą w ręku, na któréj gdy zagrała, wywołała podziw u swego nabywcy, a co do śpiewu, to przy nim całkiem stracił powagę surowy oligarcha, pogłaskał śpiewaczkę pod brodę, dodawszy, że śpiewa jak słowik. Taniec nie tyle się podobał, Kasia bowiem nie mogła sobie za nic przyswoić choreograficznego kunsztu haremów, dziedziczących takowy po bachantkach i bajaderach; gracya musi być tu koniecznie zaprawiona kankanowemi ruchami, a na te córka Dziewoniów za obyczajną i czystą była, aby je zdołała sama powtórzyć.

Achmet-bej był całkiem zadowolony z niewolnicy, zapłacił za nią bez targu, to, co zażądał handlarz,—podwójną sumę długu Kasima.

— Ałłach niech cię wynagrodzi i ma w swém miłosierdziu—mówił handlarz, zbierając złoto z dywanu, z pod nóg, ciśnięte przez nabywcę, wedle etykiety tureckiéj—będziesz ty miał pociechę z téj dziewczyny, wyniesie cię ona tak wysoko jak sam zechcesz!..

— Pamiętaj tylko o rodzicach, nikt wiedzieć nie powinien, żem ją kupił. Po nocy mi ją odeszlesz do portu, zkąd odpłynę wprost do domu.

— Bądź spokojny, panie pana mego, jażbym chciał sam dla siebie „wzburzyć kurz zawichrzenia“ (niepokój), być własnym wrogiem?... Co zaś do odesłania, to dla mnie nie nowina,—mam do tego nosze umyślne; nikt jéj nie podpatrzy.

Po umówieniu się o godzinie odstawienia Kasi, bej opuścił „jesir-han“ przy nieskończonych ukłonach i komplementach „jesyrdżego.“ Handlarz zaledwo zdołał schować złoto za sprzedaną niewolnicę, gdy na progu ukazali się Nuri z Kasimem witając go wesoło z posuwaniem ogromnych papach na tył głowy.

— Ałłach przecie się nad nami nieszczęśliwymi ulitował—zaczął Kasim—sprzedałeś moją niewolnicę, dług więc twój zaspokojony. Idźże teraz do paszy, wydobądź natychmiast mych biednych ziomków, z którymi tak nie po ludzku postąpiliście...

— Taki nasz zwyczaj duszko—odpowiedział handlarz—pamiętaj jednak, żebyś przed nikim nie wydawał, że sprzedałem twoją niewolnicę...

— A co mi tam potem!.. Cóż będzie z ojcem i matką?

— Ts, ts! Język własny bywa największym nieprzyjacielem człowieka, pomnij o tém duszko—baranku—i handlarz powiódł okiem niespokojnie na około—cały targ pójdzie w niwecz, gdyby się dowiedzieli; milcz jak zaklęty. O nich będzie mowa dopiero jak nabywca twéj niewolnicy odjedzie...

— Dobrze, ale musisz natychmiast uwolnić mego ojca--przerwał Nuri—a powiedzże effendi, po coś oddał okup Żelisława temu rozbójnikowi?

— Cicho! cicho! Ałłach niech strzeże nas od złego. Nie znasz synu naszego zwyczaju. Waj! waj! Czy ty myślisz, że tu wasz dziki kraj? U nas przed tak wielkim człowiekiem jak Kara-Faki, ja, maluczka istota, nic nie znaczę;—muszę słuchać, co mi rozkaże. Kazał oddać, pokazał żywego człowieka, który dał mi pokwitowanie i cóż miałem począć?.. Oddałem, oddałem co do grosza...

— Tak to wy, Turcy, zawsze nas, Czerkiesów, obrabiacie... Orzecie nami jak bawołami, a po tém lichą plewą wynagradzacie lub zamiast niéj obdzieracie do koszuli i sadzacie do waszych szatańskich więzień... Powiedzże mi przynajmniéj, gdzie Żelisław; bo choć był on naszym niewolnikiem, pokochałem go jak brata?

— Dobrze mu jak w raju, gościem jest ciągłym Kara-Fakiego, który go pokochał jak własnego syna.

— Syn złości możeż kogo kochać?! No, ale radźże teraz—przerwał Kasim—co począć z tym rozbójnikiem jak wydobyć od niego niewolnicę?

— Srebrnego klucza użyjcie, ten wszędzie otwiera. Dajcie po dwie „kiesy“ za głowę...

— Zkąd je wziąć?.. Duszę chyba chcecie wydrzeć?—i u Kasima oczy dziko zaświeciły a rudy zarost jakby stanął w płomieniach.

Handlarz się strwożył, zaczął uspakajać zrozpaczonych górali, na ostatku dał radę:

— Idźcie do Musy-beja, on jest dobrze z Żelisławem, niech go tu sprowadzi. Powiadacie, że był z wami w przyjaźni?—owóż proście go, aby nakłonił beja do oddania zagrabionych niewolnic. Co do mnie, biegnę do paszy, aby uwolnił waszych biedaków, których żałuję serdecznie—szkoda, szkoda! Ale cóż miałem począć, gdy pieniądze nie moje były?.. Przysięgam na Ałłacha!

Czerkiesi jak wilki w dole wyszczerzali tylko swe białe zęby, zerkając złośliwie z podełba na handlarza przebiegłego. Pożegnali go niby przyjaźnie, wedle przysłowia tureckiego: „rękę, której uciąć nie możesz—ucałuj,“ klnąc na czem świat stoi w duszy. Kasim domyślał się, że handlarz musiał dużo zarobić na Kasi, którą zaledwo po długich targach zgodził się był wziąć w zamian długu, zaciągniętego na Nedzibe i Nazikę; dał jednak pokój dopytywaniom, stosownie do dyplomatycznego zwyczaju, panującego powszechnie wśród ludów Wschodu.

Obaj Czerkiesi stanęli niebawem przed niepokaźnym domkiem w cytadeli, zamieszkałym wyłącznie przez prawowiernych. Zapukali zardzewiałą kołatką. Po chwili wpuścił ich do środka obszarpaniec jakiś o idyotycznéj twarzy.

— Bej w domu?—pytał Kasim.

Odźwierny, zamiast odpowiedzi, zaśmiał się i w powietrzu zaważył ręką jakby czyste złoto zalecał. Po schodkach zabłoconych i wydeptanych dostali się do „selamliku“ pretensyonalnie przystrojonego, ale pełnego brudu i nieładu. Zapach kwaśnéj rzepy z czosnkiem, geniusza opiekuńczego rasy semickiéj, uderzał powonienie na wstępie. W rogu lewym sofy, obłożony poduszkami, w futerku lisiem z ogromnym zawojem na wygolonéj głowie, siedział z prawdziwie wschodnią powagą Musa-bej, odmieniony rzec można nie do poznania, gdyby nie rysy zawiesiste żydowskie, kasztanowaty zarost, a nadewszystko ruchy—„aches mir..“ Rok zaledwo upłynął, z Moszka jak z poczwarki wyleciał Musa-bej, motyl do wysysania rozkoszy wschodnich, za pomocą delikatnego rozumu izraelskiego... Trudno było poznać na razie, że nie był znakomitością miejscową. Pełno miał interesów najrozmaitszego rodzaju, wszyscy go potrzebowali a on nikomu nie odmawiał swych posług, za co, mówiąc nawiasem, łupił faktorne o jakiem niesłyszano nigdy w Europie.

Dziwne chodziły gadki, bo gdy jedna połowa twierdziła, że Musa-bej jest wzorem bogobojności, mądrości, fundamentem o pięciu węgłach, na których stoi islam;—druga za to, wręcz przeczyła temu podkpiwała z niego, dodając po cichu—„pezewenk“ (rajfur)... Naj-

bliższe stosunki łączyły go z Kizir-effendim, któremu potajemnie dostarczał najtańszych odalisek z Berdyczowa, Czerniowiec, Rygi. Dopomagała mu w tém małżonka Mał-hanym, przerobiona z Małki, przybyłéj do niego z Berdyczowa z parą bachorków, pochodzących z prawowitego związku izraelskiego, przed pójściem w rekruty zawartego. Tauby, Gołdy, Miny, Rozy, sprzedające się dobrowolnie dziewice, był przez nią sprowadzane i oddawane do „jesir-hanu," zkąd na wagę złota, jako poprawne czerkieski, zostawały zakupywane do haremów znakomitych muzułmanów. . .

Jak każdy rodak mojżeszowego wyznania, był Musa nieco poliglotą; już mógł z biedy rozmówić się po turecku, a po czerkiesku kaleczył dawniéj, chwytnął po parę słów ormiańskich i greckich, ale do potrzeb większych musiał jeszcze posługiwać się tłómaczami. Trzymał przy sobie za dragomana prawowiernego Bośniaka, Marifeta-effendego, o cygańskiéj fizyjonomii z żabiemi oczami na wierzchu, z powołania i zatrudnienia astrologa, wróża, stałego rezydenta bezpłatnego jerozolimskiego beja. Miał do pomocy i inne skuteczne narzędzie, świadczące nie tylko o jego niezaprzeczonéj prawowierności, ale dzielnie dopomagające astrologowi, gdy brakło konceptu jego horoskopom, zawracającym mózgi do reszty interesantom Musy-beja. Był nim derwisz z reguły kalenderów, o których jest gadka, że jedzą „aż w żołądku miejsca na oddech zabraknie, a na obrusie nic nie zostanie, przyczem się dużemi kroplami jak deszcz ulewny pocą;" z powierzchowności przypominał sobą butel czerwony, z granatowym jak kartofel nosem, ze spiczastym kołpakiem na głowie, zamiast szyjki. Naturalnie jak każde otoczenie obco-narodowe żyda, obaj musieli być nałogowymi wielbicielami trunków; trudny był wybór pod tym względem do zrobienia pomiędzy derwiszem a astrologiem; pili na wyścigi jeden przed drugim, dniem i nocą.

Czerkiesi zastali obydwóch pomocników przy Musie-beju. Po przywitaniu się i dowiedzeniu o co chodziło nowoprzybyłym, berdyczowski bej, wpadł w głęboką zadumę; przebierał paciorki różańca, to kalendera, to wróża zarywał dopytując niby o radę; na ostatku westchnął, i skinąwszy głową, machnął beznadziejnie ręką.

— Słuchaj beju — zawołał Kasim przeszywając go wzrokiem— a co, gdybyśmy mieli pieniądze czy znalazłaby się rada?

— Pieniądze to bóg ziemski, ach! ale cóż kiedy wy sił nie macie?! — i bej ponownie skinął ręką z lekceważeniem bez nadziei — prawdę mówiąc, Kara-Faki utrzymywał wasze niewolnice. . .

— A kto tego syna ciemności o to prosił? Piątego dnia, po rozbiciu się, byliśmy już w Trebizondzie, „jesyrdżi" przekarmiłby

je darmo albo policzył bagatelę; tymczasem ten rabuś trzyma je przeszło trzy miesiące. . .

— Nu, co ja winien temu?... Żelisław też nie będzie wam darmo służył, skoroście go sprzedali. . .

Czerkiesi zgrzytnęli i strzepnęli sobie klapy czerkiesek, mruknąwszy gniewliwie.

— Co za gniew, po co ten gniew? to nic nie pomoże. Trzeba będzie Żelisława też opłacić, i to dobrze — a tu zkąd wziąć pieniędzy?—przerwał Musa dyplomatycznie.

— Zostawiliśmy ci życie i wolność — wtrącił Nuri — poradź że nam przynajmniéj, zkądby wydobyć pieniędzy, bo nie możemy wrócić do kraju ze wstydu, nawet za drogę nie mamy co zapłacić, gdyż ostatnie pieniądze oddaliśmy za przewóz niewolników Kasima? Tyś naraił kupca na Kasię, wynajdźże i na starych? . .

— Spójrz na mnie „droga osobo“ — rzekł Musa do kalendera nazwiskiem Wudżud Szerif — może ty co poradzisz naszym kochanym jednowiercom, komuby sprzedać ich towar?

— Ałłach! Ałłach! a komużby jak nie tobie najmilszy synu, hu! hu! hu! — i człowiek butel pociągnął mocno z „nargili“ aż woda chrapnęła, poczém puścił w górę parę cieniusich kółeczek dymu.

— Dalibóg! nie mam pieniędzy i nie potrzebuję — odpowiedział Musa zwracając się do astrologa — a ty „hadżo-effendi“ (panie profesorze) jak myślisz?

Wróż bełkotał długo w nargilu, oczami wodził po Czerkiesach, to je w niebiosa posyłał.

— „Pan światów“ — niech go Bóg pozdrowi i uwielbi! wiele może odkryć człowiekowi ze swéj dostojnéj księgi — rzekł grobowym głosem — oko widzącego widzi widoki na widnokręgu przyszłości i w przepaścistych przepaściach przyszłości... Radźcie się tego, kto wam najlepiéj dotąd radził. . .

Z tego horoskopu alliteracyjno-jednobrzmiennego domyślili się Czerkiesi, że mogliby otrzymać lepszą wróżbę z Koranu, ale za pieniądze; skoro tych jednak nie posiadają, muszą słuchać i nadal Musę. Nie podobna było więcéj wydobyć słowa z Marifeta-effendego, który dziedziczył w prostéj linii tradycye postępowania ze stronami bez pieniędzy po wieszczach i wieszczbiarkach ammońskich, memfiskich, dodońskich, delfickich... Czerkiesi żyli w domu ubogich przy dżamjach, jedli i spali darmo, ale pieniędzy ani szeląga nie mieli przy duszy, żeby zapłacić wróżowi. Kasim tęskno z dziką rozpaczą zerkał dokoła, krząkając i odsłaniając co chwilę rudy zarost podgolony przy spychaniu papachy na tył głowy.

— Waj! waj! dziwny wasz świat... Czekajcie, zaprobuję sam radzić... Moi niewolnicy byli bardzo blizcy Żelisławowi, podobno są to dawni chłopi jego, lubi ich on bardzo czyby nie namówił wziąć oboje, zamiast pieniędzy, dla tego nieczystego rozbójnika?

— Może i namówi, albo to ja wiem?... Kto zechce brać ludzi, kiedy żąda pieniędzy?!.. ludzi wszędzie jak śmiecia...

— Co ty, co ty, beju! ależ ci ludzie więcéj warci od złota! Takich za niebym nie sprzedał, gdyby nie ten szatański dług i potrzeba wydobycia reszty niewolnic; zresztą nie należą oni do mnie wyłącznie. Powiadam ci, to klejnoty prawdziwe; nie widziałem nigdy ludzi téj dobroci i pracowitości, słodyczy i zacności. Sprowadź no tylko Żelisława, zobaczysz, że natychmiast przystanie na naszę propozycyę.

Musa po długiém wahaniu się przystał na żądanie Czerkiesów, obiecał sprowadzić do miasta Żelisława. Czerkiesi wynaleźli sami ludzi z okolic Taun-tepe, a Marifet-effendi napisał po słowiańsku list do Żelisława, który Musa z należytą powagą przypieczętował ogromną srebrną pieczęcią, zawieszoną w woreczku na piersiach jak u prawdziwego Turka. Nie upłynęło parę dni, a Żelisław przybył do Trebizondy w towarzystwie „silahdara“ Tułuma-agi i jednego z synów Kara-Fakiego, wielkiego hulaki i przyjaciela od serca. Stanęli jak zwykle u Musy. Przed Czerkiesami zachowywano głęboką tajemnicę, że syn ich nieprzyjaciela przybył do miasta.

Żelisław na wiadomość, że Czerkiesi Kasię sprzedali, wpadł w wielki smutek. Szczególnie martwiło go to, że nikt nie chciał mu wymienić nazwiska nabywcy Bartoszówny. Ucieszyła go jednak inna wiadomość, mianowicie, że Kasim sprowadził na sprzedaż do Trebizondy i rodziców Kasi, po sprawdzeniu na miejscu jako cena jest niewystarczającą do pokrycia wszystkich kosztów i haraczu Kara-Fakiemu. Spragniony ujrzeć swych starych przyjaciół, poleciał natychmiast ich odwiedzić. Biedni niewolnicy byli umieszczeni u jakiegoś Turka, za miastem, żeby przypadkiem nie dowiedzieli się o córce, wydartéj im podstępem.

Dziewoniowie witali Żelisława jak anioła pocieszyciela; gdy przybył do nich, słowa gorące, przeplatane potokami łez, wylatywały im z ust drżących. Raz po raz przypadali mu do kolan, całowali go po rękach. Żelisław sam nie mógł zapanować nad sobą, łza błyszczała mu w oku, obejmował rozczulony to Bartosza, to Magdę. Panicz uczuł konieczną potrzebę dostania do siebie swoich ludzi; swojszczyzna jak zgłodniałego pokarm, nęciła ku sobie nieprzeparcie. Na razie był ogołocony z wszelkich środków pieniężnych;

gdyż rodzice oddawszy wszystko, co mieli z gotowizny, nie mogli nadesłać świeżych zasiłków, zwłaszcza, że tego sam nie żądał. Nie mógł myśleć o wykupie Bartoszowstwa jak wiemy, w podwójnéj cenie naznaczonym przez spólników Czerkiesów. Biadali i dumali wspólnie jak wybrnąć z tego trudnego położenia; stanęło na tém ostatecznie, iż Żelisław w myśl Kasima będzie nakłaniał syna Kara-Fakiego, żeby wziął Bartosza i Magdę, zamiast pieniędzy od Czerkiesów.

Żelisław nie mógł dotąd ochłonąć z przygnębiającego i oburzającego wrażenia, z powodu sprzedania Kasi przez Czerkiesów; powrócił do tego przedmiotu na pożegnaniu.

— Powiedzcież mi jak się to stało, że te dzikusy tak niegodziwie z wami postąpili?

— Abo to panicz zapomniał gadkę: „psu, koniowi, Tatarowi nie wierz"? Co muzułman, to muzułman, nie nasz katolik. U nich krew ludzką mierzą na kwarty i sprzedają jak rzeźnicy. Kasim, co prawda, nie chciał; ale kiedy inni go do tego zmusili — rzekł Bartosz.

— Nigdyby ja jéj nie oddała, ale wysłali nas oboje w pole; wtedy porwali i uwieźli siłą, mocą — i Magda chlipnąwszy, otarła rękawem oczy z łez.

— Może jakoś ją odzyszczemy — odpowiedział Żelisław— tymczasem bądźmy razem, to główne...

— Anieli i święci pańscy przemawiają przez ciebie złoty paniczu — wołała Magda wznosząc ręce jak do modlitwy — a uczyńże to miłosierdzie nad nami królewiczu złotowłosy!..

— Wiek służyć będę, kielo zapragniesz — dodawał Bartosz od siebie — krwi z pod serca utoczę, zabierz nas, byleśmy razem byli i naszą ludzką mowę słyszeli. Tyś-bo nie byle jaki, rozum twój za dukaty starczy...

Żelisławowi aż się serce krajało, ledwo mógł opuścić swych ludzi z głębokiego wzruszenia, przy niepewności czy zdoła ich nastręczyć Kara-Fakiemu. Powróciwszy do Musy, zaczął rozpytywać o cenę Dziewoniów; chciałby ich koniecznie sam wykupić, przynajmniéj zapróbować.

— Nu, co to jest? — odpowiedział Musa — abo to potrzeba tu na takie rzeczy wydawać pieniądze? Niewolnik u Turków jak nie chce, to sobie odejdzie, i nikt jego potém nie szuka. Niech tylko ten Tefik, ten syn Kara-Fakiego, niech wun przyjmie ich za pieniądze, to już gantze Geschäft zrobiony!..

— Co do Tefika, ten dyląg poszedłby za moją radą; ale ten Tułum, to istna zmora, będzie mu odradzał, gdyż Kara-Faki kazał

przywieźć koniecznie pieniędzy, których zabrakło obecnie w Tauntepe. Jakby to zrobić?

— Nu już ja wiem!.. Mój astrolog jak zechce, to mu wywróży tak, że będzie wielkie nieszczęście, gdy nie dostaną do siebie paniczowskich ludzi. Co? prawda?... Będzie git. Nu, co to jest żeby takiego prostaka nie namówić do czego? Od czegóż nasz delikatny żydowski rozum?...

— Zrób tylko to paszo effendim, a ja wnet będę powtarzał przed Turkami, żeś wart zostać ich seraskierem, bo wtedy na nowo cały świat zawojują...

— Bardzo proszę, bardzo proszę, tylko niech panicz tego z żartem nie mówi! — bo to jest wielki interes do zrobienia, aj waj! Wydam dzisiaj bal wieczorem, nu, to ten Tefik jak się upije, wszystko zrobi, a z Tułumem Marifet-effendi załatwi się naprzód. Będzie „pikes“, tylko panicz niech Turkom mówi co ze mnie bardzo wielki generał!..

— A przedewszystkiem waleczny...

— Niech sobie będzie i *m*leczny, tylko żeby był bardzo wielki generał... Paniczu, dobrodzieińku, tylko nie z żartem proszę to mówić!..

Żelisław śmiał się, a Musa-bej ruszył wydawać dyspozycye Mał-hanym na wieczorną hulatykę. Po zachodzie stawili się do „konaku“ beja muzykanci, „kiöczeki“ (tancerze za dziewczęta przebrani), „karagiözy“ (aktorzy-błaźni) i co było z hulaszczych effendich i bejów młodych; starzy naonczas jeszcze nie puszczali się na rozpustę jawnie jak się to dzieje obecnie pomiędzy wyznawcami „zbawczéj wiary.“ Silahdar Tułum był tak obrobiony przez Marifeta, że nie tylko nie przeszkadzał, przeciwnie, doradzał Tefikowi, aby zabrał polskich niewolników, więcéj wartych od złota, którego zresztą mogą nigdy nie oglądać, z powodu ubóstwa czerkiesów. Inną okolicznością na korzyść zamiany było i to, że ani Kizir ani żaden inny handlarz nie chciał nabywać zagrabionych dziewcząt, a to z powodu strachu przed zemstą Czerkiesów i namów Musy-beja, sprytnie rozpuszczonych. Zabawa wypadła wybornie, Tefik spił się do niepamięci, cała umowa została zawartą i nowi niewolnicy, ku niezmiernéj uciesze, zostali jeszcze tego wieczora sprowadzeni do „konaku“ palestyńskiego beja.

Uczynny pośrednik, pewny Żelisława, zażądał faktornego od Czerkiesów. Po długich certacyach musieli przystać, że mu za bardzo niską cenę oddadzą Nedżibe i Nazikę. Musa nabywał je, gdyż wiedział o ich wysokiéj wartości jako towaru, który nietylko go zbogaci, lecz dopomoże do wyniesienia w Turcyi.

Kara-Faki był nadąsany na syna i „silahdara“, że wzięli ludzi zamiast gotówki. Dopiero przedstawienia Żelisława ułagodziły derebeja, zwłaszcza gdy mu przedstawiono, że Czerkiesi są bez grosza, a niewolnic nikt nie chce kupować. „Lis“ widząc że na nic dłuższe zwlekanie, postanowił zresztą odesłać niewolnice ich prawowitym właścicielom, doliczywszy jednak pewną kwotę, którą ci ostatni koniecznie muszą zwrócić jako koszta podróży lądem i morzem, we czwórnasób policzone.

Ponieważ Żelisław był duszą tych wszystkich układów, Kara-Faki, dodawszy mu Tułuma-agę z kilku zbrojnymi, zdał na jego ręce całą karawanę. Niezmiernie to ucieszyło Grądzkiego, miał zręczność zbliżenia się do Nedżibe, z którą na żaden sposób nie mógł odnowić serdecznych stosunków, z powodu niezmiernéj surowości, panującéj dotąd w stosunkach pomiędzy płciami na wsi u Turków. Przez te kilka miesięcy zaledwo mógł z nią zamienić zdaleka parę słów, dostać kwiatek ciśnięty przez mur lub słuchać jéj ślicznego śpiewu, którym zachwycała harem dere-beja. Sam Kara-Faki był w niéj rozmiłowany, czynił rozmaite grzeczności, wyjątkowo dopuszczane w świecie muzułmańskim; ale rygor dozoru przez to na chwilę nie ustawał. Nadarzała się obecnie zręczność wynagrodzenia rozłąki choćby chwilowém zbliżeniem, napojenia spragnionych serc kochanków nektarem bogów, płynącym z ust wymownych, z tajemniczego obcowania, z wybuchów ognistych namiętności, z idealnych polotów.

Zanim karawana dotarła do Platany, najzaciszniejszego portu naturalnego w pobliżu Trebizondy, w ciągu całéj podróży, po wyjeździe z Taun-tepe, Żelisław za nic się nie mógł zbliżyć do Nedżibe, z powodu wielkiéj czujności eskorty. Ostatni przystanek w lądowéj podróży wypadł w pobliżu karłowatych zarośli, poobgryzanych przez kozy, osły, wielbłądy, owych największych niszczycieli lasów. Niewolnice prawie wszystkie odbywały podróż na osiołkach, które też zaraz po ulżeniu z drogocennych ciężarów, pobrnęły na paszę w krzaki. Eskorta, zwyczajem tureckim, niezwłocznie rozniecila odrobinę ognia i zaczęła gotować w swych blaszanych „dżezwach“ po parę naparstków kawy czarnéj. Niewolnice oczekując, zanim i na nie przyjdzie koléj napojenia gorzkim napojem, pokładły się opodal od mężczyzn pod krzakami.

Żelisław napróżno suszył głowę jakby się zbliżyć do przedmiotu ukochanego, ciągle coś mu przeszkadzało. Bożek skrzydlaty największy jak wiadomo figlarz, lubi używać osłów do załatwienia swego posłannictwa ziemskiego, sprowadzania zakochanych... Obecnie też jeden z długouchów wystąpił opatrznościowo, wobec usy-

chających z tęsknoty Żelisława i Nedżibe; spłoszył ślicznego bażanta wśród krzaków, w pobliżu niewolnic. Zwierzyna królewska wzbiła się w górę jak świeca, łyskając długim ogonem niby czarną wstęgą z emalii różnobarwnéj.

— Dziki kogut! — krzyknął Tułum-aga i zwróciwszy się do Żelisława, dodał: — Żeli-beju gdybyś był bliżéj, nieprawdaż, jużbyśmy go kręcili na rożnie? poh! poh!

Żelisław, który dobrowolnie przerobił się na Żeli-beja, skoczył na równe nogi; nic nie mówiąc porwał za dubeltówkę, nieopuszczającą go nigdy po za domem, i chyłkiem pomknął krzakami w stronę, zkąd bażant wyleciał. Ptak zapadł niedaleko, w bok od niewolnic, w wyższe zarośle. Turcy śledzili go uważnie; tymczasem bażant ponownie się spłoszył czy był umyślnie spłoszony, zapadł za górą, a myśliwy pobiegł za nim; widzowie zaprzestali gawronienia i po odpiciu kawy, spokojnie posnęli.

Żelisław jakkolwiek zapalony myśliwy, dał pokój bażantowi, zamiast do niego, zaczął skradać się wstecz do niewolnic; bystre jego oko dośledziło pewien ruch pomiędzy niemi, dwie z nich poszły w krzaki. Były to Nedżibe z Naziką, do których niebawem przybył skulony we czworo prześladowca bażanta. Tą razą zwierzyna była wcale niepłochliwą, owszem, Nedżibe pomknęła ku niemu za krzak; podczas gdy Nazika, wierna powiernica, stała na czatach.

Oboje kochankowie, dzieci prawie, pałali do siebie pierwszą miłością.

— Kwiatku ty mój jedyny — mówił młodzian osypując usta dziewczyny pocałunkami—jakżem cię pragnął oglądać zbliska!..

— Aman! już jestem w niebie — odpowiadała czerkieska dziewica — wypiłam miód twych ust, dzielny rycerzu ujrzałam słońce twych oczu...

Gruchanie w tym rodzaju trwałoby zapewne do nieskończoności, gdyby nie nieubłagany czas, nakazujący w postaci Naziki powrót do obozowiska. Na pożegnanie było łez i uścisków co niemiara, wedle recepty powszechnéj, zapieczętowanych przysięgami dozgonnéj miłości, zaklęciami wierności wzajemnéj. Nedżibé zawiesiła jakiś amulet na kochanku, a on jéj nawzajem włożył pierścionek na palec i pobrnęli każde w swoję stronę. Bożek zakochanych snać postanowił im sprzyjać do końca; gdy bowiem Żelisław raczkował napowrót, za górę, spłoszył tuż przed sobą bażanta. Padł strzał a z nim razem pyszny ptak usuwając wszelkie podejrzenie.

Bez dalszych przygód transport przybył do Trebizondy. Czerkiesi wściekali się za przetrzymanie żywego towaru, a nadewszystko za nowe koszta, które musieli koniecznie zwrócić, gdyż Tułum za nic w żadne kredyta nie wierzył, żądał gotówki. Nie było nikogo, ktoby im chciał dać zaliczkę na niewolnice; znalazł się tylko jeden dobroczyńca w osobie Musy-beia, który w swéj jednowierczéj gorliwości postanowił dopomódz biedakom. Przy téj zręczności, Musa, dobił targu o Nedżibé i Nazikę, kupując je za pół ceny.

Podczas gdy Czerkiesi wyzyskani bezlitośnie opuszczali progi palestyńskiego beja, Tułum tuż czatował na nich zabierając co do grosza swój poczwórny rachunek wydatków i kosztów podróży. Obrani do nitki, Natuchajc, odsiedziawszy kozę w dodatku, zaledwo tyle mieli pieniędzy, ile potrzeba było zapłacić za przejazd morzem; klęli na czem świat stoi przysięgając zemstę Kara-Fakiemu.

Wcale odmienne było usposobienie Musy, gdy Nedżibé i Nazika weszły do jego haremliku. Radość nadzwyczajna zapanowała w stadle żydowsko-tureckiem. Bej samozwaniec, gdy został sam na sam z Mał-hanym, podsunął się do swéj połowicy korpulentnéj, białéj, z królikową fizyognomią, ujął ją pod dwupiętrowy podbródek i zanucił na nutę majufesu:

— Ja generał... Małke-leben, ja generał, łachtiri, bim, bam, bum!—poczem podkasał poły swych lisów i zaczął wywijać nogami w prysiudy, podrygując białemi łydkami w pończochach.

— A saj! a ja pani generałowa, bardzo porządna dama...

I oboje małżonkowie przylgnęli do siebie w uścisku, nucąc w przestankach majufesowe nutki...

IV.

Brzask szarzał, nad morzem jeszcze wisiała mgła przezroczysta, rzadka mewa wrzasnęła lub delfin zakłębił się, ożywiając jednostajny, nigdy nieustający huk bałwanów roztrącanych o skały, we wschodniéj części portu trebizondzkiego. Psy się żarły w pobliżu przystani, widocznie już dostawały trzewa bitych i łupionych baranów na brzegu morskim.

Z kawiarni, tuż przy improwizowanych jatkach, wyszedł ktoś, pilnie badał na około wzrokiem, a gdy nikogo prócz rzeźników nie dopatrzył, krząknął parę razy znacząco. Na to hasło pokazało się w progu kawiarni kilkanaście postaci w ogromnych papachach i kilku w strojach majtków tutejszych. Szybko podeszli do łodzi, milcząco wsiedli do niéj i prędko popłynęli do statku żaglowego, sto-

jącego na kotwicy tuż koło latarni morskiéj. Zaledwo przesiedli na statek, zazgrzytały koła trybowe podnoszące kotwicę, przy bardzo prędkiem chodzeniu w kółko windujących majtków; widocznie tu o tajemnicę i pośpiech chodziło.

Zaczęło widnieć, muezzini wrzasnęli napełniając powietrze świeże nosowemi jękami „izanu", wzywającego prawowiernych na jutrznię. Powoli ruch się wzmagał, nabożni śpieszyli do przybytków świętych. Z konaku Musy-beja, z nim samym na czele, szli goście z Taun-tepe na nabożeństwo, mając za sobą wróża i kalendera. Pozostały w domu Żelisław jakby czekał na to; wnet dopadł okna i ukradkiem przesyłał pożegnania ręką Nedżibé i Nazice, wyglądającym trwożliwie z pod podjętych krat haremowych. Nedżibé okrywała pocałunkami bukiet kwiatów symbolicznie dobrany, zraszając go łzami, padającemi deszczem z jéj ognistych a teraz zgasłych oczu. Ktoś pokazał się na ulicy, krata wnet zapadła.

Żelisław wsunął napowrót głowę do pokoju, i niecierpliwie kogoś wyglądał we drzwiach.

Wyszedł Bartosz niosąc kawę na śniadanie dla Żelisława, oddał dzieńdobry, i obejrzawszy się do koła, podał mu ukradkiem bukiet, schowany pod połą szerokiéj czerkieski, w którą był ubrany. Zamiast po filiżankę, Żelisław, najpierw sięgnął po bukiet; dostawszy go do rąk, osypywał pocałunkami lub tulił do piersi kwiaty.

Bartosz splunął i mruknął:

— Tfy! Uroki czy co? Nie daj Boże jakiego nieszczęścia, tu z kobietami nie ma żartów... Tutejsze pazurniki zazdrośni, akurat gżące się wilczyska, rozszarpują się na śmierć za byle co; a już chrześcianina, to jak muchę ubiją, niech tylko podglądną, że się bierze do ich dziewki...

— Mój ty Bartku, żebyś wiedział jaka ona śliczna, cudna jak anioł?...

— Abo to ja téj pokuśnicy nie widział? Anieli tylko od Boga światłości, a nie od jakiegoś tam czartowskiego Mahometa pochodzą...

— At, pleciesz, powąchaj no lepiéj te kwiatki!—i Żelisław sunął bukiet pod nos Bartoszowi.

— Dalibyście pokój, paniczu, temu nagabywaniu!—i Bartosz odskoczył w tył—czyż to w perfumach zbawienie duszy ludzkiéj leży?..

— Nie bądźże okrutnym, na, powąchaj!...

— Zkąd ja okrutny?! Widzę, zwykłe pokuszenie ludzkie. Abo to mało bywa tego na świecie? Mi się zdaje jakby ona na panicza urok rzuciła... Może wróż tutejszy jest razem i odczyniaczem, to

i odczynić potrafi?!.. Jak nie, to my z Magdą uzbieramy nasięźrzału i napoimy panicza, a te kwiatki puścimy pod koła młyńskie ot będzie po wszystkiem... che! che!

— Bzdurstwa pleciesz. Nie wiesz, co to miłość. Żyć bez niéj nie mogę...

— My chłopi tak powiadamy: trzy dni wesela, a całe życie biedy—ot co z tego kochania!..

Musieli zaprzestać dalszéj rozmowy, gospodarz bowiem wrócił niebawem z całą kompanią. Po odpiciu kawy, goście z Taun-tepe, a z nimi Bartosz i Magda, pośpieszyli w podróż z powrotem do domu. Bartoszowa jako przezorna gospodyni nabrała żywności na drogę i nie tracąc czasu, zaraz po odpłynięciu od brzegu, wzięła się do gotowania obiadu dla ludzi z Taun-tepe. Niezmiernie podobał sobie jéj zwinną pracowitość Tułum-aga i pochwalił głośno Żelisława, za to że namówił beja do zamiany. „Silahdar“, ciekawie rozpytywał o nowych niewolników, a gdy się dowiedział, że mieli śliczną córkę, którą Czerkiesi przed niedawném sprzedali—zaczął ich jeszcze ściśléj badać. Magda płacząc przez Żelisława opowiadała jak Kasia wygląda, ile ma lat, jakie włosy, oczy, usta,—pracy jednak nie zaprzestawała na chwilę.

— Ałłach raczy wiedzieć—rzekł Tałum—ale ja słyszałem, że ten syn ciemności, wróg pana naszego nad pany, Achmet-bej z Kierasundy, nabył temi dniami cudnéj piękności dzieweczkę z żółtemi włosami, czerwoną na twarzy i białemi oczami.

— Najświętsza panienko! o! la Boga—zawołała Magda—dyć to ona, nikt inny. Paniczu złoty, zapytajcie ino, jak jéj na imię było?

— Co ty doprawdy kobieto?—mruknął Bartosz połykając łzę—alboż to mało dziewuch, co mają takie włosy i oczy? Ot, dałabyś lepiéj pokój takim bekom nieprzystojnym—nudzisz tylko wielmożnych panów...

— Łatwo ci mówić człowieku, ale ja matka; wiem, że to ona, nasza, nie kto inny...

Na tém urwano dalszą rozmowę. Dziewoniowie posmutnieli, nie pomagały żarty i rozmowy z Żelisławem, który jak mógł, to pocieszał i dodawał otuchy, zapewniając, że Kasię odnajdą koniecznie. Byli na pełném morzu, słońce jaśniało nad tonią wodną, ptastwo, ryby coraz się żwawiéj ruszały. W jedném miejscu pokazały się na wodzie grepy, nurki morskie, bardzo drogie dla swych futerek; Żelisław czatował za burtem ze strzelbą, czy nie podpłyną bliżéj. Barka tymczasem natrafiła na stado ryb latających, które jedna po drugiéj zaczęły fruwać po nad wodą. Żelisław strzelił i zabił dwie

największe. Po wydobyciu z wody, Bartoszowa wzięła się do ich sprawiania.

— To ciekawe dyable—mówił Bartosz do żony oglądając ryby—lata jak ptak... Leciało od prawego, przed nosem, w poprzek...

— A po co było brać te kwiaty od téj smarkatéj?.. Nie daj Boże nieszczęścia jakiego...

— At, coby tam było! Prosiła serdecznie, a panicz taki dobry—jakże tu nie wziąć?.. Tobie się widzi źle, a mnie śniło bardzo dobrze: jechalimy taj niby na okręcie, ale takim wielgośnym a z nami jakaś śliczna królewna, cała w złocie i dyamentach...

— O! mój Bartoszu, żeby to tylko była prawda...

Zamiast odpowiedzi, Bartosz, zajął się przygotowaniem naczynia do stołu. Turcy ogromnie cmokali smakując w jedzeniu, sporządzoném przez Magdę, gdy nadeszła pora obiadowa. Podjadłszy, posnęli wszyscy jak to zwykle bywa na morzu, kiedy pogoda służy. Barka przy wietrze dosyć pomyślnym, chybocząc z lekka, pędziła dobrą godzinę, nikogo nie spotykając. Miała skręcić ku brzegom, odległym o parę mil; gdy się ukazał na widokręgu czarny punkt, zdążający w poprzek jéj drogi. Punkt zamienił się niebawem w statek dwumasztowy, pędzący na wszystkich żaglach. Przestrzeń pomiędzy statkiem a barką coraz się zmniejszała. Sternik ciekawie spoglądał na statek nie poznając widocznie, czyimby mógł być.

Statek pędził wprost na barkę!

— Aman! chyba nas chcesz umyślnie rozjechać?—krzyknął sternik naostatek.

Zamiast odpowiedzi, huknęła salwa strzałów karabinowych. Wprawdzie nikt nie został nawet rannym, nie mniéj przeto załoga barki, tak niemile zbudzona ze snu, wskoczywszy na równe nogi, potraciła głowy. Koło ucha Żelisława gwiznęła samotna kula, z pojedyńczego strzału po salwie. Bystre oko Grądzkiego dopatrzyło z po za dymu, kogoś podobnego do Nikołakiego, wzrok jego straszny przebijał niby przeciwnika. Ludzie Kara-Fakiego chwycili za broń, Żelisław, nie czekając, strzelił do Nikołakiego, choć dubeltówkę miał śrótem nabitą.

— Hej! wy tam, wilcy—huknął głos ze statku, który Żelisław poznał jako należący do Mehmeta—jeżeli nie chcecie pójść na pastwę ryb: stać, żagle opuścić!

Nie było sposobu walczyć barce przeciwko dwa razy większemu statkowi, przygotowanemu do boju jak to znać było po burtach, z których wyglądały paszcze śmigownic. Barka miała do czynienia z korsarzem nie na żarty, spuściła też wnet żagle i zatrzymała się

niebawem; to samo uczynił i napastnik. Z po za burty łysnęła lufa janczarki, skierowana w Żelisława.

— Daj mu pokój!—krzyknął głos, wślad za którym nastąpiło szarpnięcie za ramię; tego, co celował do Żelisława.

Grądzki poznał w zawziętym swym przeciwniku znowuż Nikołakiego, a z głosu obrońcy, Nurego.

— Oddajcie niewolników! — krzyczał głos Mehmeta—coście wzięli dla tego syna ciemności,—oby smutny anioł co rychlej do niego zawitał! Zwróćcie też i pieniądze, coście skradli, wydawszy niby je na niewolnice! Prędko tylko, bo poszczepamy na trzaski waszą lichą skorupę.

Nie było rady, Bartosz i Magda, po serdecznem pożegnaniu z Żelisławem zabrawszy od Tułuma pieniądze, przeszli na statek. Kilka pogróżek i klątw sypnęło się na pożegnanie ze statku, który podjął zresztą żagle i popłynął na zachód. Ponuro zerkali za uchodzącym ludzie Kara-Fakiego, a gdy już był daleko, zaczęto odgrażać się z barki.

— Ha! dzieci szatana—mruknął Tułum-aga—nie doczekanie wasze; wydrzemy napowrót, coście skradli, ale z duszami waszemi czarnemi.

— Zamiast teraz kląć, trzeba było bronić się—zauważał Żelisław zły, że Dziewoniów nie będzie miał przy sobie.

— Co ty, duszko? chybaś nie widział, że tych rabusiów było więcej niż masz włosów na głowie?..

— Nie widziałem żadnego, i tyś nie więcej widział, bo byli wszyscy schowani—zkądże wiesz, że ich tak wielu było?

— Aman! dosyć było spojrzeć na statek. A toś chyba nie słyszał strzałów?! Z nimi żartować nie można, bo to statek tego wilka Iblisa; widziałem jego czarne oblicze, oby poszło prędzej na węgle do „dżehenny“!..

— Tak, tak—wtórowała reszta eskorty i załoga barki.

Jak gończaki, co upuściły zwierzynę, podobnie nie samowito stanęła eskorta przed swym panem, gdy powróciła do Taun-tepé. Kara-Faki pobielał z gniewu i wstydu.

— Jeść wam nieczystości a nie chleb biały!—wygadywał na uczestników wyprawy, stojących w milczeniu przed nim—wszeteczne kałduny napychaliście, aż się wam zatkało oko czujności... Aman! nie broń wam nosić, ale igły i wrzeciona...

— Nie karz nas tak srodze, sułtanie, panie pana mego! — wołał Tułum-aga za wszystkich — nie spoczniemy, dopóki w posoce kierasundzkiej nie zmyjemy hańby naszej i nie odbierzemy grabieży...

„Lis“ słuchał odpowiedzi poskubując i podkręcając brodę rzadką, czarny cień jak chmura piorunowa latał po jego twarzy pomarszczonéj. Ochłonąwszy z gniewu, rozpytywał na wyrywki o najdrobniejszych szczegółach podróży i napadu, przymrużając raz poraz lewem okiem jakby do celowania. Zajął go stosunek Żelisława do Dziewoniów, i to, że on jeden dał ognia do przeciwników. Po wysłuchaniu sprawozdania, rozkazał sprowadzić Tartałego-agę, któremu, pomimo znakomitéj prożby i własnoręcznego listu do paszy trebizondzkiego, nieubłagany Achmet-bej powiesił obu synów przed kilku tygodniami. Wyprawił następnie list do Musy-beja, żądający od niego znaczniejszéj pożyczki, którą prosił przysłać niezwłocznie przez kalendera Wudżuda-Szerifa i astrologa Marifeta-effendego, niezbędnych na pewien krótki czas w Taun-tepe.

W głowie dere-beja powstał jakiś wielki plan, ruch niezwykły zapanował w jego zameczku. Jedne po drugich przybywały tajemnicze deputacye od sąsiednich wsi i miasteczek, najpoważniéj z nich wyglądała tirebolska, przyprowadzona przez Tartałego-agę. Byli to sami Turcy, młodzi i starzy, bejowie i agowie, niebrakło wśród nich i duchownych wiejskich i miejskich. Liczba zbrojnych w zameczku z dniem każdym wzrastała.

Kara-Faki jota w jotę jak nasi dawniejsi możnowładcy, skarbił ubóższych sąsiadów prawowiernych karmiąc ich i podejmując w najhojniejszy sposób. Kaptowanie to panów braci miało tę chyba odmienną cechę, że do pomocy papki, czapki i szkapki zostali téż użyci derwisz i astrolog. Kapela z tureckiego bębna i paru piszczałek dniem i nocą kłóciła spokój okolicznych gór i lasów, rozdzierając niemiłosiernie europejski słuch Żelisława, a napawając rozkoszą uszy dostojnych gości Taun-tepeńskich. Naturalnie główną rolę odegrywał stół obfity, dla którego najsmaczniejszych kąsków dostarczała dubeltówka Żelisława, przesiadującego obecnie dniami i nocami po okolicznych kniejach i wertepach, przepełnionych zwierzyną. Była to jedyna rozrywka, dla podwójnie zasmuconego młodziana i kilku dworzan dere-beja zaledwo mogło za nim nadążyć. Sam jeden z psami najczęściéj uganiał za zwierzyną, podczas gdy jego towarzysze pozostawali w tyle daleko.

Waga lasów, w których polował Żelisław, szła w kierunku greckiéj wioski rybackiéj, i tu najczęściéj doganiał myśliwy swoją zwierzynę. Znali go dobrze Grecy rybacy, nie tylko po odmiennym sposobie trąbienia, ale i z tego, że ile razy zabił dzika, zawsze im go w upominku zostawiał jako zwierzynę niejadalną u muzułmanów.

W wigilię przybycia do Taun-tepe kalendera i astrologa, Kara-Faki dostarczył Żelisławowi tylu ludzi, ile chciał; potrzeba było

wiele zwierzyny, z powodu niezwykle licznego zjazdu, spodziewanego na ten dzień. Polowanie istotnie powiodło się dobrze od początku, zabito jelenia, kozicę, kilka sarn i rogaczy; wzmogło to ochotę Żelisława. Psy pognały ogromnego koziorożca z łokciowemi rogami, Żelisław popędził za nim zapamiętale w stronę greckiéj wsi. Koziorożec nużył ogromnie myśliwego i psy, zmuszając do ciągłego obchodzenia przepaści, które jak jaskółka przesadzał zdumiewającemi susami. Jeden Żelisław mógł za nim podążyć, reszta myśliwych pozostała daleko w tyle. Cap, zmęczony gonitwą, poszedł na ostatku wolniéj; Żelisław dopędził go na strzał, ale zanim się zdołał złożyć, przemyślna zwierzyna dała szalonego susa i przesadziwszy przepaść, zniknęła w gąszczu. Miejsce, na które koziorożec przeskoczył była to malutka, zaledwo parę stóp szeroka szczelina skalna, idąca w górę kilkanaście sążni, do szerszéj szczerby z jaskinią na boku, zasutą na wstępie żółtemi rododendronami. Myśliwy szperał wzrokiem; krzaki przed jaskinią drgnęły mocno, dał się słyszéć kozi bek i do szczerby wskoczył napowrót koziorożec, nasrożywszy w stronę otworu swe olbrzymie rogi; w ślad za nim jak kot z podjętą łapą do góry, wyskoczył warcząc niedźwiedź. Nie czekając dłużéj, myśliwy pierwszym strzałem powalił capa, a drugi posłał w głowę kosmatego mieszkańca jaskini, który ryknąwszy boleśnie w paru susach zniknął w czarnéj czeluści swéj skrytki podziemnéj. Strzelbę miał nabitą sarniakiem, niedźwiedź otrzymał więc ranę bolesną, lecz nieśmiertelną; żeby zaś dostać koziorożca, innéj drogi nie było jak spuścić się koło jego jaskini. Niepodobna było tego uskutecznić w pojedynkę, żwawo zaczął trąbką nawoływać do siebie na pomoc.

Trąbił blizko pół godziny, siedząc na widném miejscu z psami u nóg, ale żaden z towarzyszących dotąd jeszcze nie zdążył przybyć. Wiatr i huk morza w sąsiedztwie robiły płonnemi jego wysilenia. Z wzrokiem wlepionym w jaskinię, gdzie siedział upragniony niedźwiedź, z bronią na pogotowiu, nie wiedzieć poraz który przyciskał trąbkę do ust; wtém jeden z psów warknął i zawrócił pysk w bok. Myśliwy spojrzał naokoło, ale nic nie ujrzał; już miał zatrąbić, gdy huknął strzał nieopodal i kula gwiznąwszy, zepchnęła mu nieco feza na tył głowy. Jakby go ktoś batem skroił, skoczył z kamienia co mu służył za siedzenie i rzuciwszy wzrokiem w stronę dymu, ujrzał za załomem skały człowieka zaczajonego z janczarką wystrzeloną, który następnie na czworaku zaczął biedz w stecz.

— Stój rozbójniku!—krzyknął Żelisław, a gdy morderca daléj pomykał, strzelił do niego.

Strzelba Żelisława była teraz nabita kulą jak na niedźwiedzia, przeszyła ona ramię mordercy, który gdy padł, odsłonił swą twarz. Był to mściwy Nikołaki.

— Łotrze Nikołaki! — krzyczał Żelisław biegnąc do niego — pójdziesz ty teraz do piekła...

Ale zanim pogróżkę zdołał uskutecznić, Grek jak zwierz skoczył na nogi i przepadł w gąszczu leśnym. Darmo psy puściły się za zbiegiem rannym, tu pot koński oznajmił, że uchodził szczęśliwie mając naprzód wierzchowca przygotowanego. — Co robił tu Nikołaki?—Był on wysłany umyślnie z Kierasundy na zwiady do wsi greckiéj, słuch bowiem już doszedł do Achmeta-beja o jakichś podejrzanych ruchach w Taun-tepe; postanowił je przeto zbadać za pomocą Nikołakiego, rodem z téj okolicy. Od Turków trudno było coś się dowiedzieć, jedni Grecy mogli oddać pewne usługi pod tym względem, gdyż byli dostarczycielami ryby morskiéj do zameczku dere-beja. By częściéj odwiedzać Taun-tepe, rybacy raz poraz nastręczali się z rybami, powiadając że mają nadzwyczaj obfite połowy. Temi drogami Nikołaki odbierał najszczegółowsze raporta o każdéj porze dnia, i mógł je następnie morzem wysyłać wprost do Kierasundy. Nie mógł jednak dłużéj spokojnie wysiedzieć, gdy się dowiedział szczegółów o Żelisławie; mściwa natura południowca znęciła do kniei, a następnie wystawiła go na boleśny zawód.

Po zniknięciu mordercy, Żelisław wróciwszy na swe stanowisko, opatrzył kontuzyę na głowie błotem, za pomocą śliny zrobioném. Strzały, ujadanie psów, jak i samo przybliżenie się sprowadziło resztę towarzyszy do Żelisława. Natychmiast jednego zostawił na miejscu, by pilnował niedźwiedzia, a z resztą pomknął w obchód przepaści. Po wysilającém wdrapywaniu się po urwiskach skalnych, dopadli krawędzi szczerby, pionowo spadającéj na kilka sążni i mającéj u stóp swoich otwór jaskini; dziwném było jak do téj ostatniéj mógł się zwierz dostawać, parę bowiem tylko głazów wysterkających na téj gładkiéj ścianie, starczyły mu za drabinę.

Niedźwiedzia nie widać było, pomimo to żaden z Turków nie chciał iść na dno szczerby po koziorożca, mając strach przesądny przed maruchą. Niepodobieństwem przy tém było więcéj jak jednemu obracać się w szczelinie skalnéj. Miejscowi podrywając głowami do góry, cmokali raz poraz, na znak niemożebności wydobycia zabitéj zwierzyny.

Żelisław na niko nie uważał, obejrzał tylko uważnie miejscowość. Wyciął drążek sążniowy, przymocował do niego na końcu

rzemykiem swój handżar. Zmierzył głębokość szczerby wzrokiem, wziął od towarzyszy kilka pasów, związał je razem i koniec zaimprowizowanego sznura przytwierdził do pniaka nad samą krawędzią. Szukał jeszcze czegoś, a znalazłszy sosnę żywiczną, naciął z niéj smolaków. Nakazawszy mieć baczenie nad krawędzią, sam, ze strzelbą i oszczepem skleconym na prędce, z pełną torbą smolaków spuścił się na dno szczerby. Pozostali z trwogą i czcią spoglądali na śmiałka.

Spuściwszy się na dno, zaraz przywlókł koziorożca i kazał go windować na górę, uwiązawszy za rogi do pasów. Stał przed otworem jaskini z bronią na pogotowiu, dopóki zwierzyny nie wyciągnięto. Pasy uwolnione od ciężaru niebawem opadły na powrót; lecz pomimo naglących wzywań towarzyszy, nie tylko nie korzystał z nich, przeciwnie, zapaliwszy smolaki, wlazł skulony do jaskini, która była bardzo niska. Z razu nie spotkał zwierza. Dobry kawał podpełznął na kolanach, zanim znalazł się w przestronniejszém miejscu i wyższém; mógł stanąć prosto. Pieczara kończyła tu się uskokiem, pionową przerwą, nad którą czerniało parę ciasnych nor. Dym nie pozwalał od razu dobrze widzieć, mruk tylko groźny ze środkowéj nory, zawiadamiał o bytności w niéj niedźwiedzia. Zwierza wcale widać nie było, siedział głęboko; potrzebował go wypłoszyć. Gorejącego smolaka położył na ziemi, zapalił przy nim drugiego, i cisnął tym do nory, zkąd mruk wychodził. Zaledwo miał czas chwycić broń do oka; niedźwiedź ryknąwszy okropnie, wyskoczył jak kot na dno pieczary, o parę kroków od Żelisława. Padł strzał, myśliwy, skoczywszy w tył, ujął w dłoń oszczep przyklękając na jedno kolano. Ryknąwszy jeszcze przeraźliwiéj, ranny niedźwiedź, wspiął się na tylne łapy i dal susa z rozdziawioną strasznie paszczą i wypuszczonemi pazurami w stronę Żelisława. Rozjuszony potwór wbił się na oszczep, oparty o skałę i trzymany śmiałemi rękami; palnął z góry okropnie łapami, ale nie mógł złamać drążka, owszem, przyśpieszył tém tylko swój zgon, powiększywszy ranę. Otarłszy pot z czoła, Żelisław dumnie spoglądał na upolowaną sztukę, przebił ją dla pewności pod łopatką i zapróbował wyciągnąć; musiał zaraz wypatroszyć, gdyż była za ciężką. Z ogromnym mozołem dowlekł swą zdobycz na brzeg jaskini, a gdy się ukazał powalany ziemią, pajęczyną, z rękami zajuszonemi, wywołał zapał nieopisany u oczekujących z trwogą na jego powrót towarzyszy.

Po wynurzeniu objawów podziwu i czci, dopiero któryś dopatrzył kompresu błotnego na głowie zwycięzcy.

— Waj! waj! duszko-baranku, to cię jednak bestya dostała?...

— Tylko nie czworo ale dwunożna—odpowiedział Żelisław, oczyszczając suknie i odwiązując handżar od drążka.

Dowiedziawszy się o skrytobójczym strzale Greka, Turcy wpadli we wściekłość i ze strasznemi pogróżkami pobiegli do wsi. Przetrzęśli wszystkie chałupy, nabili, naklęli, ale winowajcy nie znaleźli. Rybacy przysięgali, na wszelki wypadek mieli dać znać do Taun-tepe, gdyby znalazłszy skrytobójcę, nie mogli go sami ująć. Ogół szczerze przyrzekał, ale było paru zamożniejszych, łakomych jak zwykle na grosz, którzy trzymali potajemnie stronę Nikołakiego i odwieźli go nocą do Kierasundy. Z powodu bolesnéj rany, Nikołaki nie mógł dłużéj pełnić obowiązku szpiega, a innego, również sprytnego trudno było wynaleźć Achmet-bejowi. Dzięki celności strzałów Żelisława, zostało więc Taun-tepe nie tylko zaopatrzone w huk zwierzyny, ale co ważniejsza, pozbyło się najniebezpieczniejszego szpiega, zdolnego popsuć szyki zamysłom Kara-Fakiego. Grecy przerażeni nie śmieli teraz pokazać się w zameczku, owszem, obchodzili go zdaleka, żeby przypadkiem nie spotkać się z kim z drużyny „dere-beja.“

Kara-Faki poprzysiągł zemstę Grekom na przyszłość, obecnie dał pokój tak im jak i innym, których bądź obciążał podatkami i poborami, bądź uciskał swawolą i niesprawiedliwością. Słodki był jak cukier, nawet zaprzestał pobierać myto na swéj kładce, mostem tytułowanéj. Szczególną jednak przyjaźń i przywiązanie okazywał dla Żelisława; wróżył mu świetną karyerę, za pomocą kuzyna szambelana.

— Zrobię, cię, synu, wielkim człowiekiem—powtarzał bej przy każdéj zręczności—przerośniesz dęby, góry, a padyszach—oby zwyciężał! awansuje cię niebawem na paszę. Byłeś przecie w wojsku, wodziłeś żołnierzy do bitwy?

— Służyłem nie długo i jestem za młody—odpowiadał Żelisław uśmiechnięty.

— Co ty duszko? Alboż nie jesteś frenkiem? wasze dziesięć lat więcéj warte od naszych stu... Poh! poh!—oko czujności wytężę, szablę języka wyostrzę i przetnę wszelkie trudności, jakieby stawały na zawadzie twemu losowi.

Żelisław i przedtem doświadczał uprzejmości od dere-beja, nadmiar atoli obecnéj dawał mu do zrozumienia, że jest potrzebnym. Jak każdy myśliwy dojrzał przed czasem, umiał rachować przy młodzieńczéj ambicyi; widział, że jakkolwiek są przesadne obietnice beja, nie mniéj przeto znalazł w nim opiekuna rzadkiego, mającego klucz od zaczarowanego gmachu wszechmogącéj serajowéj protekcyi. Krew mu żywiéj krążyła, oko jaśniało, pierś do góry podnosi-

ła się na samo wspomnienie, że zostanie człowiekiem znakomitym tak młodo, i będzie mógł błyszcząc dopomagać rodzinie. Widział siebie całego w złocie, z liczną świtą dworaków i służby, przechadzającego się po Stambule, który mu wyobraźnia malowała w najświetniejszych barwach, ba, nie tylko świat muzułmański będzie go podziwiał, musi zwiedzić i Europę, by poznać rozkosze cywilizowanego społeczeństwa... Przebiegał z kolei Wiedeń, Paryż, Neapol, Rzym, Szwajcaryę, nie sam, lecz w parze z prześliczną Nedżibe, dawczynią rozkoszy najwyższéj. Widoki karyery zawracały mu głowę, gotów był na wszystko, choć zaraz.

Życie zwykłe w Taun-tepe było trzeźwe, nawskróś prawowierne; bo u Turków nikt popularności nie zdobędzie, kto nie przestrzega ściśle przepisów proroka lub... nie świętoszkuje obłudnie. Zaszły jednak wielkie zmiany od przybycia kalendera Wudżuda i astrologa Marifeta; do uczt i biesiad za kulisami przyłączyły się trunki, wódka a nawet zakazane pod utratą zbawienia wino. Prócz muzyki, sprowadzono „karagiöza“ z szopką i „kiöczebi.“ Harem bejowski upadał ze znużenia, preparując po całych dniach i nocach jadło, napoje i przysmaki; żadna uczta nie obeszła się bez kilkunastu co najmniéj dań.

W kilka dni po zamachu na Żelisława, wieczór jak za zwyczaj przepędzano na „dżiumbiuszu“, hulatyce po za domem, na wolném powietrzu. Zgromadzenie było nader liczne, gdyż zapowiedziano, że astrolog Marifet-effendi ma odkryć coś nadzwyczajnego, co wyczytał z gwiazd i objawienia czarodziejskiego. W dodatku kalender Wudżud-Szerif zwiastował jako miał odwiedziny „Lwa Bożego“, Kaleda, który mu pokazywał sławny Dul-Fakar, miecz Proroka, zdobyty w światozbawczym boju nad jeziorem Beder, i żądał, aby o tém poświadczył publicznie własnemi ustami. Nastrój ogólny przy hojnym szafunku, acz potajemnym spirytualiów, był niezmiernie ożywiony, właśnie taki, przy którym najłatwiéj można przeprowadzić najtrudniejsze przedsięwzięcia. Zabobon i fanatyzm po dziś dzień władną wszechmogąco ludzkością, nie mówiąc o społeczeństwie wschodniem, całkiem jeszcze dziecinnem.

„Karagiöz“, gdy już uczta na dobre zaczęła się, zapiał nagle po koguciemu, zaszczekał, ryknął jak osioł. Cisza wnet nastała. Bajarz urzędowy rozpoczął opowiadać o swych niby świeżych odwiedzinach „Achmeta-beja w Kierasundzie. Błazen niestworzone rzeczy plótł o znienawidzonym samowładcy kierasundzkim. Spluwano, klęto, grożono lub wybuchano śmiechem homerycznym, w miarę opowiadania sprytnego podżegacza.

— Na zdrowie, na zdrowie! bejowie, effendowie, agowie—skrzeczał karagiöz—oby z apetytem przybywało wam miejsca w brzuchu!—śmiech przerwał na chwilę dowcipy dalsze—żeby wam tylko nie zatkało uszu i aby one nie wyrosły jak u osłów!—nowy wybuch śmiechu, gdy minął, tak kończył—otwórzcież téż i okienka waszych oczu, aby nie były jak u kretów i sów!..

— „Aman! karagiözie—przerwał Kara-Faki—chyba ci szatan wetknął szydło do gęby, zamiast języka? Mów ostrożniéj, duszko, bo mi porozsadzasz gości na kawałki jak granaty od prochu...

— Waj! waj! aman! — posypało się zewsząd przy huknięciu śmiechem powszechnym.

— Kiedy taka twoja wola, panie mego pana—ciągnął „karagiöz"—ostrożnie więc będę wyciągał miecz mego języka,—oby wiecznie pałaszował pieczeń! Powiem wam tylko, żeby nie taką jak u téj „szczupłéj dłoni" (sknery), Achmeta-beja, co to częstuje smalonemi podeszwami, zamiast pieczystego... Nie do tego wszakże zmierzałem, aha! tem-ci mnie to dziwi więcéj, że ten bej z pod ciemnéj gwiazdy,—oby mu świeciła wiecznie!—ma dosyć mięsa, bo założył u siebie jatki—„wałła!" (dalipan) kogo tylko złapie z naszych, wlecze zaraz do swéj nory—i czach! po gardzieli albo „hajde" na stryczek, na kozły na pięknym żwirku morskim obok łupionych baranów...

Mruk złowrogi przeleciał wśród spółbiesiadników.

— Co się odgrażacie?! „Wałła!" doskonałe z niego panisko,—nie tylko ulży z ciężaru życia, ale jak może biedak pracuje nad tém, żeby i majątki nas nazbyt do ziemi nie przykuwały. Poh! poh! macie u niego skarby Karuna, Sulejmana. Złota u niego góry mury, leży kupami w lochach, bo na worki nie starczy płótna w okolicy. Haj! haj! Tartały-ago, opowiedziałże ci który z twych synów, co to ich jak dęby pohodowałeś, ile tam złota w lochach beja kierasundzkiego, bo oni podobno długo w nich gościli?!..

— Z ojca, któremu nieprzyjaciel synów pomordował, nie żartuj!—odpowiedział Tartały surowo—noc brzemienna porankiem, nie wiesz co jutro przyniesie...

— Wstyd! wstyd takie żarty stroić,—wołano naokoło—nie kpij! pomścimy zuchów, krew za krew...

W téj chwili coś świsnęło w powietrzu, i na środku koła biesiadniczego utkwiła strzała, nie wiedzićć przez kogo puszczona. Widzowie zdumieni patrzali po za siebie i nad głowami, ale nic dopatrzyć nie mogli: gwiazdy cicho mrugały na niebie, szumiał jednotonnie potok, jęczały puszczyki, zresztą żadnego ruchu ani głosu na około.

Kara-Faki pokręcił głową i wzrok niby zdumiony zatrzymał pytająco na astrologu.

— Ty, Marifecie-effendi—rzekł—ty, co czytasz przyszłość i teraźniejszość nieznaną, o głęboko uczony mistrzu, odkryj nam, zkąd może pochodzić ta strzała?

— Widzę gwiazdę mrugającą nad twem „białém“ obliczem, słyszę głos niesłyszalny „dżinów“—odpowiedział wróż po namyśle—powiadają oni: strzała do czegoż jest, ażali nie do tego, do czego ją przeznaczono? Słyszeliścież kiedy, żeby na to wołano, aby nie słyszano? Łyżki nie podają zamiast szabli, a wosku zamiast kamienia. Mądry ten, kto szuka rady mędrszego...

— Któż to jest ten mędrszy?

— Nie jest że ten, który jest „dopełnieniem obrotu czasów“? (Mahomet).

— Maszałła! maszałła!—i lewice nabożnie pobiegły do pomacania bród lub podbródków, gdy były ogolone.

— W jakiż to sposób on nam ułomnym odkryje?—pytał daléj Kara-Faki.

— Oczami, uszami i skórą doświadczajcie, słuchajcie, co wam mędrszy od najmędrszych opowie... Niemy głos prawdę utajoną odkryje. Nieprzytomny jest najdoskonalszém narzędziem wiecznie przytomnego. Widzicie śpiącą „drogą osobę“?—owóż jéj danem zostało rozjaśnić ciemności naszéj niewiadomości.

Wzrok wszystkich pobiegł ku „drogiéj osobie,“ Wudżudowi-Szerifowi, który stosownie do przepisów swéj reguły, leżał w niepoczytalnym stanie, dla obmierzienia prawowiernym szkaradnego nałogu pijaństwa. Astrolog grabnął ręką po powietrzu, natychmiast podjęto kalendera i przyniesiono przed niego. Na stoliczku obok, wróż ułożył dwie strzały na krzyż, jedną dopiero co spadłą z nieba a drugą wyjętą z kołczanu spitego derwisza,—rzecz dziwna, całkiem do siebie podobne. Wydobył handżar z pochwy, ostrzem zakreślił koło na ziemi, granicę dla „diwów,“ i szatanów, złych duchów w ogóle. Po skończeniu roty zaklęcia, wymawianéj podczas ostatniéj czynności, wzniósł ręce do góry i zawołał głośno:

— W imię Boga miłosiernego!

Zgromadzeni wzrok utkwili w strzałach, na których skrzyżowaniu Marifet-effendi położył rękę pijanego Wudżuda. Mruczał następnie niezrozumiałe słowa czarodziejskie pożyczone od żydów:

— „Mies, Jequiet Benedo, Efes, Duwima, Enitemaus Barabba!..“

Publiczność cmokała i wzdychała głośno, podziwiając mądrość niezgłębioną wróżbity.

— Wierni! widzicie człowieka poświęconego prawdzie, służbie Pana światów (Mahometa)—rzekł ostatni, wskazując na Wudżuda sapiącego—błogosławiony żywot niewiasty, co ten klejnot doskonały na świat wydała!

Sługa prawdy, chcąc widocznie potwierdzić o sobie pochlebną opinię, chrapnął grzmiąco. Cisza głęboka zapanowała, puszczyki i woda jedne ją kłóciły; smolne ognie łyskając czerwoném światłem przyćmioném, nadawały tajemniczéj grozy wróżbom. Upływało parę chwil, wróż podczas nich to machał rękami nad uśpionym, to chuchał i dmuchał na oczy i usta. Derwisz na raz zesztywniał, ustało sapanie, a pod ręką strzała drgać zaczęła, zakręciła się w prawo i w lewo, aż stanąwszy zresztą na miejscu, zaczęła pukać w stół. Wróż machnął ręką w stronę północno-zachodnią.

— Przez okienko méj duszy czy to Kierasundę widzę?—pytał strzały.

Strzała dwa razy puknęła.

— Tak, tak—podchwyciło zgromadzenie.

Strzała bębniła nie ustając. Wudżud jeszcze niby mocniéj zesztywniał.

— Możemyż głosu mędrszego zapytać?—pytał wróż.

Podwójne stuknięcie strzały dało przyzwolenie. Marifet-effendi objaśnił, jako głos anioła Gabryela dozwolił mu radzić się jego dzieła—Dostojnéj Księgi (Koranu). Rozpoczął zwykłą u muzułmanów wróżbę z Koranu, który miał pod ręką. Strzała, niby przez anioła kierowana, zaczęła wybijać jak nogi stołów spirytystycznych. Naliczono uderzeń czterdzieści siedem. Wróż ostentacyjnie otworzył Księgę na suracie „Mohammed," zapytał jeszcze strzały i po ośmiu puknięciach lżejszych, odczytał donośnie:

— „O! wierni, jeśli będziecie pomagali Ałłachowi w wojnie przeciwko złym, on wam także dopomoże i wzmocni dzieło wasze..."

— Jesteś głęboko uczony, o effendi!—przerwał Kara-Faki—ale my twéj wiedzy nie posiadamy, zechciéj nam przeto objaśnić bliższe znaczenie słów Dostojnéj Księgi?

Wróż nie odpowiadał, dopóki strzała w stół nie puknęła,—teraz znowu ośm razy.

— Nie słyszycież przedziwnego głosu anioła? Cudowna liczba zwiastuje wam „wojnę", zapisaną w księdze Illjun. Przeznaczenie samo do was przemawia. Wojnę macie przed sobą!—z kim zaś? to tenże głos również wam powiedział: ze złymi!

— Taką jest wola Ałłacha!—i Kara-Faki przycisnął rękę do piersi i brody—możesz że nam, o wysokouczony! odkryć losy przyszłéj naszéj wyprawy?

— Wielkim jeno Ałłach i sługa jego Prorok, mądrość jego jest niezgłębioną, ze słonia robi on mrówkę, z mrówki słonia; z dnia noc, z nocy dzień... Prorok Sulejman (Salomon) — pozdrowienie mu!— wszak rozumiał głosy ptaków i owadów, rozkazywał żywiołom i dżinom, czytał przeszłość i przyszłość?—do jego mądrości się zwracam; niech mgły mej nieświadomości rozproszy!

Strzała zapukała kilkakrotnie. Wróż oświadczył, że anioł Gabriel chce mówić w zastępstwie Salomona. Po czterdziestu czterech pukaniach mocniejszych i pięćdziesięciu czterech i pięciu słabszych, otworzył Koran na suracie „Dym“ i odczytał następujące wiersze:

— „Huryski z alabastrowem łonem i pięknemi oczyma będą ich małżonkami. Owoców rajskich będą mieli podostatkiem.“ O wierni! przysięgam na tę noc, na gwiazdy, że macie tu zapowiedziane zwycięztwo; jeżeli zakonu w niczem nie przestąpicie i pójdziecie na złych z odwagą i męztwem...

Przepowiednia miała się właśnie ku końcowi, gdy „silahdar“, krzątający się niby koło ognisk pod wiatrem, zaczął do nich dosypywać ziół i ziaren, od których buchnął dym odurzający na zacietrzewionych słuchaczy wróżb. Wszyscy jakby poczadzieli, choć to było na wolnem powietrzu. Wódka i wino, ponownie zażyte, reszty dokonały: Na Marifeta, Kara-Fakiego i Tułuma dym nie wywierał żadnego skutku, wąchali oni ukradkiem jakieś ziółko z zapachem fijołków. Czarne wróża żabie oczy sypały iskry, coraz mocniejszy wpływ wywierały, jakby kajdanami krępowały wolę odurzonych.

Kara-Faki przymrużonem okiem coraz częściej mrugał, twarz zaś wykrzywiał niby mocno zdumiony. Krząknął wyraziście i wziąwszy różaniec, zawołał:

— Imię Ałłacha niech będzie wywyższone! Dajeć on wprawdzie ludziom moc widzenia przyszłości, ale tą samą siłą może i szatan bałamucić. Zkąd więc możemy mieć przekonanie, effendi, że ty z natchnienia bożego sprawdzasz wyroki losu? Jest-li to czarnoksięztwo czyli cud boski, „ajat?“

— Czytaliście Dostojną Księgę—odpowiedział Marifet-effendi— ażali nie stoi w niej, że Jezus syn Maryi, „tchnienie boskie“,—pozdrowienie mu!—został uznany za posłańca Ałłacha, gdyż miał moc nad „nieprzyjacielem co życiu grozi“ (śmiercią)?

— Tak—odpowiedzieli przytomniejsi.

— Owóż, aby was utwierdzić w przekonaniu, że i mnie niegodnego podobnąż mocą obdarzył, oczy wasze olśnię widokiem, zdolnym wiarę u niewiernych wzbudzić. Wzywam cię teraz, o! „ewlija“

(duch opiekun), racz złe geniusze i szatany odpędzić, aby prawdy na nieprawdę a nieprawdy na prawdę nie zamieniły.

Marifet mruczał jeszcze coś po tém wezwaniu, a handżarem wywijał młyńca na cztery strony świata, składając pokłony w stronę „kieble,“ Mekki. Ciszę przerwało kwilenie dziecka, wróż machał tymczasem rękami nad widzami, a Tałun dorzucał coraz więcéj ziół do ognia. Płacz dziecinny ozwał się tuż, na oświetloném miejscu ujrzano czarnego enucha bejowskiego z dzieckiem na ręku. Niemowlę kwiliło coraz głośniéj, wszyscy na nie spoglądali ciekawie.

— Zanim przystąpię do większéj rzeczy—rzekł Marifet i skinął na enucha—przystąp do mnie duszko czarnuchu! Oczy wasze otwórzcie!

Z niezrównaną szybkością, wróż, oddawszy najprzód dziecko komu innemu, nachylił kark murzyna, i machnął handżarem nad nim jakby ścinał głowę. Eunuch padł na ziemię, zarzucając sobie na głowę białą w czerwone plamy chustkę, a Marifet tymczasem wydobył z pod swego obszernego futerka czarną kartonową głowę z runem baraniem, zamiast włosów, z których woda kapała. Gdy wszyscy potwierdzili jako widzą głowę ściętą, wróż, zapowiedział uroczyście, że trupowi życie przywróci. Nachylił się, schował głowę sztuczną napowrót pod połę, a z leżącego zdarł chustkę niby to pokrwawioną. Eunuch jak piesek, któremu ożyć kazano, skoczył na nogi i wyszczerzył wdzięcznie swe białe jak kość słoniowa zęby.

— Maszałła! maszałła! — mruknęło zgromadzenie, macając się za brody lub podbródki.

— Widzicie tylko początek tego—rzekł Marifet—co moc Ałłacha dokonać jest zdolną z gliny ziemskiéj, człowieka. Pokażę wam teraz ten sam cud, który niegdyś Sulejman prorok uczynił. Powrócony do życia podaj zadatek mej wielkości!

Eunuch z nadzwyczajną powagą i udanym szacunkiem podał dziecko całkiem nagie, wrzeszczące przy tem niemiłosiernie. Wróż ujął je za nóżkę i podniósł nieco do góry.

— Przecinam je na wzór Sulejmana—rzekł i jednocześnie machnął handżarem—widzicie teraz połówkę jedną w mem ręku...

— Aman! strach! trzyma połówkę dziecka... widzę trzewa przecięte... słoje mózgu... a krwi ile!—wołano do koła.

Bawienie się w dobrowolnych dudków leżyć może podobno w zakresie każdego wierzenia religijnego, nigdzie jednak nie jest ono tak dalece posuniętem jak u muzułmanów; bajki i kuglarstwa najoczywistsze biorą za prawdę, ubarwiając je następnie własnemi dodatkami. Obecnie, zostającemu wolnym od wpływu fascynacyi kuglarza, dziwnie zabawny przedstawiał się widok. Zamiast bowiem połówki

dziecka, Marifet-effendi, miał w ręku czerwoną chustkę zmoczoną w wodzie; podczas gdy prawdziwe dziecko eunuch trzymał na ręku, zatuliwszy mu dłonią gębę.

Twarze widzów były przejęte podziwem i przerażeniem zabobonném, jedni przed drugimi nie ustawali w robieniu coraz to nowych odkryć. Proces przytępienia zmysłów i wmawiania osłabionym na umyśle, podobnie jak to dokazują magnetyzerzy każąc mediom wierzyć, że kartofle są jabłkami a róże żabami wywarł swój skutek w całéj doniosłości na podpitych i zaczadzonych ziołami.

— W imię Boga litościwego!—zawołał wróż przerywając milczenie.

Jednocześnie eunuch podał mu dziecko prędko a chustkę odebrał od wróża. Po odetknięciu ust dziecko wrzasnęło jeszcze głośniéj niż przed tém, a zgromadzenie wzięło to znowuż za dowód niezbity powrotu jego do życia.

— „Ajat!“ (cud boski) maszałła! maszałła!—wołano chórem pomacując brody i podbródki.

— Prawdęś rzekł, o dostojny mistrzu—rzekł Kara-Faki—wierzymy teraz, że przepowiadasz za zrządzeniem boskiem. Raczże teraz dokładnie objaśnić nas o tém, czego mianowicie anioł chce od nas?

Wróż i tą razą udał się do pomocy śpiącéj „drogiéj osoby.“ Strzały wybębniły cztery razy, suratę „Niewiasty“ i siedemdziesiąt trzy słabiéj czyli werset. Marifet czytał donośnie:

„Wierni bądźcie waleczni w potyczce, czy to będziecie walczyć w zastępach czy pojedyńczo.“ Od siebie zaś dodam, żąda od was, abyście ukarali złego, syna ciemności spokrewnionego z szatanem, Achmeta-beja z Kierasundy. Wodzem waszym macie obrać dostojnego beja z bejów Kara-Fakiego—oby Ałłach miał nad nim zmiłowanie!—Tak.

— Tak! tak!—huknęło zgromadzenie, nie wyjmując nawet bojaźliwszych.

Odbyła się zwykła ceremonja wstępna wyprawy wojennéj u Turków, polegająca na astrologicznych horoskopach, wróżbach i sztukach czarodziejskich. Wyprawa na Kierasundę, właściwie rozbójnicza, zamienioną została tym sposobem na krucyatę, wojnę świętą, „hazawat.“ Unoszono się nad łaską niebios, które dozwoliły dożyć tak świetnych czasów. Kalender Wudżud, cudem wytrzeźwiony po cudownem objawieniu, oznajmił jako widział i słyszał we śnie, spuszczonym na niego przez jednego z 7 braci śpiących a wyszczekanych do ucha jego duszy przez psa Al-Rakima,—rzeczy nadzwyczaj pocieszające, mające „wiarę zbawczą“ (islamizm) podnieść do

szczytu potęgi. Jedni przed drugimi szli na wyścigi, wmawiając sobie na wzajem jak miłem będzie, Ałłachowi „kahhar“ (okrutnemu), gdy zburzą do szczętu, kamienia na kamieniu nie zostawią z nowéj Sodomy, Kierasundy, wycinając przy tém w pień wszystkich jéj mieszkańców, plemię szatańskie.

Nastąpiła po tém wyczerpująca narada, kiedy wyprawa ma być podjętą; broń boże, żeby tylko nie w dzień feralny.

Podano kawę Marifetowi-effendemu, który po jéj upiciu, szybko przewrócił filiżankę do góry dnem. Fusy, podawane w kawie po turecku, rozpłynęły się po bokach filiżanki; wróż-astrolog pilnie się im przypatrywał:

— Widzę znamię bliźniąt—rzekł i rękę wyciągnął w kierunku gwiazd—dzień szósty i siódmy w tygodniu niebo łaskawe wam przeznacza...

Obecnie była środa, piąty dzień w kalendarzu muzułmańskim, trzeba więc było rozpocząć wyprawę nazajutrz, do czego i bez wróżby wszyscy byli poprzednio przygotowani. Horoskop astrologa był rodzajem rozkazu dziennego, wprawił wszystkich w ruch. Stało na boku kilka koni posiodłanych, na które w lot powskakiwali ludzie dere-beja i popędzili w różne strony spraszać na wyprawę jutrzejszą. Napady tego rodzaju były wonczas na porządku dziennym, a większość ludności muzułmańskiéj miała w nich nadzwyczajne upodobanie, niby w rycerskich zapasach średniowiecznych pod hasłem krucyat z zaspokojeniem zemsty rodowéj i widokami łupów sowitych.

Żelisław, patrząc na wszystkie kuglarstwa, śmiał się w duchu; głośno tego jednak nie objawiał, mając przeczucie, że jakaś ważna rola przypadnie mu w udziale. Marząc o świetnéj karyerze, nie zapominał i o Dziewoniach, których uważał za obowiązek święty wydobyć z rąk napastników. Niebawem sprawdziły się w zupełności jego przeczucia. Kara-Faki zaprosił go, aby przyjął na siebie dowództwo nad połową oddziału. Bez namysłu przyjął propozycyą, z tém jednakże, że wymówił sobie swych rodaków jako wynagrodzenie nieodzowne; naturalnie ze strony dere-beja nie było najmniejszéj opozycyi, na tak arcy-skromne żądania najwaleczniejszego wśród jego wojaków.

Młodzieniec z razu wzruszony do głębi ofiarowanem dowództwem, poddał się powoli wpływowi hulatyki i ociężałą głowę złożył na wezgłowiu. Zanim usnął, żałośny jakiś głos wewnętrzny cichem łkaniem mącił spokój duszy, rozmarzonéj widokami świetnéj przyszłości. Struna swojska jęczała głęboko w piersi, rażona barbarzyństwem cudzoziemskiem...

Zgromadzenie rozeszło się, aby choć godzinkę spocząć przed wyprawą. Ognie pogasły, psy żałośnie zawyły sprzęgając dziko swe głosy z hukiem wody, skomleniem szakali i jęczeniem puszczyków. W górze jak zwykle mrugały wesoło gwiazdy, niebaczne widocznie na to, że dobra gwiazda przewodnicząca losom człowieka zgasła zakryta gęstą chmurą namiętności i pokus, powstających z obcowania z niższą rasą... Duch podobnie jak roślina zanika będąc przeniesiony na nieswojską glebę.

(*c. d. n.*) *Sahi-Bej.*

BITWA POD KIRCHOLMEM

dnia 27 września 1605 roku. (1)

(z trzema tablicami).

Nie ma wojny, któraby więcéj światła rzucała na rządy Zygmunta III, opieszałe i niedołężne pod względem politycznym i administracyjnym, nad wojnę w Inflantach; nie ma ziemi, któraby świadczyła o tylu zwycięstwach, tylu dowodach dzielności polskiego i litewskiego oręża, dokazującego iście bohaterskich czynów, — ile krwią przesiąkłe Inflanty.

Już z tego względu pierwsze cztery lata téj wojny zasługują na krótkie choćby wspomnienie.

---

(1) Główne źródła polskie do dziejów bitwy:

1. *List hetmana Chodkiewicza* do króla.

2. *Nowiny z Inflant.* Kraków 1605. — Gazeta po polsku wydana, niezawodnie z kancelaryi król., zaraz po otrzymaniu listu hetmańskiego, z opowiadań świadków naocznych Jana Sapiehy, Lackiego i Dąbrowy, którzy list hetm. królowi oddali. Źródło to opisuje krótko lecz dosadnie całą wyprawę i bitwę.

3. *Carolomachia*, Zawisza, Wilno 1606 (wierszem hexam. po łacinie). — Źródło najobszerniejsze chociaż napuszyste, z opowiadań licznych świadków zebrane, gdyż autor właściwy, jezuita Wawrzyniec Bojer, szwed, profesor poetyki w Wilnie, niezawodnie znał osobiście wszystkich niemal panów litewskich, pułkowników i rotmistrzów etc. z pod Kircholma, oraz samego hetmana, jako uczniów Akademii wileńskiej, i witał ich wracających z wyprawy.

4. Starowolski Szymon, *Institut. rei militar. libr. VIII.* Kraków 1639. Tegoż *Prawy rycerz*, wyd. Turowskiego. — Pisma te również są opowiadaniem świadka, był bowiem autor za młodu sekretarzem hetm. Chodkiewicza i odbył z nim wyprawę kircholmską,—tamże nabył wiadomości militarnych do tyla, że pisał liczne dzieła o sprawie wojennéj.

5. Piasecki, *Chronica gestorum in Europa singulorum recentiorum ad a. 1646.* Kraków 1648. Typ. Caesar.; (po polsku Chrząszczewski, Kraków 1870). — Współczesny

Widownię boju, Inflanty — dziś jeszcze w $^4/_5$ częściach zajmują lasy, bagna i jeziora, o ileż gorszym musiał być ten stosunek przed 280 laty?

Niemiecka ludność miast oraz szlachta przychylném spoglądała okiem na Szwedów jako wyznawców téj saméj wiary, a tém więcéj na zaciężne ich wojska t. j. Niemców.

Ludność wiejska łotewskiego szczepu, rozrzucona po kraju w rzadkich nader siołach, najwięcéj zaś w małych osadach (w *mojzach* po łot.), składających się z 2 lub 4 dworków — stała z konieczności po stronie silniejszego.

Geograficzne także położenie kraju było bardzo niekorzystne dla Polski i Litwy. Inflanty o 30—90—140 mil oddalone od ognisk Rzeczypospolitéj, Wilna, Warszawy i Krakowa, wybiegłszy klinem na północ, przypierały z jednéj strony o Baltyk, z drugiéj o Moskwę, oddzielone były Dźwiną od całego państwa; dowozy w te strony możliwe były jedynie w porze letniéj lub zimowéj, gdy rzeki i bagna lód gruby pokrywał.

Szwed tymczasem, pan morza, władca potężnéj floty, ułatwiającéj i skracającéj styczność z krajem, mógł według upodobania wylądować w któremkolwiek miejscu na przestrzeni przeszło 100 milowego wybrzeża od Pucka po Narwę, co mu zapewniało niespodzianą strategiczną zaczepkę, kiedy Polacy, pozbawieni floty, ograniczeni byli do działania odpornego.

---

pisarz miał powyższe źródła pod ręką oraz od niejednego świadka bitwy przebieg jéj słyszeć mógł.

Źródła Szwedzkie.

6. Loccenius Johan., *Hist. Svecanae Secund. Edit. libri tres.* Francofurti et Lipsiae. A. 1676. — Posługuje się oprócz nieznanych nam źródeł szwedzkich także i polskiemi, głównie Piaseckim i *Carolomachią*. Z maleml odmianami przyznaje cały przebieg zdarzeń wojennych.

7. Samuel Puffendorf, *Continuirte Einleitung zu der Historie der vornehmsten Reiche, worinnen des Königr. Schweden Geschichte beschrieben wird.* Frankfurt, a. M. 1686. Krótko lecz dosadnie wspomina klęski swoich.

8. Gejier Erik Gustaw, *Geschichte Schwedens*, deutsch von Swen P. Löffler. Hamburg 1832. — Ważne źródło do przebiegu wojny szwedzkiéj, opisuje skutki jéj na wewnątrz kraju i podaje ciekawy list Karola IX pisany po bitwie.

Źródła postronne.

9. Thuanus (de Thou), *Historia sui (mei) temporis.* Colonia Allobrogum. Typis Roverianis, a. 1630. — Opisuje dosyć szczegółowo wojnę szwedzką od r. 1600 i bitwę kircholmską; miał oprócz *Carolomachii* i inne nam nieznane źródła pod ręką.

10. Ludolf, *Allgem. Schaubühne der Welt und Beschreibung der vornehmsten Weltgeschichten des 17 Jahrhunderts.* Frankfurt, a. M. 1690, tom IX—X; posługuje się głównie Puffendorfem.

Wojnę szwedzką — spór o Estonią ze strony rzeczypospolitéj, o koronę szwedzką ze strony detronizowanego króla — wojnę mającą trwać 60 lat z przerwami, zakończoną utratą Inflant — rozpoczął starosta Kiesi, Jerzy Farensbach, napadem Estonii w kilka chorągwi!! — Wodwet za to wtargnął 1600 r. ks. Sudermański, późniejszy król Karol IX, do Inflant na czele 24,000 wojska. Parnawa, Felin, Wolmar i wiele innych pomniejszych zamków uległo przemocy szwedzkiéj lub padło ofiarą zdrady, nim Krzysztof Radziwiłł h. w. lit. zebrał naprędce sześciotysięczne wojsko, złożone z kwarcianych ochotników i nadwornych chorągwi magnatów, i stanął z niém nad Dźwiną, co nastąpiło dopiero w Grudniu t. r.

Ks. Sudermański rozdzielił tymczasem swe siły, aby równocześnie oblegać Dorpat, Kieś i Kokenhuz. Hetman w. lit. skorzystał z tego podziału nieprzyjaciela, pobił Karlsona Gyllenhjelma pod Karkuzem i zniósł 7 Stycznia 1601 pod Kiesią 7-tysięczne wojsko Wrangla, który ledwo z 300 ludźmi ujść zdołał (1).

Wkrótce jednak po tém zwycięstwie uległ hetman innemu wrogowi, któremu sprostać nie mógł: wojsko niepłatne, na zimową kampanię należycie nieopatrzone, bo naprędce zebrane, podniosło konfederacyą i wróciło za Dźwinę.

Szwedzi zdobyli tymczasem Dorpat, Kieś, Kokenhuz; Dyamentu jednak nie wzięli, obronił go w porę Radziwiłł, któremu przybyły posiłki.

Hetman, chcąc uwolnić Dźwinę od nieprzyjaciela, ruszył pod Kokenhuz, dobył miasto i obległ zamek, którego załoga uporczywie się broniła. Dwa razy kusili się Szwedzi o odsiecz.

Pierwszym razem pobito ich pod Orlą w początku Czerwca, następnie rozgromiono pod Hokenhuzem $^{23}/_{6}$ 1601 r. Z 6,000 szwedów legło 3,000 na placu, reszta poszła w rozsypkę (2). Następnego dnia poddał się zamek, poczém odzyskano Kieś, Treyden i Zygwolt.

Przed nadcąigającym jednak Sudermanem, który w 17,000 wojska od Dorpatu następował, cofnęli się Litwini w liczbie 4,000 pod działa Rygi, zkąd okopawszy obóz, odpierali zaczepki Szwedów (Sierpień 1601).

---

(1) Reinholdi Heidensteinii secret. Regii *Rerum polonicarum ab excessu Sigismundi Augusti libri XII.* Francofurti ad Moenum 1672. Spolszczył Michał Gliszczyński. Petersburg 1857, str. 434—435. — Porównaj *Carolomachia.*

(2) Heidenstein. Tom II, str. 440—442. — Porównaj tegoż *Collectanea vitae J. Zamoiscii,* wydał hr. Działyński, Poznań 186. Objaśnienie na podobiznie planu druk. w Rzymie 1603. — Loccenius, str. 454.

Wieść o zbliżaniu się wielkiéj polsko-litewskiéj armii pod sprawą samego króla dostateczną była Rydze odsieczą. Suderman, opuściwszy w największym pośpiechu cały tabor, uchodził przez Lemsal do Szwecyi, poruczając wodzowi swemu hrabi Nassauskiemu obronę dobytych twierdz i zamków inflanckich.

Sejm polski zebrany w 1600—1601, w czasie wtargnięcia do Inflant, uchwalił wojnę ze Szwecyą i wyznaczył podatki na wystawienie wojska. Król postanowił osobiście wziąć udział w wyprawie.

Nie dość, że popchnął Polskę do wojny w swym interesie wyłącznie, ale co więcéj obecnością swą, udziałem w niéj, popsuł wszystko. Z natury przezorny, nieufny, wahający się i przyzwyczajony wszystko na późniéj odkładać, opóźnił téż uzbrojenie i zebranie wojska (1). Z obawy, aby w jego nieobecności nie nastąpiła rozstrzygająca walka, którąby go pozbawiła sławy zwycięzcy, zakazał kanclerzowi i het. wiel. kor. J. Zamojskiemu, który już w końcu Sierpnia 1601 r. stał w gotowości do pochodu ze znacznemi siłami pod Zelborgiem, gdzie właśnie stawiano most łyżwowy (2), przedsiębrać jakikolwiek ruch w celu odsieczy oblężonéj stolicy Inflant, zanim sam nadciągnie. Ze wschodnim zbytkiem wybrał się król na tę wojnę, wiodąc liczny orszak dworzan i służby; zatrzymywał się téż często, czém Litwę ucisnął i wyniszczył, i tak powoli postępując, stanął pod Rygą dopiero w połowie Września. Wspaniałe polsko-litewskie wojsko liczyło podczas przeglądu 14,000 jazdy i 6,000 piechoty (3).

Ale nieprzyjaciel, jak wyżéj wspomniano, nie czekał przybycia i usunął się z pola. Ominęły króla spodziewane wawrzyny, pora sposobna dla ruchów wojennych zeszła na niczém, a nastający jesienny czas deszczów uniemożliwiał wszelki zamiar wyruszenia w tym niżu bagnistym, pokrytym kniejami i obfitym w jeziora i rzeki.

Jedynym więc skutkiem téj wyprawy, połączonéj z tak wielkiemi kosztami, była odsiecz Rygi, fakt ważny, lecz którego doniosłość zmniejszyły znacznie dotkliwe, ciężkie i niesłychane straty, które wojsko poniosło; wskutek skupienia tak znacznych wojsk (komput ogólny wzrósł po przybyciu królewskiego orszaku do 40,000 ludzi a 60,000 koni) na pobrzeżu Dźwiny, mało zaludnioném i ubogiém w środki żywności, wybuchł wkrótce straszliwy głód i powietrze szerzyć się zaczęło.

---

(1) Piasecki, *Chronica*—po polsk. Chrząszcz. str. 174.

(2) Thuanus, tom V, pag. 1024.

(3) Heidenstein, tom II, str. 447.

Po kiku tygodniach okoliczności te zmusiły króla do powrotu i zredukowania liczby wojska o połowę. Z nadejściem mrozów rozpoczął Zamojski z pozostałą resztą nadzwyczaj trudną i męczącą kampanią zimową.

W zimie 1601—1602 wpada jedna twierdza po drugiéj w jego ręce. A gdy piechotę polską i tak nieliczną zniszczyły oblężenia, trudy wojenne, głód i choroby, zsiadła jazda z koni za przykładem samego Zamojskiego, 70-letniego starca, i Jakóba Potockiego, i przypuściła szturm na mury Wolmaru (18 Grudnia 1601) i Felinu (17-go Maja 1602) (1).

Z wyjątkiem Parnawy i Dorpatu odzyskano całe Inflanty i hetman, któremu przybyły posiłki w piechocie, postanowił opuścić kraj, gdzie ludzi i konie nawiedzała zaraza i przenieść widownię walki do Estonii, dotychczas oszczędzonéj.

W tym celu ruszył pod Biały-Kamień. Heidenstein zowie ten zamek jedną z najsilniejszych twierdz Europy, z powodu bagien broniących przystępu. Oblężenie trwało od końca Czerwca do 27-go Września 1602. Dwa miesiące zajęły przygotowania do oblężenia, bicie długich tam z faszyny, stawianie licznych mostów, poczém dopiero pośród bagien wzniesiono bateryc (2). Kiedy hetman polny koronny Żółkiewski rozbił pod Rewlem wojsko szwedzkie, wysłane pod Anrepem ku odsieczy warowni, i odebrał jéj nadzieję ocalenia a Zamojski przygotował wszystko do szturmu, załoga kapitulowała 27 Września 1602 r.

W późnéj jesieni zamierzał Zamojski oblegać Dorpat, ale wojsko z powodu dawno zaległego żołdu i braku koni wypowiedziało posłuszeństwo i rozeszło się w znacznéj części do domów. Po usunięciu się obu hetmanów (Zamojski zachorował, a Żółkiewski podążył na Ukrainę), objął naczelne dowództwo w Inflantach het. pol. lit. K. Chodkiewicz. Ten wypłaciwszy częściowy żołd z własnéj szkatuły, że był ulubieńcem Litwinów, zdołał przyciągnąć do siebie 4,000 ludzi (przeważnie z Litwy), z którymi rozpoczął w zimie oblężenie Dorpatu.

Po oblężeniu wyczerpującém siły, poddało się miasto (12 Kwietnia 1603), zwłaszcza że odsiecz szwedzką Chodkiewicz rozgromił.

---

(1) Ad quam pedites fame attenati vix induci poterant, donec equites in pedes defilirent et exemplo peditibus ad irruendum praeirent. Locenius pag. 454. — Tenże wspomina także z jak wielkiemi trudami podejmowana być musiała budowa bateryj na takim gruncie w czasie mrozów silnych, gdyż ziemię zmarzłą siekierami rąbać musiano.

(2) Heidenstein, *Collectanea* — Plan oblężenia.

Próżno błagali króla hetmani i inni, aby korzystając z wycieńczenia Szwecyi, energicznie prowadził wojnę i zająwszy Estonię i Finlandyę, zmusił Szwecyę do zawarcia pokoju. Sejm nie ufał królowi — który nietylko ze swéj strony nic dopomódz nie chciał, lecz pobory kilkoletnie, uchwalone i zebrane na cele wojenne, po części na swoją potrzebę obracał (1)—i uchwalił zaledwo taką sumę, którą zaległy żołd wypłacić było można. Cały ciężar wojny spoczywał teraz na barkach saméj prawie Litwy; Inflant broniły jedynie wojska kwarciane.

Z tak słabemi siłami (kwarta litewska wynosiła najwyżéj 5,000 ludzi) nie mógł Chodkiewicz myśleć o wtargnięciu w kraj zajęty przez nieprzyjaciela, tylko zachowywać się odpornie.

Minęła bezpowrotnie chwila, w któréj można było przymusić Szwecyę do pokoju, i wojna ciągnęła się jeszcze 57 lat z przerwami, aż się zakończyła nieszczęsnym pokojem oliwskim 1660 r.

W r. 1604 podjęli Szwedzi dwie wyprawy do Inflant i polskiéj części Estonii; smutnie skończyły się obie. Linderson usiłował daremnie, ciągnąc przez lasy i błota, uniknąć spotkania z nadciągają-

---

(1) Oto wyjątek z mowy Zamojskiego podczas sejmu r. 1605. (Obacz „Dzieje panowania Zygmunta III p. Niemcewicza.“ Wyd. Turowskiego. Kraków 1860, str. 260):

„A najprzód co do wojny inflanckiej, com WKM. dawniéj napróżno radził, to i teraz, bodajby nie napróżno, powtarzam.

„Wstyd jest miłościwy Panie dla téj korony polskiéj, z tak małym nieprzyjacielem przez lat kilkanaście nieużyteczne, nieskończone nigdy prowadzić boje. Trzeba żebyś WKM. aby raz wysłał w tamtą stronę wszystkie siły swoje, wysłał swoje hetmany, zdał na nich nieograniczoną władzę, opatrzył ich w dostateczne sposoby, zapasy. Niech nie wracają, aż rzecz się zakończy. Skarżymy się wszyscy na niedostatek poborów, a lud niewinny płacze, o pomstę do Boga wołając, że już kilkanaście poborów za WKM. wybrano, któremi jak szafowano i na co je obracano, WKM. najlepiéj wiesz, że wiele z tych pieniędzy nie na obronę kraju, lecz na potrzeby WKM. i za jego rozkazem wzięto; to nie ma być. . . .“

Nietylko sam hetman mówił w tym duchu, lecz i inni senatorowie, jak widać z teki Naruszewicza r. 1605 (w arch. ks. Czartoryskich), gdzie pod l. 107, oprócz owej mowy (trochę skróconéj) Zamojskiego, znajduje się między innemi mowami także i *Votum JMC. pana Krakowskiego* z następującym ustępem:

„Szwecya i Inflanty jest to *cum maximo dedecore* WKM. i Rzpltéj, że ten nieprzyjaciel tak długo górę bierze i czyni co mu się podoba; remedyum nie widzę nad to lepszego, jedno tam go szukać, gdzie on jest; jednakże obojga królestwa tak Szwedzkiego jako i Polskiego WKM. jest panem, i ta wojna jest jako *civilis*, życzyłbym tego aby *per media* jakie do zgody przyszło, aby lud darmo nie ginął i rozlanie krwi darmo nie było. Pisał mi o tym *Duca de Newers*, że *Carolus* pisze o pokój; ale jeśliby kto od niego na tym sejmie nie był, radziłbym aby wojsko wprzód posłać, a potym jeśliby rzeczy potrzebowały, WKM. ruszył się osobą swoją.“

cym Chodkiewiczem; hetman dopędził go w okolicy Białego-Kamienia i 8 Września na głowę poraził.

Podobną porażkę poniósł generał Erichton, który z 7,000 ludzi Białego-Kamienia chciał dobyć podstępem.

Litwini, których gdzie było potrzeba nie brakło, zadali nieprzyjacielowi wielką klęskę 25 Września, na południe od téj warowni. W relacyi do króla z pod Hiberpola 29 Września odzywa się lakonicznie hetman: „legło Szwedów na placu więcéj jak 3,000, reszta i wielu rannych w błotach poginęło; armatek polnych 6, chorągwi 21 mnie oddano, 5 między rycerstwem poszarpanych.“ I historyk szwedzki Puffendorf mówi zgodnie z hetmanem: 3,000 poległych, pozostałych trofeów 6 armat, 26 chorągwi (1). Pięć wypraw, które Szwecya podejmowała w latach 1600—1604, pozbawiły ją w siedmiu większych bitwach przeszło 24,000 ludzi (poległych tylko), co ogółem (z rannymi) przedstawia pokaźną liczbę 50,000 (2). Klęski te, względnie straty całych wojsk nieraz, tak demoralizowały Szwecyę, że już r. 1602 po przegranéj pod Kiesią i Kokenhuzem szlachta wzbraniała się spełniać służbę (konną) obowiązkową, dotychczas bowiem ciężka jazda szwedzka składała się z saméj szlachty, jak u Polaków. W tym téż roku ulegając prośbie panów, uwolnił ks. Karol, jako namiestnik państwa, szlachtę od służby wojskowéj na lat dwa w zamian za współudział w subsydyach pieniężnych, które inne stany płaciły na wojnę. A ponieważ wojna dłużéj trwała, wznawiano ten układ (w Norköping 22 Marca 1604 i 1608). W r. 1608 zobowiązała się szlachta szwedzka dostarczać koni dla cudziemskich rajtarów zaciężnych, czego jednak zapewne niedotrzymywała z wielką akuratnością, skoro król Karol IX wyrzucał jéj to w tych słowach: „Nie dość, że się uchylacie od służby konnéj, która prawnie jest waszym obowiązkiem, nie chcecie nawet pomódz dając konie“ (3).

Niechęć ta do służby wojskowéj udzieliła się wkrótce, z powodu wojny z Polską, także i innym stanom; nie wabiła w szeregi nawet obietnica szlacheckiéj wolności, którą król przyrzekł tym,

---

(1) Puffendorf, *Contin. Einleit.* str. 613.

(2) Że liczba ta jest nawet za małą, dowodzi list generała szwedzkiego Jana hr. Nassauskiego de Mittlern do macochy Johanny hr. Nassauskiéj z d. 18 Listopada 1601 r., w którym powiada, że z 30,000 wojska wysłanego w r. 1601 do Inflant po roku 5,000 zostało. — Patrz Textor *Nassauskiéj Kroniki* 1617 r. nowo druk. w 1722.

(3) Gejler, *Geschichte Schwedens*, tom II, str. 338: „Nicht selbst wollt ihr reiten noch Rossdienst geben nach Gesetz, noch wollt ihr dazuhelfen mit Pferden.“

„którzyby pieszo lub konno służyć chcieli, okazując tém, że nie zamarzło w ich sercach imię dobrego Gota" (1).

Wojsko szwedzkie, piechota i jazda, składało się zatém po większéj części z pułków zaciężnych, które również nie chciały walczyć przeciw Polsce, wyraźnie to sobie przy najmowaniu zastrzegając. Sława polskich rycerzy, oraz wieści o bezustannych porażkach Szwedów biegły daleko w świat. Ale Szwed, nie bacząc na nic, toczy wojnę daléj, prowadzi swe hufce na rzeź na pola inflanckie obfitą krwią przesiąkłe, nadzieję swoją opierając na niezgodzie króla i szlachty, na wewnętrznych rozterkach, które niedługo potém wyraziły się w rokoszu Zebrzydowskiego, na opłakanym stanie finansów polskich i ich najbliższym skutku t. j. rozejściu się nieopłaconego wojska.

Że Inflanty już w pierwszych latach nie dostały się w moc Szwecyi, zawdzięcza Polska swym hetmanom: Zamojskiemu, Żółkiewskiemu, Chodkiewiczowi i Radziwiłłowi; ich to imię przywiązywało wojska do chorągwi. ich szkatuła płaciła żołd, ich obecność i udział w niewygodach wypraw zimowych wlewała i podtrzymywała ducha.

Co się tyczy rozejścia wojsk, musimy zaznaczyć, że takowe zdarzało się po dłuższém niewypłaceniu oraz po większych kampaniach zimowych, kiedy w krajach zachodniéj Europy, nawet w Hiszpanii i Włoszech, od Listopada do Kwietnia wojska zajmowały bezczynnie zimowe kwatery.

Tego spoczynku, który odpowiedniejszym był zapewne pod 59° i 60° szer. półn. niż pod słoneczném niebem Włoch, nie znały wojska polsko-litewskie: daty powyżéj przytoczone przekonywają, że najwięcéj bitew i oblężeń odbywało się w zimie.

Rząd polski, przyzwyczajony do nadzwyczajnych spraw swych wojsk, żądał od nich rzeczy niepodobnych; niepodobna bowiem utrzymać się bez żołdu w kraju, którego płody najzupełniéj wyzyskano. gdzie głód i powietrze panują, a żywność tylko za gotowy pieniądz z Moskwy (z Pskowa i Nowogrodu) przywożono.

Ponieważ żołd ówczesnego wojska pokrywał nietylko koszta utrzymania ich życia, ale co więcéj musiał starczyć na zakupno i utrzymanie konia, broni, nabojów i taboru, a dowodzący nie zajmowali się dostawą, zatém niewypłacalność żołdu nietylko pociągała za sobą okropny głód, ale nadto sprowadzając brak amunicyi

---

(1) Gejier: „Welche zu fuss oder zu Pferde dienen wollen und dadurch zeigen, dass der Gotenname noch nicht völlig in ihrem Herzen verstorben sei."

i uzbrojenia, ubytek znaczny koni, które żywiły wygłodzonego żołnierza, odejmowała wojsku obrotność i gotowość bojową.

W miarę, jak stan ten się przedłużał, pękały więzy karności, wojsko rozchodziło się, szukało w litewskich królewszczyznach leży zimowych, aby ujść śmierci głodowéj.

Stan podobny maluje najlepiéj relacya hetm. Chodkiewicza do króla z zimy 1605 r. (bez bliższego oznaczenia czasu): „Obietnice nie mają skutku. Za 430,000 czerw. złotych oddano 16,000, które zaledwo na piechotę (1000 ludzi) wystarczają (3,000 nie dostało zatém żołdu za cały rok). Przyrzekasz nam W. K. M. na święta pieniądze; za późno będą, pierwéj pomrzemy od głodu: i teraz konie swe jedzą. Skryłem się do Berzów (Berzonów), ażeby nie patrzyć na ich łzy, na ich rozpacz; głód wszystkich bezprawiów przyczyną. W. K. M. zapomniałeś o nas zupełnie. Tłumem odchodzą żołnierze, na mnie tylko narzekając, żem ich w tę nędzę wplątał. Wejdę do jakiego zamku i tam niech zginę. Nieprzyjaciel się gotuje i zapewne Inflanty zniszczone zostaną. Piechoty w zamkach 500 nie masz. Zastawiam Berzony, gotów jestem i majętność całą, ale gdzież teraz pieniędzy dostanę?“

Tak stały rzeczy, gdy Karol IX (od Marca 1604 król koronowany) sposobił się żywo, aby jednym potężnym ciosem przygnieść bezbronne Inflanty i wydrzeć je Polsce. Car moskiewski Borys Godunów w odwet za pomoc daną przez Polaków Dymitrowi, wsparł Karola IX pieniężnemi zasiłkami tak znacznemi, że nimi 14,000 wojska zaciągnął (1).

W połowie Sierpnia 1605 r. wylądował generał hr. Mansfeld z 4,000 Niemców pod Rygą, gen. Linderson z 5,000 Finów, Walonów i Francuzów pod Rewlem; król Karol IX z resztą wojska miał się połączyć pod Parnawą.

Zamiarem króla było, rozdzieliwszy się zająć po drodze słabo obsadzone twierdze, poczém połączonemi siłami oblegać Rygę. Pomocy inflanckiéj szlachty był pewny, opór zaś Chodkiewicza w polu z garstką Litwinów uważał za niemożebny.

Usilne prośby, przedstawienia i nalegania Chodkiewicza musiały przecież nie być bezskuteczne; kiedy bowiem wojska szwedzkie wylądowały, liczyły chorągwie hetmańskie do 5,000 ludzi, strąciwszy jednak załogi Rygi, Dyamentu, Dorpatu, Kiesi, Felina

---

(1) Puffendorf: „und zog König Karl dahin mit einem grossen auserlesenen Volke, umb Riga zu belagern“ (str. 613). — Loccenius: „Mox Carolus ipse cum Duce Lunenburgio et copiis duodecim millium (vel ut alii quatuordecim — quidam sedecim millium) armatorum accedit“ (str. 459).

i Białego-Kamienia etc. pozostało około 2,400 jazdy i 1,000 piechoty (1) do działań w pole. Z takiemi siłami stanął Chodkiewicz pod Dorpatem w samym środku kraju. Nie namyślając się długo, chciał już podążyć przeciw Lindersonowi, jako najbliższemu wrogowi, kiedy zagrożona Ryga wezwała go na południe. Zostawił tedy pod Dorpatem cały tabor a sam zwrócił się ku Rydze. Za przybyciem do Wolmaru czekały go pocieszające nowiny. Białłozor odparł Szwedów, Ryżanie stanowczym i dzielnym oporem unicestwiali wszystkie usiłowania wroga; wreszcie powziął pewność, że Mansfeld za słaby, aby zamachy jego mogły być miastu niebezpieczne.

Zważywszy, że w blizkości floty nieprzyjaciel łatwo uniknie walki, zwrócił się Chodkiewicz, jak pierwotnie zamierzał, przeciw Lindersonowi, Dąbrowie zaś z kilku chorągwiami zlecił mieć na oku ruchy Mansfelda.

Linderson, po usunięciu się hetmana na południe, gotował się do napadu na Felin, ale za jego powrotem porzucił tę myśl i oszańcował się w lasach, poczyniwszy zasieki, pod Fikelmojzą, w połowie drogi między Parnawą a Hapsałem.

Daremnie wyzywał Chodkiewicz Szwedów do walki, a widząc, że ci w lasach usadowieni wstępnéj bitwy wydać nie chcieli, wychylające się mniejsze ich oddziały szarpał i w tych częstych harcach do 200 ludzi im wyciął (2).

Tymczasem król wylądował pod Parnawą z 5,000 Szwedów, Anglików i Szkotów, dokąd i Linderson (3) zasłonięty lasami pośpieszył. Wobec wielkiéj ruchliwości, z jaką się hetman rzucał na pojedyńcze oddziały, przeszkadzając im w dobywaniu pomniejszych miast i zamków, wobec zbliżającéj się jesieni, postanowiono wszystkiemi siłami uderzyć na Rygę i zdobyciem jéj rozstrzygnąć los

---

(1) Loccenius (str. 460) mówi, że Chodkiewicz miał 3,000 piechoty a tylko 1,500 jazdy, co jednak nie jest prawdą, gdyż nietylko list hetmana ale także *Carolomachia*, *Nowiny z Inflant* i rękopis Krasickiego cytowany przez Naruszewicza w „Żywocie J. K. Chodkiewicza" — którego wprawdzie nie mam pod ręką — zgodnie liczbę wojska hetmana lit. na 3,400 podają; zresztą mogła piechota polska 3,000 ludzi liczyć łącznie ze wszystkiemi załogami rozrzuconemi po zamkach i miastach inflanckich. Puffendorf i Gejier nie wymieniają liczby Polaków, ostatni tylko cytuje list pobitego króla, w którym stosunek wojsk szwedzkich do polskich wyrażony jest 4 lub 5 do 1.

(2) List Hetmana do króla z Felinu 8 Września 1605 r. (*Carolomachia*). — Loccenius (str. 460): „Linderson cum nonnulla clade retrocessit."

(3) *Nowiny z Inflant.*— Thuanus: „Linderson cum jactura retrocessit" (tom V, pag. 1170—2).

Inflant. Połączenie zaś wszystkich sił powstrzyma — myśleli Szwedzi—Litwinów od kuszenia się o odsiecz.

Ruszyli na południe wybrzeżem, od Parnawy po Rygę pokrytem nieprzerwanemi lasami, co nietylko że zapewniało im pomoc równocześnie wzdłuż wybrzeża płynącéj floty, ale także broniło od konnicy litewskiéj, która niepokoić już ich nie mogła. Chodkiewicz, idący w ślad za nieprzyjacielem po Parnawę, zwrócił się do Felina, wzmocnił załogę i zaopatrzył w żywność, poczém równolegle ze Szwedem ruszył przez Wolmar ku Kiesi, gdzie stanął 18 Września (1). Ufając, iż Sudermana zwabią w głąb' kraju i porażą w czasie przeprawy przez Gawię, przysiedli Litwini niby trwożni za okopami i armatami pod Kiesią (2).

Czy Szwedzi pamiętali niezbyt dawną klęskę Wrangla na tych polach (7 Stycznia 1601), czy podstęp hetmana wzięli za rzeczywisty wyraz trwogi a jego oddział za nieszkodliwy, dość że nie opuścili lasów, lecz dowiedziawszy się od przybyłego z Rygi Łotysza o małych postępach Mansfelda, ruszyli ku Rydze, krótko się zatrzymawszy pod Salzmoizą. 23-go Września złączył się król i Linderson z Mansfeldem pod murami Rygi, którą oblegać poczęto z wielką gorliwością, dobrawszy do pomocy załogę okrętową.

Bezskuteczne oczekiwanie Szwedów oraz oczekiwanie taboru z Dorpatu i przygotowania do odsieczy zajęły Chodkiewiczowi cały tydzień (18—25 Września) (3). Postanowił on niezmiennie stoczyć walkę, gdyż z utratą Rygi straconą byłaby cała prowincya; słabe, niezapłacone i na krótki czas tylko zaopatrzone załogi innych miast poddałyby się wszystkie bez wielkiego oporu, a szlachta już w czasie pochodu łącząca się ze Szwedami opuszczała zupełnie sprawę Polski.

„Upatrywało się to wszystko, cokolwiek jedno w takich momentach iść mogło w konsyderacyą — pisze Chodkiewicz do króla po bitwie o swém postanowieniu — lecz niebezpieczeństwa inflanckie, które odwłoką bardziéj się jątrzyły, ścisnęły mię w ostatnią potrzebę.“

I w rzeczy saméj, nie było czasu do stracenia. Jakkolwiek Ryżanie, choć Niemcy i protestanci, mężną dali odpowiedź na obłudne listy Sudermana, że przysiągłszy królowi polskiemu wierność, téj przysięgi dotrzymają i stosownie do tego się zachowają; jakkol-

---

(1) Sam Chodkiewicz był 18 Września jeszcze w Wolmarze, gdyż list jego do króla tamże datowany. — Patrz „Żywot Chodkiewicza“ Naruszewicza.

(2) *Nowiny z Inflant.* — Porównaj z Loccen. str. 460.

(3) *Nowiny z Inflant.*

wiek wycieczki ich oraz jazdy polskiéj (400 l.) w mieście zamkniętéj szczęśliwy obrót brały, zdaje się przecież, że miasto nie było dość obronne, skoro drugiéj już nocy $^{24}/_{25}$ zbliżyli się Szwedzi, względnie Niemcy pod Mansfeldem, za pomocą aproszy (przykopów, *Laufgräben*) do rowów otaczających Rygę o tyle, że podkopywanie rozpocząć się już mogło. Działa oblężnicze, między temi dwa olbrzymie (1) zwane „djabeł i djabla matka," stały już w bateryach i ostrzeliwały miasto żarzącemi kulami.

Nim wyruszono, zarządził Chodkiewicz 40-godzinne nabożeństwo, całe wojsko przystępowało do stołu Pańskiego. 25-go Września pełni otuchy ruszyli z pod Kiesi Litwini, a 26-go wieczorem rozbili obóz między Iskielem (Uixküll) i Kircholmem nad Dźwiną o 15 klm. od Rygi.

Droga tak długa (w prostéj linii najmniéj 80 klm.), przebyta w 36 godzinach, i to zła leśna droga, znużyła niezmiernie żołnierza. Na wieść o zbliżaniu się Litwinów przejrzał Karol IX wojsko w obliczu oblężonych a ku wieczorowi 26-go zwołał radę wojenną.

Król zamierzał wysłać 8,000 przeciw Chodkiewiczowi, resztą prowądzić oblężenie, ale zgromadzeni jenerałowie odwiedli go od wykonania téj myśli. Szczególniéj Linderson i Schum nie radzili sił dzielić. Pierwszy przepowiadał Litwinom najzupełniejsze zwycięztwo, podnosił ich dzielną jazdę, mistrzowskie władanie szablą i kopiją, niezachwianą odwagę i zakończył temi słowy: „Pierwéj zobaczysz W. K, M. Dźwinę wstecz płynącą niż Litwinów i ich hetmana z pola uciekających" (2).

Zgodził się król nareszcie na zawieszenie oblężenia i postanowił, korzystając ze znużenia Litwinów, przed świtaniem wpaść na nich z całem wojskiem; o 10-téj w nocy miano ruszyć w drogę.

Podczas uczty, która nastąpiła po radzie wojennéj, przywiedziono schwytanego husarza.

Był-to Krajewski, towarzysz z husaryi litewskiéj. Rycerskiéj postaci, spokojny, niezmieszany położeniem, w kosztownéj zbroi, skrzydłach orlich i lamparciéj skórze, wywołał słowa pochwały z ust

---

(1) *Carolomachia.*

(2) Placet octo millia mitti.—Consilium ducibus consultis utile visum. — Unus at expertus quid — Sarmata possit in armis. — Sarmata fretus equo praepilataque sarissa— Antetulisse fugae mortem consuetus honestum. — Linderson obstat, subscribit Schumius illi. — Utilius fore, si pugnetur corpore toto. — Novimus experti, qua dexteritate sit, inquit, — Ipse Comes Chodkiewicius, quam fulminat ense — Romphae ave truci, quanta vi torqueat hastam. — Ante retro videas Dunae vada caerula ferri, quam Litavos dare terga fugae Litavumque Strategum! — (*Carolomachia*).

szwedzkich i niemieckich jenerałów. Najwięcéj podziwiał go Mansfeld i mówił: „Jeżeli wszyscy Polacy podobni są do tego rycerza, tedy nie wątpię, że się z wojskiem naszem spotkać nie ulękną.“

Rozgniewany tą pochwałą król rzekł: „Weź i ty wilczą skórę na ramiona, a będziesz wyglądał tak strasznie; nie bierz miary z jednego, może być takich kilkunastu.“

Krajewski wezwany do stołu prosił o głos i niepytany rzekł królowi: „Wojsko nasze najjaśniejszy książę jest długim pochodem zmordowane, nie liczne, nie liczące nad półczwarta tysiąca ludzi, posiłków chyba za dwa tygodnie się spodziewamy; atoli hetman mój i z tą garstką żołnierzy bitwę z wami stoczyć jest gotów.“ „Gotów?“ odpowie mu Suderman ze złością, „musi być załste twój hetman bardzo zuchwały; wszakże on ani młodzik ani stary, ani z rozumu obrany, żeby ze swemi rotkami przeciwko wojsku mojemu tyle tysięcy licznemu śmiał się postawić“ (1).

O 10-téj w nocy, gdy uczta się skończyła, wyszło wojsko szwedzkie w liczbie 11,000 piechoty i 3,000 jazdy ku Kircholmowi, aby napaść garstkę Polaków i Litwinów we śnie pogrążonych.

Nagle podczas pochodu spadł deszcz tak gwałtowny, że król musiał zaniechać nocnego napadu, zatrzymał wojsko i oczekiwał dnia (2).

Tejże nocy było zaćmienie księżyca. Zjawisko to nie mogło wpłynąć korzystnie na zabobonnych Szwedów, którzy w niém widzieli wyraźny palec Boży i groźbę za walczenie przeciw swemu prawemu namaszczonemu królowi.

Obce wojska przypomniały Karolowi IX warunki postawione (że nie będą użyte przeciw Polsce), ale Suderman ułagodził wzburzonych obietnicą podwójnego żołdu oraz zapewnieniem, że do walk z Polakami nie przyjdzie, że tylko ścigać nieprzyjaciela będą.

I zdawało się, że nie inaczéj będzie, gdy o świcie w pobliżu Kircholmu nie było ani śladu nieprzyjaciela.

---

(1) *Carolomachia*. Podobne lekceważenie nieprzyjaciela słabszego spotkało Fryderyka II przed bitwą pod Rossbach od Francuzów i wojsk rzeszy niemieckiéj, którzy szczupłe wojsko pruskie „die potsdamer Wacht-parade“ nazywali. Stosunek wojsk pod Rossbach nie był jednak bynajmniéj taki jak tutaj 4 : 1, lecz najwyżéj 2 : 1.

(2) Puffendorf i Loccenius przypisują klęskę, która nastąpiła, temu deszczowi i znużeniu po przebyciu 14 klm. w nocy. Nie potrzebuję dowodzić, że to czcza wymówka. I Polaków zmoczył ten sam deszcz, a znużenie ich po przebyciu 80 klm. większe być musiało, niż Szwedów, którzy ledwie 14 klm. uszli; zresztą deszcz trwał krótko, dzień następny był gorący—potykano się dopiero popołudniu. Szwedzi nie mogli zatem być przemokli.

Już chciał król puścić się w pogoń za uciekającym, jak mniemał, nieprzyjacielem, ale doświadczony jen. Linderson powstrzymał go zapewniając, że Litwini niezawodnie w porządku stoją po za którym z pagórków. Chodkiewicz dobrze wybrał miejsce, w którém, jak przewidywał, rozprawić się wypadnie. Gościniec wiodący od Rygi do Dynaburga wzdłuż prawego brzegu Dźwiny, ściśnięty przeważnie między lasem i rzeką, przechodzi pod Kircholmem wolną przestrzeń, blizko 6 klm. kw. mającą. Więcéj niż połowę téj przestrzeni zajmowała niegdyś wysepka na Dźwinie. W owym czasie było już tu jedno ramię rzeki suche, przeciętnie 350 kroków szerokie, a miernie strome jego brzegi nie tamowały wojsku ruchów; ówczesne łożysko było od Dźwiny po Kurtenhof całkiem wyschnięte, tylko na północy bagniste, poprzecinane rowkami osuszającemi, a zatem dla konnicy trudne do przebycia.

Na południowym krańcu byłéj wysepki wznosił się murowany kościół (założony w XII wieku przez Meinharda biskupa—pierwszy chrześ. dom Boży w tym kraju), od którego poszła nazwa miejscowości *Kircholm—Kirchinsel.*

Wedle najnowszych planów rosyjskich rzeka podmywa ziemię i przepływa obecnie tuż obok kościoła, który przed 275 laty leżał na 3-400 kroków od brzegu.

Kiedy pierwsze podsłuchy (1) litewskie przed świtem doniosły o zbliżaniu się nieprzyjaciela—27 Września, rozkazał Chodkiewicz wojsku, aby najprzód pomyślało o Bogu, potem o koniach i orężu.

Wysłuchawszy w namiocie mszy św., dosiadł hetman konia i z pagórka na wschód od Kurtenhofu obserwował rozwinięcie się Szwedów. Wojsko ukryte za pagórkami w ściśniętych hufcach za wyżyną Duszki, uszło oka nieprzyjaciela.

Około ósméj z rana ustawili się Szwedzi wzdłuż wschodniego brzegu byłéj wysepki. Piechota Lindersona i ks. Fryderyka brunszwicko-lüneburskiego zajęła korpus (*Centrum*—środek): ustawiono 6 pułków w pierwszym, a 5 w drugim szyku, w szachownicę; na skrzydłach stała rajtarya. Hr. Mansfeld dowodził 6—8 kornetami na prawem skrzydle, jen. Brandt 8—10 na lewém (2).

Kornety uszykowane były również w szachownicę, reszta rajtarów (1000), między temi gwardya szwedzka i szlachta inflancka, two-

---

(1) Podsłuchy—czaty najdalej od obozu, a najbliżéj nieprzyjaciela wystawione, obecnie placówkami zwane (*Feldwachen, Vedetten).*

(2) Szwedzkie szwadrony składały się ze 120 konnych, Gejler tom II. Siły Szwedów podają Polacy w liczbie 14,000, kiedy Loccenius sam mówi, że wielu liczyło Szwedów na 16,000.

rzyły rezerwę (1), 11 działek polnych ustawiono po obu stronach piechoty, tuż nad brzegiem suchego ramienia rzeki, które szyków broniło, jak gdyby rów umyślnie wykopany.

Gdy się już Szwedzi uszykowali, wywiódł Chodkiewicz swoich na wzgórza ku południowi od cmentarza, tak, że wojska widzieć się mogły.

Szczupłe swe siły podzielił na trzy kolumny i rezerwę. Środkowa kolumna była to jego chorągiew złożona z 300 hussarzy (2) pod wodzą porucznika Wojny; prawe skrzydło zajął Sapieha z 650 hussarzami, lewe Dąbrowa z 500 husarzami, 410 petyhorcami i 300 kozakami. lewe skrzydło było zatém najsilniejsze (1210 koni). Wszystka piechota tj 1040 ludzi i 200 husarzy stało po za czołem w odwodzie pod sprawą rotmistrza Lackiego (3).

Chorągwie swoje ustawił Chodkiewicz w ściśniętych hufcach i w kilku szeregach jeden za drugim, tak, żeby małe jego wojsko jeszcze się mniejszem wydawało i nieprzyjaciela do zaczepki zachęciło. Mimo tego nie śpieszył się jakoś Suderman; zdaje się, iż pewność zwycięztwa, jaką wieczora poprzedniego objawiał, zachwiała się w obec garstki polskiéj i zmieniła w obawę przegranéj; toż do południa nie ruszył się z miejsca, choć ochotnik litewski harcował, drażnił i wyzywał do boju. Nie wysłał nawet w zbite szeregi jazdy ani jednéj kuli działowéj, snać nie pragnął lwa ze snu budzić.

Żadna ze stron przeciwnych nie chciała pierwsza opuścić swego obronnego stanowiska, jakie zajmowała na wzgórzach.

Chodkiewicz jednak nie myślał bynajmniéj oczekiwać natarcia nieprzyjacielskiego i obronnie się zachować, lecz przeciwnie czekał tylko chwili, gdy nieprzyjaciel jako silniejszy opuści swe stanowisko, a wtedy zamierzał wpaść jak huragan ze swego brzegu z góry na znajdujących się w dolinie, lub usiłujących się dostać na brzeg polski. Hetman równał się szermierzowi, który nie chcąc zaczepiać przeciwnika, czyha na każdy jego ruch a uderza w chwili (*a tempo*), kiedy przeciwnik niezręcznie się odsłania.

Harce zajęły cały ranek—zawsze pomyślne dla Litwinów. Żywa otucha napełniała ich serca; w samym początku walki, pierwsze jéj ofiary ze strony szwedzkiéj padając, chyliły się na wznak ku swoim, co u naszych było znakiem niezawodnego zwycięztwa (*Carolo-*

---

(1) *Carolomachia.*—Loccenius: 460.

(2) Thuanus: spectatae virtutis.

(3) *Carolomachia.*—*Nowiny z Inflant.*—Porównaj Naruszewicza „Żywot Chodkiewicza" oraz *kronikę* Piaseckiego.

machia). IMP. Pasek w swych pamiętnikach wspomina o téj saméj wróżbie w harcach poprzedzających wygranę pod Połonką.

Podczas chwilowéj przerwy przemówił Chodkiewicz, wystawił położenie Inflant, nie mających żadnéj nadziei pomocy i zwrócił uwagę żołnierza na tę okoliczność, że w razie klęski uciekać nawet nie może—Dźwina zamyka odwrót. „Jedyna nadzieja spoczywa w naszym ręku i pomocy Boga“ (1). Gdy zaś wspomniał o wielkiéj liczbie wroga, odparł hetmanowi jakiś pancerny: „Policzymy lepiéj, gdy Szwedów wybijemy“ (2). Na co Chodkiewicz: „Daj Boże, by się te słowa waszmości spełniły, biorę je za dobry znak ochoty waszmościów i mam nadzieję w ich męztwie, że się nam powiedzie.“

Poczem zawiadomił wojsko i jego wodzów, jak zamierza stoczyć bitwę. Według tego planu, porucznik Wojna z 300 konnymi uderzyć miał na 11,000-czną piechotę nieprzyjacielską, i tę tak długo zabawiać, dopókiby, silniejsze skrzydła Dąbrowy i Sapiehy zniósłszy naprzeciw stojących rajtarów—po wyprawieniu petyhorców w pogoń za rajtarami, opierającą się szwedzką piechotę ze wszystkich stron otoczyły i wycięły. Znak rozpoczęcia bitwy miał dać sam hetman i sam kierować rezerwą.

Na pół godziny przed rozpoczęciem walki przybyła niespodzianie znaczna pomoc Chodkiewiczowi w osobie ks. kurlandzkiego Kettlera, lennika korony polskiéj. Wiodąc 300 jazdy uzbrojonéj na wzór husarzy, ukazał się na lewym brzegu Dźwiny, a widząc oba wojska gotowe do boju, powziął myśl prawdziwie bohaterską rzucenia się w rzekę i przebycia jéj wpław.

Cudem niemal przebyli ją Kurlandczycy; trzy mile od ujścia w tak szerokiéj Dźwinie trafili na bród nieznany nikomu, a tak wygodny, że konie chwilami tylko pływały—i bez straty do Polaków się dostali. Tu wzmocnił nimi Chodkiewicz chorągiew porucznika Wojny. Ogółem z Kurlandczykami miał hetman 3.700 ludzi.

W chwili przybycia tychże głośną była radość wojska. które w wielkim niepokoju oczekiwało końca ich niebezpiecznego położenia (przeprawy przez Dźwinę). Radość była têm większą że Szwed choć blizko stał, nie odważył się przeszkodzić Kettlerowi w przeprawie, czego się hetman obawiając odkomenderował kilka cho-

(1) „...Hic spes nulla fugae.—Nos undis undique armis claudimur. Inde hostis premit „hinc nos Duna coercet.—Unica spes superest in dextris inque ope Deorum.“—*Carolomachia*.

(2) „Caesos numerabimus.“ *Tamże*.

rągwi Dąbrowy, aby zasłoniły przybywających w razie napadu Szwedzkiego (1).

Pomyślne to zdarzenie oraz pogłoska o nadciągającym z Kokenhauzu z posiłkami het. pol. lit. Radziwille ożywiły nadzieję zwycięztwa i zamieniły w pewność; i w rzeczy saméj jakby na potwierdzenie wieści, w tyle na wzgórzach ukazały się znaczne zastępy wojska.

Byli to ciury (*Trossknechte*), którym Chodkiewicz bez wiedzy wojska tajemnie obóz opuścić kazał i na wzgórza wysłał, aby widok ich obudził myśl, że to Radziwiłł z posiłkami (2).

Postanowił nareszcie Chodkiewicz skorzystać z gotowości i pragnienia walki swego żołnierza (3), tém więcéj, że już południe było, a wojsko od brzasku stało pod bronią. Chciał jednak raz jeszcze próbować, czyli nie uda się sprowadzić nieprzyjaciela z doskonałéj pozycyi, jaką obrał, a tém samem zapewnić sobie wygranę lub stworzyć lepsze warunki. Użył w tym celu następującego podstępu. Rozkazał harcującym Litwinom okazać fałszywą trwogę, co gdy zachęci szwedzkich harcowników do silniejszego natarcia, uciekać ku swoim.

Nim jednakże zobaczymy, jaki był skutek tego podstępu, rzućmy okiem ku Szwedom, gdzie wojsko całe było świadkiem wypadku, który nie mógł zrobić dobrego wrażenia.

Karol IX objeżdżał czoło wojsk, przemawiał uroczyście, a chcąc podnieść odwagę swoich, poniżał i lekceważył Polaków i Litwinów. Gdy przyszły zięć jego ks. brunszwicko-lüneburski Fryderyk upomniał go o to, oburzył się król mocno i temi słowy wybuchnął: „Nie godzien jesteś być moim zięciem; osłabiasz temi niewieściemi słowami serca, czynisz tchórzami wszystkich, sam będąc takim. Owóż będę miał zięcia, któremu bardziéj kądziel niż broń przystoi.“

Na tę zniewagę odparł książę: „Niesłusznie mię królu nazywasz tchórzem i niewiastą; wtenczas będę takim, kiedy dziś z placu tak jak ty nieraz ucieknę. Na pokazanie tego, że się Polaków nie lękam, oto zsiadam z konia i pieszo mój regiment przeciwko nim prowadzę.“

Powiedziawszy to zeskoczył z konia, zmienił szyszak na kapelusz, odrzucił ostrogi i z juką w ręku stanął na czele pułku (4).

---

(1) *Carolomachia.*

(2) Starowolski. *Rerum militar.* str. 239, 343.

(3) Thuanus: „prosperi succesu spe suis impletis“.

(4) *Carolomachia.*

Za późno poznał król, iż się dał unieść gniewowi, przepraszał księcia i chwalił jego bohaterski zamiar, który niestety tenże życiem miał przypłacić.

Nie ochłonął król jeszcze, gdy mu oznajmiono, że nieprzyjacielski harcownik ucieka; o czem gdy się sam przekonał, zawołał radośnie: „Czyż nie przepowiedziałem, że Litwini uciekną“ (1)? Dał tedy hasło „Jehowa“, zwykłe protestantom, (używane także w 30 letniéj wojnie), oraz znak do wyruszenia, właściwie do pogoni uciekającego niby nieprzyjaciela. Rajtarzy stojący w odwodzie przyłączyli się do lewego skrzydła, którém dowodził Brandt, otrzymawszy zlecenie otoczenia i zajęcia tyłu Litwinom i przyparcia ich do Dźwiny (2). Posuwając się naprzód prześcignęła piechotę konnica, przez co zatracił się pierwotny kierunek linii bojowéj, (3) i oba skrzydła biegnąc zwężającém się półkrężem ku stojącym w wązkim szyku Litwinom, zbliżyły się ku sobie, zasłaniając poniekąd swoją piechotę.

Ta stanęła właśnie w starém łożysku rzeki, czoła kornetów sięgały jego przeciwnego brzegu, gdy nagle ze wszech stron rzucili się Polacy i Litwini.

Hetman czekał tylko téj chwili, aby, gdy Szwedzi opuszczą swe obronne stanowisko, dać swoim niecierpliwie oczekiwany znak do boju. Gdy harcownicy wróciwszy zajęli swe miejsca w szeregach, rozwinęły się owe małe ściśnięte hufce polskie w długie linije i z okrzykiem „Jezus Marya“ wśród odgłosu trąb i kotłów rzuciły się na wroga (4).

Kilka strzałów działowych z obu stron rozpoczęło bitwę, poczem ustały, skoro się wojska starły, by swoich nie razić.

Porucznik Wojna pierwszy się potykał. Jego celem była szwedzka piechota uszykowana w czworobokach otoczonych strzelcami (5), która witała nacierających rzęsistym ogniem. Lecz ani salwy muszkieterów, ani sterczący las pik nie wstrzymał husarzy (6). Z niewypowiedzianą szybkością (*ventre a terre*) uderzyli na piechotę.

---

(1) *Carolomachia*: „Jam non praedixi?“

(2) Loccenius. str. 466. Piasecki, *Chron.* 270—271.

(3) Piasecki.

(4) Zwykły okrzyk wojsk katolickich w czasie wojny 30-letniéj.

(5) Thuanus: „Procedens XI machinis sequebatur phalanx contis ferro rigentibus horrida circumfusis undique scolpetariis.“

(6) *Carolomachia:* Impete sumono festur in adversam. Practoria turma phalangem. *Thuanus*: Summa alacritatae... equis concitatissimis.

Straszne i krwawe było starcie, nie wszystkim udało się wpaść w ten las nadstawionych pik, lecz jedni idąc za przykładem przodujących czyli raczéj w ich ślady, cisnęli się wpoczynione wyłomy, inni straciwszy konie, i wystrzeliwszy pistolety siekli szablami lub koncerzami piki wroga, rum sobie czyniąc, wciskali się między pikinierów, okrzykiem: „Siecz kłuj“ nawzajem się do krwawego marsa nawołując.

Twardszy niż pod Lubieszowem był tu orzech do zgryzienia.

Gdy tam w 10 szeregach tylko stali pikiniery tutaj w kwadracie w 30 szeregach (obacz tablicę III) była piechota uszykowana; muszkietery nie stali jak tam po skrzydłach i nie opuścili pikinierów w chwili natarcia, lecz w 3 lub 4 szeregach jakby ramami opasywali ich do koła a zasłonięci jeszcze na 2 kroki przed siebie i ponad swe głowy sterczącemi pikami, jak z za rogatek bezpieczni, razili ogniem rotowym husaryą.

W porę przybyły Wojnie posiłki: dwie roty Kurlandczyków pod Rekiem i Eucholdem rotmistrzami; wtedy wspólném natarciem rzucili pierwszą linię pieszych, po części rozgromionych, w nieładzie na drugą świeżą linię czworoboków, w szachownicę za niemi stojącą; przez co nie tylko ją w swobodném działaniu tj. strzelaniu skrępowano, lecz nadto przez trochę gwałtowny odwrót, w nieporządek wprawiono. Dzielni wszakże pikiniery, jak pod Lubieszowém tak i tu, choć nieodpowiednie szykowanie i uzbrojenie zwyciężyć im nie pozwoliło, tyłu jednak zrazu nie podali, bronili się kłując dlugiémi spisami konie i ludzi nacierających, padali na miejscu w szeregach jeden obok drugiego pod kopytami końskiemi i razami koncerzów, krzywych szabel i obuchów, gotowi ledz a nie ustąpić (1).

Ale gdy własna rajtarya, zamiast pomocy, z pola spędzona, skrzydłowe czworoboki tratowała, jak to dalej zobaczymy—a husarya Dąbrowy a trochę późniéj i Sapiehy z boku i z tyłu na piechotę uderzyła, wtedy to dopiero zwątpiwszy o wygranéj, rozgromione resztki uchodzić usiłowały. Lecz daremne były ich usiłowania;—uciekać wobec konnicy—to jakby przed wiatrem chcieć uchodzić, rzadko który zdołał niespotrzeżony dopaść lasu, reszta w rozpaczy z wściekłością i szałem broniła się do ostatka. Linderson ranny leżąc na ziemi, bił się jeszcze i piką kilku ranił.

Litwini i Polacy także nie małe ponieśli straty. Sama chorągiew hetmańska straciła 28 towarzyszy 12 czeladzi (poległych i rannych)

---

(1) Hostica gens quocumque loco vestigla fixit obstinata mori,—Caedivquam cedere mavult.—*Carolomachia.*

porucznik Wojna był w liczbie rannych; strata koni wynosiła przeszło 100.

Z tą samą rzutkością, zręcznością potykało się lewe skrzydło pod wodzą Dąbrowy z kornetami Mansfelda. Walka była tu krótka i jakby jednym zamachem skończona.

Podczas gdy Dąbrowa z swą własną chorągwią zajął nieprzyjaciela od czoła (z frontu), druga chorągiew husarska skoczyła w lewo a zachodząc w prawo (zmieniając front), zagarnęła prawy bok odkryty nieprzyjacielski (1), za posługującym jéj wiatrem, który kurzawą i piaskiem Szwedom w oczy wiał (2).

Nieprzyjaciel tymczasem według swego zwyczaju drobnym kłusem następował w swéj mniemanéj pogoni, i brzeg przeciwny tj. polski osiągnąć usiłował. Nim jednak spostrzegł, że role goniących i gnanych się zmieniły, rozległ się okrzyk polski w powietrzu, a tuż w téj saméj niemal chwili z przodu i z boku rozwinięte szyki usaryi wpadły na niego z szybkością błyskawicy i zapędem niepowstrzymanym.

Jak plewy przed wiatrem tak i rajtary Mansfelda pierzchające i nawałą wsparte w kierunku wskazanym przez z boku zachodzącą chorągiew, gnały i tratowały w ucieczce własne czworoboki narożne pieszych prawego skrzydła. Teraz petyhorce (Tatarzy litewscy) ruszyli w pogoń za pierzchającymi rajtarami Mansfelda, usarya zaś z kozakami, dokończała piechotę, przez rajtaryą tratowaną, i uderzyła na boki i tyły piechoty szwedzkiéj, która dotąd Wojnie i Kurlandczykom się broniła. Tu z ręki Dąbrowy poległ niepoznany nieszczęśliwy książe Fryderyk Lünebursko-brunszwicki, walczący pieszo na czele swego pułku niemieckiego. Po bitwie znaleziono ciało jego z rozpłataną czaszką i odciętą prawicą, w któréj do ostatniéj chwili dzierżył chorągiew swego domu (3).

Resztka piechoty stratowanego skrzydła pod wodzą Stywera i Sztygla, krok za krokiem ustępując, zdołała dopaść kościoła kircholmskiego i murów cmentarza, zkąd jak również z okien kościelnych rzęsistym ogniem sypała, broniąc się uparcie do upadłego. Lecz nic oprzeć się nie było wstanie z gołą sząblą lub toporem w rę-

---

(1) *Carolomachia*: „Dextrum hostis hic impete cornu discussit penetrans et cum turmalibus agmen."

(2) *Tamże*: „Paulum aversus abit procurrens moxque reflexis impetuosus equis Euro impellente sequaci, ocyor advolitans lateri se immittit aperto perrumpitque aciem." —Loccenius (p. 461): „Dąbrowa... indextrum Svecornu acri impetu invehitur et turmas caedibus permiscet."

(3) *Carolomachia*.

ku następującym, biegnąc, hajdukom litewskim (wybrańcom szawelskim i upartym Rusinom, dzielnym i ponurym Poleszukom, synom puszczy białowieckiéj), którzy teraz dopiero zdołali dobiedz swych skrzydlatych herbowych braci. Mury cmentarza zdobyto a wraz z kozakami spieszonemi pod wodzą Suka, wyrąbano toporami *zatarasowane drzwi kościoła*, — z wyjątkiem znaczniejszych oficerów, nie oszczędzono nikogo!

Dłużéj trwała walka na prawém skrzydle, tu Sapieha z swemi 650 husarzami miał do zwalczenia nietylko blisko 1,200 rajtarów Brandta, lecz i walny huf pod wodzą samego Karola Sudermańskiego, blisko 1,000 koni liczący, złożony przeważnie z szlachty szwedzkiéj i inflanckiéj, która tutaj może poraz ostatni swą powinność osobiście w szeregu przy boku królewskim pełniła. Był to więc nieprzyjaciel walczący równą bronią—kopią i całym zapędem końskim, jak Polacy.

Sapieha ze swą chorągwią, mając w posiłku roty Wilamowskiego i Gedrojca, uporał się wkrótce z rajtaryą Brandta w podobny sposób, jak Dąbrowa z swymi przeciwnikami; padł bowiem „jak rwący potok górski" na rajtarów, rozgromił jednym zapędem i z pola zegnał (1). Lecz pogoń polską wstrzymał nowy nieprzyjaciel: rezerwa szwedzka, dzielna szlachta, uderzyła na boki goniących husarzy, zmusiła ich do zaniechania pogoni i zwrócenia się na nich.

Ostatnie chorągwie posiłkowe polskie skoczyły z pomocą; również i Szwedom przybywały na pomoc. Wkrótce zakipiała walka prawdziwych jeźdźców, za każdém natarciem świeżéj chorągwi nową postać przybierająca. „Nieprzyjaciel uporczywy dwa razy się poprawował" — mówią *Nowiny z Inflant*, drukowane tegoż samego roku w Krakowie.

Dzielnie stawali husarze, skoro wytrzymali przeważnemu nieprzyjacielowi, równemu sobie, i rajtarya, zrazu z pola zegnana, mogła na nowo się uszykować i do walki wmieszać. Ostatnie świeże chorągwie rzucił król Karol w ten wir walki, a przecież niepotrafił przechylić szali zwycięztwa na swą stronę. Przeciwnicy zwarli się jak dwie chmury: tak bój trwał chwilę, szeregi, szyki były pomieszane, ledwie swój swego w tym zgiełku rozpoznał; tutaj tylko świeże siły mogły roztrzygnąć. Szwedzki wódz nie miał już ani jednéj świeżéj roty, lecz miał ją Chodkiewicz! Przezorny hetman,

---

(1) *Carolomachia:* „Sapieha.... Impiger instar aquae torrentis hic impetit hostem." — Loccenius (p. 461): „Sed hi (Svec.) ab occurenta Sapieha strenue excepti loco pulsi et in fugam versi sunt." (Sławny późniéj Lissowski służył jako porucznik w rocie Wilamowskiego, był w tym boju).

którego bój dłużéj trwający sprowadził na miejsce niebezpieczeństwa, zaklinał swoich, by wstrzymywali chwilkę jeszcze tę nawałę, a widząc moment ogólnego przesilenia, pchnął gońca do Lackiego, do walnego hufu, który dotychczas stał na miejscu — *propter omnes casus*, — na rozkazy hetmańskie oczekując.

Poinformowany Lacki przez gońca hetmańskiego o stanie walki, objechał ze swą 200-konną chorągwią cmentarz, zachodząc tym manewrem w bok lewy nieprzyjacielski, tam gdzie tenże stał najgęściéj, a rozwinąwszy swój ściśnięty dotychczas huf (kolumnę) w sprawę (linię, w ławę), wpadł jak piorun na nieprzyjaciela (1).

Pod tém natarciem runęła cała ta masa pomieszanych jeźdźców (*melée*) i rajtarów w kierunku wskazanym przez uderzenie Lackiego na lewe skrzydło piechoty szwedzkiéj, która dotychczas jeszcze Wojnie i Kurlandczykom czoło stawiała. Przeszło 2,500 koni cwałujących szwedzkich i polskich, gnanych i goniących, okropnym naciskiem wpadło na piechotę i roztratowało ją; reszta tejże się rozprysła. Wtedy „skończyła się bitwa i rozpoczęła się straszliwa rzeź“ — mówi Zawisza w *Carolomachii* wraz z Lokceniuszem dziejopisarzem szwedzkim niemal temi samemi słowy (2).

Jenerał Brandt daremnie wzywał i wstrzymywał uciekających, sam wkrótce dostał się w niewolę, część husaryi zagrała gonionego (ruszyła w pogoń), drudzy dokończali (docinali) piechotę, poczém poszli w ich ślady. Głucho zrobiło się na placu boju, gdzie przed chwilą 5,000 jeźdźców i rajtarów o zwycięztwo się uganiało; tylko jęki konających rozlegały się: hajducy litewscy i ciury obozowe dobijali rannych i zbierali plon, wytrząsali trzosy poległych.

Jak wyżéj wspomniano, skoczyli petyhorcy za rajtarami Mansfelda w pogoń; rącze ich konie musiały niezawodnie wkrótce prześcignąć uchodzących na ciężkich fryzach, nawrócić, otoczyć i po części znieść; potém stanęli u przeprawy na zachód od Blukke, u furtki naturalnéj, którędy—między lasem z jednéj a Dźwiną z drugiéj strony — wązkie zostawało pole do powrotu ku Rydze do swéj floty uciekającym Szwedom.

Skoro gromady pierzchających zbliżały się do owéj furtki, zniżały się rohatyny do potkania a Tatarzy ruszyli z kopyta naprzeciw. Wtedy watahy (kupy) uciekających skoczyły na bok by sobie szu-

---

(1) *Carolomachia*: „Et rult (Lacklus) obliquans qua stat densissimus hostis, et praepilatos rumpit longo ordine contos. — Primi equites versis pulsl referuntur habenis— Procultantque suos pedites.“

(1) Loccenius, 461: „Ita non amplius pugna sed trucidatio subsequebatur.“ — *Carolomachia:* „Jam non pugna geri sed visa miserrima caedes.“

kać innego bezpiecznego przejścia lasem; lecz i tam niezawodnie czekał ich podobny zawód od innych rot petyhorców. Jak obławą otaczali Litwini, Polacy i Kurlandczycy Szwedów usiłujących przebić się przez ten coraz malejący żelazny obręcz; odpędzali ich wstecz do środka, gdzie swoich tratowali. Jak zwierz obstawiony w ostatniéj chwili pogonki, miotał się Szwed na wszystkie strony; nie mogąc dopaść bliskiego chroniącego lasu, w Dźwinę się rzucał by ją przepłynąć i tonął.

Za natarciem Lackiego wszakże, gdy całe lewe skrzydło szwedzkie hurmem z pola umykało, i petyhorcy takiéj nawale podołać nie mogli: fale uciekających w różnych kierunkach się rozlały. Wtedy kto żyw był i osiedział się na swym rumaku, skoczył gonionego, by skorzystać zupełnie ze zwycięztwa i nieprzyjaciela znieść do ostatka, do szczętu, by noga nie uszła.

Zapominał w takiéj chwili lekko postrzelony o swéj ranie, o znużeniu, całodziennym wysiłku; konie nawet widząc to ogólne polowanie, nabierały świeżych sił, gnały póki nie padały pod swymi jeźdźcami. Żaden husarz niepomyślał, że konia swego wartującego i 200—300 czerw. złotych w téj gonitwie postrada, kredensował bowiem na czele hetman, książe Kurlandzki i pułkownik; któż to wtedy chciałby zostać w tyle? i nie wypić czary zwycięztwa do dna? A cóż to za radość napawa jeźdźca, gdy widzi po całodziennéj pracy cel osiągnięty—uchodzącego wroga! To żniwo! Muzyki marsowe surmacze, trębacze i kotły grały na tryumf, rozlegały się echa zwycięztwa po lasach i borach, dodawały ducha, a syn sarmacki tańczył do upadłego „gonionego.“ To był dawny ulubiony taniec polski, którego werwa, dusza do dziś dnia została, lecz nazwa się zmieniła, dawniéj zwano go „goniony“, „odbijany“, „ścigany“ lub „wyrywany“, dziś „mazur“. — Ścigano pierzchających z jednéj strony ku wiosce jezuickiéj Blumenthal pod Rygę, z drugiéj po rzekę Gawiją; energiczną musiała być pogoń, skoro Karol Sudermański z kilku zaledwo najlepszych jeźdźców, z trudem dostał się do floty i wsiadł na okręty. Przybywszy na pokład, szalony i nieprzytomny z gniewu i wstydu przebił własną ręką Krajewskiego, mówiąc: „Oto masz za twą przepowiednię, tobie się zdawało, że twoich 3,000, mnie zaś że 10,000“ (1).

Ku wieczorowi nie było nieprzyjaciela w Inflantach! Jakby na urąganie towarzyszyła brzegiem Dźwiny konnica polska płynącéj flocie aż do ujścia morskiego, strzelając z łuków i pistoletów.

W trzy dni po bitwie pisał hetman relacyę do króla 30 Września:

---

(1) *Carolomachia*: „Millia terna tibi, mihi millia dena videri!“

„Jako wszystkie WKM. sprawy Pan Bóg z świątobliwéj dobroci swojéj zwykł błogosławić, tak i w teraźniejszych raziech, które mię i rycerstwo WKM. od nieprzyjaciela zachodziły za szczęściem i niewinnością WKM. sprawiedliwy dekret swój podać raczył. Długo pod Rygą, długo pod Dyamentem książe Karolus usiłując, iż bliskie ku odsieczy ciągnienie moje z napiętych go zraziło konceptów ze 14 tysięcy wojska 27 Września pod Kircholmem nastąpił na mnie. Ludzi WKM. liczbą mu daleko nierównych 3,400, posiłków zaś prócz p. Talwosza z Litwy a 300 rajtarów, z któremi książe JMć. Fryderyk półgodziną tylko przed potrzebą do wojska WKM. przez Dźwinę, ledwie nie wpław z Kurlandyi przypadł, nie było więcéj.

„Upatrowało się to wszystko, cokolwiek jedno w takich momentach iść mogło w konsyderacyą. Lecz niebezpieczeństwa inflanckie, które odwłoką bardziéj się jątrzyły, ścisnęły mię w ostatnią potrzebę, gdzie acz dosyć długo z wielką obu stron przewagą Mars wątpliwy zwycięztwem mienił, niewinność WKM. p. n. mił. za błogosławieństwem bożem nieprzyjaciela, który paszczekę swą na własność i sławę dobrą WKM. był rozdarł, tak wsparła, iż sam ranny tył sromotnie podać musiał, a ludu jego do 9,000 zabitych, szeroko po polach legło. Tamże na placu książę Luneburski, Linderson i wiele innych znacznych rotmistrzów gardła swe położyło. Ostatek z pogromu za Dźwinę uciekających bito w Kurlandyi, bito w Milgrafii, bito po innych stronach, kilkuset do tego więźniów, chorągwi 60 a działek polnych 11 jest wzięto.

„Tak i potężne upadają wojska, tak giną ci, którzy przeciwko Bogu i sprawiedliwości, przeciwko panom swym bronie podnoszą. Ludzi WKM. do 100 zginęło, wiele rannych, więcéj koni pobitych odeszło. Wiele wprawdzie razów na małość wojska WKM., mało jednak względem wielkości nieprzyjacielskiéj.

„. . . .Zostaje dalsze poparcie wojny, gdyż podobne są do wielu rzeczy, za tém zwłaszcza pogromieniem, sposobności. Byłaby w ręku Parnawa, byłoby i co większego, ale trzeba ludzi i postrachu, któregoby się pod ciągnieniem mojem w tamten kąt (Estonią, Finlandyą) z potrzebę (armaty, amunicya) wnieść mogło. Wojsko to już niezażyte, jazda strudzona, z piechoty jedni pobici, postrzelani, drugich zwykła miękość za Dźwinę pędzi (do domu, bo chleba nie mieli). Radbym jednak wiedział będęli ludźmi od WKM. posilony, abym w nadzieję tych zlekka formował rzeczy. Kontentując się zatém, które Bóg dał, szczęściem i po takiém utrudzeniu, byłoby mi pewnie miłe spocznienie; ale że wojenny tryb potrzebuje tego, szkodaby opuścić co z pożytkiem i sławą być może.

„Zalecam nakoniec księcia JMci Kurlandzkiego Fryderyka, któremu oprócz dawnych ustawicznych na miłościwą łaskę WKM. zarobków, ten świeży Kircholmskiéj przewagi autentyk wielkie niesie zalecenie. — Jako się jeno zaczął akt tragedyi inflanckiéj, dotrzymując wcale poddaństwa swego WKMci. Za każdą okazyą, z wielkim dóbr swoich uszczerbkiem, tém się stawił, jako powinności i uprzejméj ku służbom WKM. chęci jego należało.

„Zręcznie prawie, gdy już w oczach był nieprzyjaciel, ze 300 rajtarów ledwie nie wpław przez Dźwinę przepadłszy, pokazał to, iż milsza mu jest sława i dostojeństwo majestatu WKM. nad własne zdrowie.

„Uniżenie WKM. p. m. proszę, abyś WKM. jako wdzięcznie koszt, prace i zasługi jego przyjąć, tak szczodrobliwością swą pańską, ku dalszemu w podobnych raziech zachowaniu wesprzeć miłościwie raczył. . . . .“

List ów, skromny również jak *Nowiny z Inflant*, podaje ze zwięzłością dzisiejszych buletynów i zgodnie z prawdą cały krótki przebieg i wynik bitwy, świadcząc, że naprawdę „był żołnierz, co się nie chwalił.“ Jaskrawiéj od hetmana maluje stan rzeczy i koniec bitwy list pobitego Karola Sudermańskiego do stanów szwedzkich dnia 20 st. st. (30 now.) Września:

„Die unseren liefen und liessen sich am Nacken geben wie ein Haufen Hühner — flohen vor einer geringeren Schaar wo sie 4 oder 5 gegen Einen waren, und liessen uns am Platze — das Pferd stürzte unter uns und wäre nicht ein Liefländer Heinrich de Wrede gewesen, so wären wir lebendig oder todt in die Hände des Feindes gerathen“ (Geijers, *Gesch. Schwd.* II, 348) (1).

Szwedzki historyk Lokceniusz (str. 461) podaje sam 8.000 poległych z wyraźnym dodatkiem: „nie licząc tych, co w pogoni padli lub w Dźwinie potonęli.“

Straty Szwedów, w liście hetmana wymienione cyframi, nie obejmują bynajmniéj całéj rzeczywistéj ich straty, gdyż właściwie całe wojsko stracili — do okrętów Karol IX z garstką się dostał, z któréj-by ledwie chorągiew jedną zestawiono; nie wiele więcéj za Gawię z Mansfeldem ujść mogło; resztę w lasach pobłąkaną chłopstwo pobiło. Liczby tych wszystkich, po za obrębem placu boju poległych, hetman wiedzieć nie mógł, podał tylko taką liczbę trupów, jaką na miejscu walki pogrzebano. Z wyjątkiem króla i Man-

---

(1) Porównaj Puffendorfa: „und wurden da die Meisten von der schwedischen Armee niedergehauen oder gefangen“ (str. 613—614).

sfelda mało kto ze starszyzny uszedł z pogromu, polegli bowiem: ks. Fryderyk Luneburski, jen. Linderson, pułkownik Stygel; Forbes, pułk. szkotów utonął w Dźwinie. W niewolę się dostali: jen. Brandt (jako zmiennik ścięty późniéj w Krakowie); Witting, gubernator Rewla; Wakebart, konsyliarz; pułk. Sztywer.

Obóz, armatę wszystką, 60 chorągiew zdobyto. Zwycięztwo to, w Europie niesłychane dotąd, okupili Polacy stratą 100 poległych i około 200 rannych; ubytek koni musiał także do 300 dochodzić, skoro chorągiew Wojny sama 100 koni (3-cią część) postradała. Zwycięztwo to zawdzięczali, oprócz geniuszu hetmana, swéj naturalnéj pojedyńczéj szybkości, raczéj dzikiéj furyi — impetowi i białéj broni, — naprzeciw broni palnéj i ich konsekwencyi, głębokiemu szykowaniu i tak zwanemu porządkowi, sztucznie komplikowanéj pedanteryi uniemożebniającéj szybkość.

Uświetnił swe zwycięztwo hetman rycerskiém obejściem się z więźniami i poległymi. Następnego dnia po odbytém nabożeństwie w kościele św. Jakóba w oswobodzonéj Rydze, uwolnił wszystkich więźniów obcéj narodowości za odebraną od nich przysięgą, iż nadal przeciw Polsce wojować nie będą, zatrzymał samych tylko Szwedów dla wymiany.

Ciała poległych oficerów złożono z wszelką wojskową okazałością w katedrze P. Maryi (1), zwłoki zaś ks. Luneburskiego powierzył ks. Kurlandzkiemu, z poleceniem wydania ich jego dostojnéj rodzinie. „Patrzała na to — mówi Jakób Sobieski, ojciec Jana III, zacny pisarz *Coment. Chotinensis belli* — zadumiała Ryga, usłyszały i pochwaliły tę wspaniałość obce narody, ucieszył się w żalach, a w samym nieprzyjacielu zwyciężony rozkochał się nieprzyjaciel.“ Wskutek tego zwycięztwa zyskał Chodkiewicz imię doskonałego wodza, osobliwéj roztropności i sztuki żołnierskiéj,—Litwini i Polacy sławę niezrównanego męztwa.

„Bitwa zaś Kircholmska, dzieło to wprzód rąk Boskich—mówił Jakób Sobieski na pogrzebie het. Chodkiewicza — a potém męztwa dzielności i sławy jego na wszystkie narody i na wszystkie wieki, dziwowisko jakieś i komuż jest w Rzpltéj tajną. Dziwują się podziśdzień cudzoziemscy hetmani, pełne są ich zamorskie kroniki. Kilkanaście tysięcy ludzi zbrojnych znieść *ad internectionem* tak małą garścią ludzi, z tak małą swoją szkodą; bardziéj się mu potomne wieki dziwować aniżeli wierzyć będą“ (2).

---

(1) „Wodzów przedniejszych ciała sam do grobu prowadząc—mówi Starowolski w dziele swém *Prawy rycerz* (wyd. Turow. str. 39) — z muzyką wojenną i ze strzelbą, mary szkarlatami nakrywszy.“

(2) Rękopis w Bibl. Ossolińs. Kodeks 207, str. 344.

Złożyli hetmanowi powinszowania z cesarzem Rudolfem różni monarchowie: Jakób, król angielski darami go obesłał i przyjaźń swą ofiarował. Oświadczył mu osobliwszy szacunek Paweł V, papież, przesyłając listownie powinszowanie oraz błogasławieństwo swe.

Sława tego zwycięstwa zapełniała nietylko samą Europę, lecz rozlała się do Azyi i Afryki, oparła się na granicach Baktryi i Etyopii, gdyż Sułtan turecki i szach perski Abbas zdumieni winszowali królowi Zygmuntowi III (1).

Zwyciężyć zatém Polacy umieli i wojskowo czyli taktycznie, jak widzieliśmy, wyzyskali to pogonią przez zniesienie doszczętne nieprzyjaciela; lecz politycznie zwycięztwa całkiém nie wyzyskali, pomimo próśb i przedstawień hetmana, gdyż król z podziękowaniem wojsku i Chodkiewiczowi nie przysłał bynajmniéj tego, czego było potrzeba do wkroczenia w kraje nieprzyjacielskie i prowadzenia wojny zaczepnéj, t. j. pieniędzy i wojska świeżego, — lecz tylko obietnice! — Wojsko głodne, obdarte, znędznione, które już dwie ćwierci z własnego funduszu służyło, rozeszło się na zimę do domu.

* * *

W krótkim przeciągu czasu od 1601—1605 r., widzimy na widowni boju inflanckiego hetmanów wielkich: Radziwiłła Krzysztofa (litew.), Jana Zamojskiego (kor.); również i polnych. Żółkiewskiego (kor.) i Chodkiewicza Karola (lit.). Wszyscy zasługują na miano pierwszorzędnych wodzów: Radziwiłł celował taką rzutkością, śmiałością i prędkością ruchów, jakiemi to Fryderyk II a późniéj Napoleon Bonaparte (1796 i 1813) zadziwiał Europę, rzucając się i znosząc po kolei swych licznych lecz oddzielonych przestrzenią nieprzyjaciół. Zamojski prowadzi najniewdzięczniejszą, bo najtrudniejszą całą kampanią oblężniczą przez zimę (1601—1602) na tak dalekiéj północy, mając więcéj z srogością klimatu niż z nieprzyjacielem do walczenia, lecz przyszły mu w pomoc jego doświadczenia nabyte pod Pskowem. Tegoczesne kampanie podobne zimowe, jak np. oblężenie Sewastopola, Paryża i t. d. mniéj już zadziwiać będą, gdy przypomnimy sobie o kampaniach Żółkiewskiego pod Pskowem, pod Wolmarem i Felinem. Różnica w oddaleniu geograficzném o 12—15 stopni szerok. — floty, koleje ułatwiają obecnie takie kampanie. Jedynie położenie Rosyan, oblężonych w okopach wąwozu Szypki, oraz oblegających tychże Turków, może w zwalczeniu okropnych trudności klimatycznych i sanitarnych iść niejako w porów-

---

(2) *Carolomachia.*

nanie. Dalej ukazał Zamojski pod Białym-Kamieniem licznym zgromadzonym w jego obozie wolontaryuszom cudzoziemcom, że Polacy nietylko wrogom w polu czoło stawiającym, lecz i za bagnami i murami się opierającym równie są groźnymi i strasznymi.

Żółkiewski zaś, czuwający nad bezpieczeństwem Zamojskiego, oblegającego Biały-Kamień, od zewnętrznego nieprzyjaciela, wypełnił po mistrzowsku swe zadanie przez rozsiane podjazdy, słyszał— mówiąc teraźniejszym, technicznym, obrazowym wyrazem — „jak trawa rośnie.“ Ledwie że odsiecz szwedzka pod Anrepem wylądowała w porcie Rewla, już szybkością jakby iskry elektrycznéj wiadomość doszła do obozu pod Biały-Kamień, a Żółkiewski tuż pod Rewlem napadł już nieprzyjaciela, między morzem a jeziorem uszykowanego i kobyleniem (hulajgrodem — wilkami, *spanische Reiter*) od natarcia jazdy polskiéj zabezpieczonego.

Wtedy to Żółkiewski — tutaj poraz pierwszy samoistnie dowodzący — widząc niemożebność przełamania nieprzyjaciela, oszczędzając swą jazdę, pchnął—jak Napoleon pod Arkole w podobném położeniu — oddział jazdy lekkiéj do koła jeziora Jerkiel i bagien na tyły nieprzyjacielskie. Rozgromił wroga a uciekających docinał w rowach rewelskich w obliczu załogi, tą szybkością i odwagą tak dalece zdumionéj, że nawet wystrzału na goniących wypuścić się nie ważyła.

Chodkiewicz nakoniec był rzutkim jak Radziwiłł, wykazał zdobyciem Dorpatu zimową porą, iż pojął Zamojskiego, a w bitwach w otwartém polu dorównał Żółkiewskiemu.

Chodkiewicz znalazł się 1605 roku w najkrytyczniejszém położeniu wobec przemożnego nieprzyjaciela, zostającego pod nierównie lepszém niż dawniéj dowództwem, bo wystrzegającego się— lubo w rozdzieleniu — częściowego rozgromu przez krycie się między lasy (Linderson pod Fikelmojzą), przez wybieranie drogi nad morzem (marsz Karola Sud. razem z Lindersonem), a wreszcie przez połączenie wszystkich swych sił. Podjęcie oblężenia Rygi, rozpoczętego i przygotowanego przez Mansfelda, popartego flotą, trafiało również Chodkiewicza strategicznie w najsłabszą jego stronę. Ryga bowiem była podstawą hetmana, tędy prowadziła najkrótsza i najłatwiejsza droga do Wilna, do Mitawy; z Rygi mógł się spodziewać zasiłku pieniężnego, amunicyi, żywności, jedném słowem tego co stanowi *nervus rerum*. Tutaj w rękach kupców i bankierów łączyły się wszystkie stosunki finansowe i handlowe nie tylko całych Inflant, lecz i części Litwy i Kurlandyi. Ryga zatém jako forteca najpotężniejsza, miasto najludniejsze i najmożniejsze, rozporządzająca nawet małą flotą — chociaż nie była *de jure* polityczną

stolicą, lecz była nią *de facto*— bo decydowała o losie Inflant; upadek Rygi byłby pociągnął za sobą utratę Inflant, jak to 1621, podczas wyprawy Chocimskiéj, rzeczywiście nastąpiło.

List przez wodza po zwycięztwie pisany, maluje na wstępie ówczesną sytuacyą i jest formalną niemal obroną naprzeciw możliwemu zarzutowi lekkomyślności, iż z tak nierównemi podjął walkę siłami. Hetman widział zbliżającą się szybkiemi krokami chwilę, w któréj unicestwi się jednym zamachem praca krwawa pięcioletnia, trudy i zwycięztwa jego i jego kolegów koronnych i litewskich; wobec téj chwili decydującéj nie wahał się hetman litewski co czynić ma, i powierzył rozwiązanie pytania, kto daléj w Inflantach panować ma—mieczowi, postawił hazardownie wszystko na jednę stawkę i wygrał. Nie liczył swych słabych sił, lecz zebrał wszystkie, ruszył na odsiecz, wysławszy równocześnie gońca do Mitawy, wzywając ks. Kettlera do pomocy, i oznaczył dzień i miejsce do połączenia sił.

Ośm dni przygotowywał się hetman pod Kiesią, oczekiwał na tabor, zostawiony pod Dorpatem, karmił konie, pokrzepił wojsko cieleśnie i duchownie do roztrzygającéj walki, gdzie—jak przewidywał — sił potrzeba będzie, by piersiami jakby taranem rozbić nieprzyjaciela.

W dwóch dniówkach czyli pochodach stanął nad Dźwiną u Kircholmu. Oddalenie Kiesi od Kircholmu wynosi w prostéj linii blisko 70 kilometrów; rzeczywistą drogę, wijącą się między lasami, okrążającą bagna i jeziorka, szukającą brodów przystępnych przez niezliczone rzeki, niezawodnie na 80 klmtr. liczyć należy. Pochody takie i większe jeździe polskiéj nie były nowością; lecz zważyć potrzeba, iż było w wojsku 1000 hajduków, którym nietylko zdążyć lecz drogi i mostki naprawiać, oraz armatki w niejedném miejscu z błota wydobyć przyszło. Zważywszy te okoliczności, przyznać trzeba, iż hajduki na tę nazwę *agiles*, którą im Łasicki daje, zasłużyli swą szybkością i wytrwałością w marszu. Zarówno piechocie jak i jeździe polsko-litewskiéj wiadomo było, iż zwycięztwo zależy od szybkości, czyli—jak się wyraził Napoleon — „iż zwycięztwo zależy od nóg.“

Przed rozpoczęciem bitwy potrafił hetman swą mową zelektryzować wojsko, przedstawiając mu ważność chwili oraz rozpaczliwe położenie Inflant pieczy jego powierzonych, wreszcie rozpaczliwe własne położenie w razie przegranéj, kończąc słowami: „*Unica spes superest in dextris, inque ope Deorum.*“ — Odpowiedź otrzymaną od pewnego towarzysza: „pobitych policzymy“—zręcznie podchwyconą, potrafił jako dobry omen przedstawić, nieprzyjaciela

sztuką podejścia do bitwy wywabić, wojsko ukazaniem ciurów na pagórku oddalonym—jakoby nadciągających posiłków, pokrzepić. Obraniem i wyznaczeniem miejsca połączenia z posiłkami kurlandzkiemi, takowe w oczach nieprzyjacielskich umożebnił i ułatwił, jednóm słowem zrobił wszystko co było w jego mocy, aby zwycięztwo przygotować, ułatwić i sprowadzić. Rąk zatem nie opuszczał, lecz radził sobie na wszystkie strony.

Teraz jeszcze kilka słów do ocenienia i objaśnienia bitwy, któréj plany tu załączono dla wykazania, w jaki sposób potrzeba rozwijała się i do tak świetnego skutku biegła. Szwedzi czyli raczej wojsko najemne szwedzkie, złożone niemal ze wszystkich narodów zachodniéj Europy szczepów germańskich, romańskich, Szwedów i finlandczyków, tworzące rzec można sam wybór ćwiczonego żołnierza z rzemiosła, stało do bitwy sprawione na przestrzeni zajmującéj 1,500 kroków (od lewego rogu do prawego); licząc Szwedów 15,000, przypada zatem 10 ludzi na jeden krok, czyli gęstość szyku była taka, iż na téj przestrzeni 1,500 kroków w 10 szeregach po 1,500 ludzi, jeden za drugim stać mogło, gdyby bez odstępów w jednéj linii stanęli.

Polacy zaś na téj saméj linii mogli by się w 2 tylko szeregach po 1,500 ludzi ustawić a w trzecim szeregu 700 by zostawało; wypadało ich zatem 2.4 ludzi na krok, gdyż liczyli 3,700 wojaków; proporcya sił była 4 : 1.

Nieprzyjaciel stał na zajętéj przez siebie linii jednakowo gęstym porządkiem w dwóch szykach z małą stosunkowo rezerwą, bo tylko $^1/_{14}$ lub $^1/_{15}$ częścią. Drugi szyk za blisko stawiano od pierwszego, aby temuż mógł być pomocnym i rzeczywiście też nigdy pomocnym nie bywał; owszem zwykle, jak i w niniejszym wypadku, pierwszy szyk złamany i zegnany od Litwy pociągał za sobą i drugi szyk w wir ucieczki.

Rezerwę całą zaraz z początku bitwy król szwedzki wprowadził do boju, pozbawił się tém możności kierowania bitwą (bo tylko wysyłaniem świeżych oddziałów wódz bitwą kierować jest wstanie) a zatem i zwycięztwa.

Jakże całkiem inaczéj przedstawia się nam zachowanie Litewskiego hetmana! Nie stanął u brzegu staréj Dźwiny czyli suchego ramienia, lecz niemal o 800 kroków odeń oddalony, gdyż ta przestrzeń była mu niezbędną do wywarcia impetu konnego. Wojsko swoje uszykował w tak zwany huf granitowy, jak go Bielski w *Sprawie rycerskiéj* nazywa, w czworoboku—(dziś takie ustawienie zowie się po niemiecku *Sammel Stellung* lub *Rendezvous Stellung*); roty należące do pułku stały w ściśniętych hufcach—w zwiniętych chorą-

gwiach jedna za drugą (*in Regiments-Kolonnen*), pułki, czyli skrzydła zaś stały blisko obok siebie (dziś: *Sammelstellung mit Regiments-Kolonnen neben einander*). W téj postawie równała się jazda polsko-litewska jak w kłębek zwiniętéj anakondzie, czyhającéj i zamyślającéj wpaść na swą ofiarę, skoro taż się pod czarującym wpływem jéj widoku ruszy ze swego miejsca, bądź to w myśli ataku bądź ucieczki. Jak z téj pozycycyi wąż syczeniem i poruszaniem głowy straszy, tak téż hetman harcownikiem szarpał wroga i wreszcie podeciem (zmyśleniem ucieczki) do opuszczenia swéj pozycyi doprowadził. W owéj chwili, dawno oczekiwanéj, z kłębka rozwinął się wąż—i runął całą siłą na wroga, opasał go dokoła,—i pod swym uściskiem, mimo wszelkiego szamotania, zgniótł na miazgę.

W chwili napadu, widzimy na planie, jak chorągwie od czoła się rozwijają stopniowo, a posiłkowe roty jeszcze w ściśniętych hufach następują, by w czasie i miejscu upatrzoném,—gdzie potrzeba się ukaże, tak samo się rozwinąć i uderzyć na boki nieprzyjaciela. Z walnego hufu ruszyła piechota już w pochód, by być pod ręką gdzie wypada, Lacki z husaryą zaś stoi jak mur (*propter omnes casus*). Przyszedł wreszcie i na niego czas (chwila roztrzygnięcia). Jak gracz wytrawny własne tuzy oszczędza i chowa, przeciwnika zaś do wydania swoich zręczną grą przyprowadza, a swe wtedy w grę rzuca, gdy przeciwnik niebacznie się wyszastał; tak téż i hetman, gdy chwilę upatrzył, kiedy Karol nie miał już świeżych kornetów, skinął na Lackiego, pchnął go do ostatecznego roztrzygnięcia i został przeto—panem pola! Wracając jeszcze raz do dyspozycyi, do podziału na kolumny czyli pułki, zobaczymy, iż nie były one bynajmniéj równe. Pułk Wojny, korpus, czyli środek był najsłabszy, bo 300 husarzy i 300 Kurlandczyków (razem 600); prawe skrzydło Sapiehy liczyło 650 husarzy; najsilniejszy był pułk Dąbrowy, składał się bowiem z 600 husarzy i 600 lżejszéj jazdy petyhorców i kozaków (razem 1,200). Temu skrzydłu wyznaczył zatem hetman główną rolę prześcignięcia, oskrzydlenia i zagarnienia wroga. I z wielką racyą kładł hetman nacisk na swe lewe skrzydło, tak iż ono nawet liczebnie rajtaryą Mansfelda przewyższało, bo lewe skrzydło, od Dźwiny było bezpieczne, a miało suchy i twardy grunt przed sobą, na przeciwném zaś to jest prawem skrzydle tak wielka masa jazdy polskiéj, potrzebująca pola, tam go niemiała i mogła od strzelców, zasadzonych w lesie, ogniem być rażoną; wreście było tam koryto stare mokrawe, i jest takie po dziś dzień, rowkami przecinane, a zatem nie bardzo odpowiednie (bo siłę natarcia—główną broń jazdy polskiéj—osłabiające).

Ostatni pułk, odwód czyli walny huf, składający się z całéj piechoty 1,000 hajduków i 200 husarzy Lackiego (razem 1,200), stanowił $^1/_3$ część całéj szczupłéj garstki litewsko-polskiéj. Hajducy pomagali kozakom Dąbrowy w szturmie na kościół a po części husarzom Wojny w walce z piechotą. Lacki zaś roztrzygnął walkę na prawém skrzydle i zakończył bitwę, poczém nastąpiła rzeź. Chodkiewicz zachowywał się tak, jak gdyby był czytał dzisiejszą obowiązującą taktykę, dla oficerów pruskich wielkiego sztabu generalnego pisaną (1).

Widzimy, iż nie dopiero dziś, „*Heutzutage*," lecz już przed 280 laty ekonomia sił i podział siły na części, z wytkniętymi im rolami były decydujące i Polakom tak samo wiadome jak dzisiejszym dowódzcom. Po mistrzowsku, rzec należy, zrozumieli i wykonali także rotmistrze pojedynczych rot dypozycyą hetmana i swych pułkowników, gdyż ci nie mogą wszystkich możliwych sytuacyi przewidzieć, a tém mniéj rozkazów, potrzebnych w takich razach, wydawać, lecz pozostawiają wykonanie i czas i sposób pojedyńczym rotmistrzom, spuszczając się zupełnie na ich takt. Zobaczmy co obcy nam pisarz, Rumun tegoczesny, p. Petriceĭcu Hajdeu pisze i o Dąbrowie i Lackim, którzy za młodu przed 32 laty Iwoni, sławnemu hospodarowi wołoskiemu a lennikowi polskiemu, przeciw Turkom służyli. „Bez wątpienia byli Świrczewski (hetman nad watahą 1,000 kozaków), Dąbrowa i Lacki dla Iwoni tém, czem Ney, Murat lub Lannes dla Napoleona, i również jest to rzeczą pewną, że bez owych bohaterów o zwycięstwie marzyć, takiem samém było niepodobieństwem, jak odkryć Amerykę bez igły magnesowéj. Główna ich zasługa polegała na tém i w tém pokazuje się ich duchowa przewaga, iż swych podwładnych tak wyuczyli i do tego stopnia doprowadzili, że ich żołnierze w chwilach krytycznych bynajmniéj się nie wahali, gdy inni przytomność umysłu tracili" (2).

Chociaż *Carolomachia* a za nią Piasecki i Lokceniusz trwanie bitwy na 4 godziny lub do wieczora podają, nie trzeba tego brać do-

---

(1) Die Lehre von der Truppenverwendung als Vorschule für die Kunst der Truppenführung von W. von Scherff, k. preuss. Oberstlieutenant und Abtheilungs-Chef im grossen Generalstab, Lehrer an der Kriegs-Akademie. Berlin 1876, str. 276—77: "*Heutzutage* ist die *Oekonomie* der Kräfte gewissermassen der *Inbegriff* der Kampfkunst.. Diese wird erreicht durch die Treffengliederung... Die Kampftreffen haben alle ein und dasselbe: „Flügel und Reserven." Im Gefochte aber verschiedene Kampfziele... und erhalten verschiedene Unteraufgaben. Das geschieht durch die Theilung der Kampfarbeit welche an verschiedene Unterabtheilungen der einen kampfenden Gesammtkraft verschiedene Spezialaufgaben oder Rollen vertheilt."

(2) „Omeni mari ai Romanici Jonu-Voda cellu Cumplitu 1572—1574." Bukureszt 1865. Wydanie rumuńskiego ministeryum wojny (str. 115).

słownie. Bitwa w terminologii wojskowéj dzisiejszéj oznacza akcyę, na którą wodzowie,—jeszcze mając świeże siły do rozporządzenia—wpływ swój wywierać potrafią, poczem następuje rzeź, bój a nakoniec pogoń; wszystkie trzy chwile razem wziąwszy, w zwykłéj potocznéj mowie bitwą nazwane—mogły 4 godziny a nawet dłużéj bo do wieczora trwać. Właściwa bitwa zaczęła się koło 1-éj z południa i najdaléj w przeciągu 15—20 minut z natury walki konnéj skończyć się musiała, poczem rzeź i pogoń do wieczora się przeciągnęły, póki dnia i nieprzyjaciela stało. Większa zaiste, niż w taktyce, była różnica między pogonią zachodnio-europejską a polską.

Polacy również jak wszystkie konne narody: Węgrzy, Chorwaty, Moskwa, Tatarzy, Turcy i Persowie, pojmowali pogoń tak, jakeśmy to właśnie pod Kircholmem widzieli,—niszczenie wroga do ostatka. Europejska sztuka wojowania nie znała pogoni w tém pełném tego słowa znaczeniu; goniono i tam wprawdzie, lecz tylko drobną garstką i to tylko na polu walki, na $^1/_4$ najdaléj na $^1/_2$ mili; wysłana pogoń padała zwykle na łupie i na tém rzecz się kończyła. Gustaw Adolf wypuścił pobitego Tillego pod Breitenfeldem, Waldszteina pod Lützen. Waldsztein gonił wprawdzie pobitego pod Dessau Mansfelda aż do Węgier, szarpał go po drodze, zbierał maruderów, towarzyszył mu niby cień, lecz go nie zniszczył tak, jak to czynili Polacy. Przyczyny téj słabéj pogoni zachodnio-europejskiéj były różne: przedewszystkiém, rasa i lichy gatunek koni ciężkich i ciężar rysztunków, niewprawność rajtarów w szybkiéj jeździe, wreszcie niepewność skutku, gdyż nieraz pogoń ich doznała bądź to przez świeże kornety, bądź to przez do rozpaczy doprowadzonego i skupionego wroga, ciężkiéj porażki i nieraz wygrana stawała się przegraną; nakoniec mógł się jeszcze utrzymać ów zwyczaj średniowieczny europejski, kiedy to zwycięzca trzy dni na znak tryumfu leżał obozem na pobojowisku. Chociaż król Sobieski pod Wiedniem uchodzących Turków gnał do nocy aż ku Ebersdorf a jego uczniowie margrabia Ludwik Badeński i wielki Eugeniusz Sabaudzki pokazali, że swego wielkiego mistrza pojęli i poszli w jego ślady, po zejściu jednak tych wojowników zapomniano o pogoni (np. w wojnach szląskich), musiano zatém raz pobitego nieprzyjaciela drugi a czasem i po trzeci raz bić na nowo. Jedyny Laudon, dzielny naśladowca Eugeniusza, pokazał pod Kunersdorfem, zdumiałéj Europie podobną do kircholmskiéj pogoń i dowiódł, iż pojął Eugeniusza, ucznia Sobieskiego którego ojciec wojował z Chodkiewiczami i Żółkiewskiemi; w nowszych czasach Napoleon, Szwarzenberg i Blücher, kozacy Kutuzowa wsławili się pogonią i uświetnili swe zwycięztwa.

Kalka do przesuwania na planie do bitwy pod Kirholmem dla oznaczenia zmiennych chwil w toku sprawy.

Przy przesuwaniu kalki miejscowości Kurtenhof i Kirholm mają się nakrywać.



Karta do przesuwania na planie do której pod Kirholmem dla oznaczenia zmiennych chwil w toku sprawy.

Przy przesuwaniu karty miejscowości Kurtenhof i Kirholm mają się nakrywać.



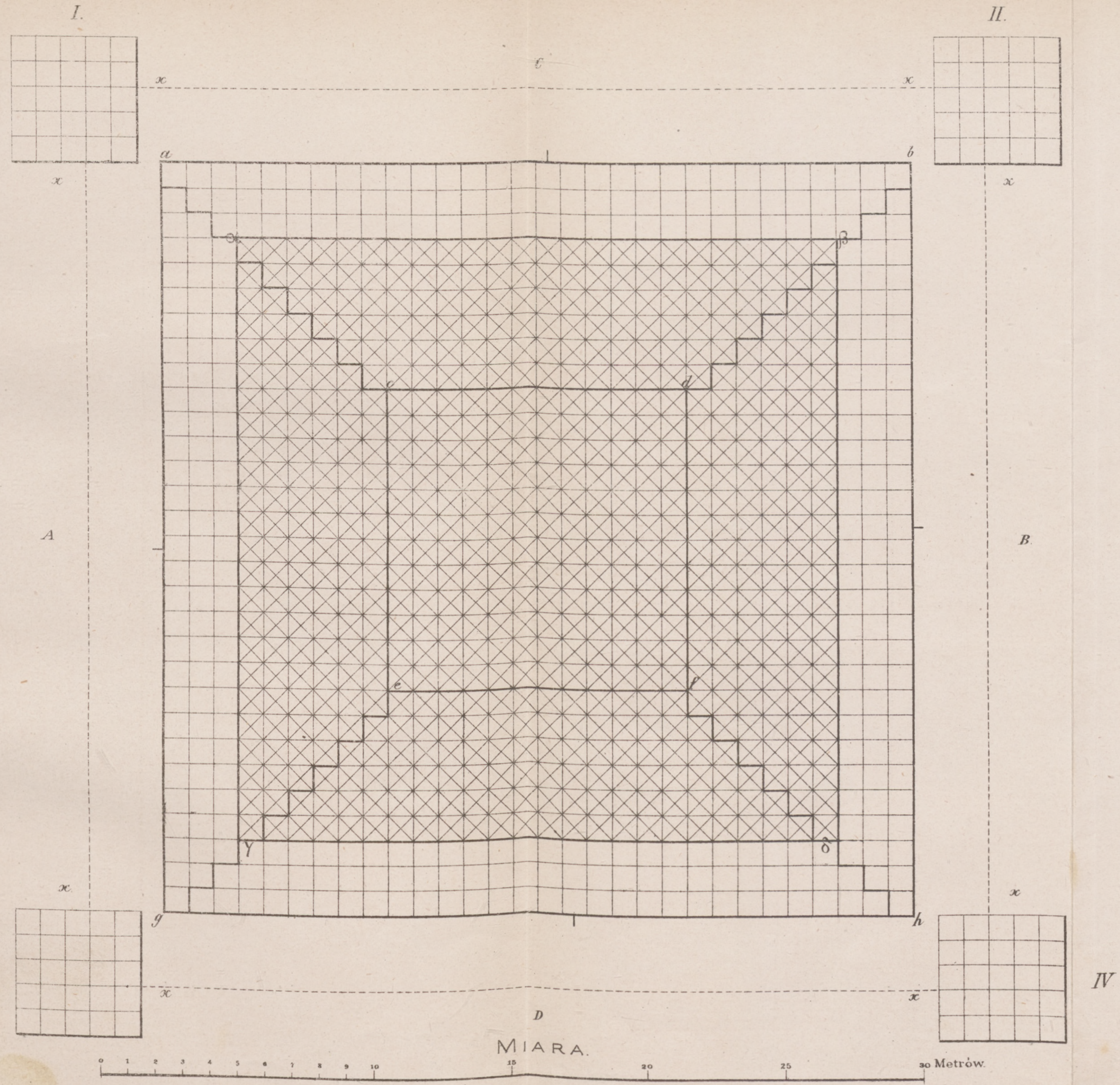
PLAN do BITWY pod KIRHOLMEM *dnia 27 Września 1605.*



Mapa objaśniająca pochody wojsk podczas wyprawy Inflanckiej 1605 r.



Odbito w Litogr. A. Pruszyńskiego w Krakowie.



Pułk szwedzki z 1000 ludzi, uszykowany w kwadrat, według europejskiéj maniery ówczesnéj— właściwie według sposobu ustanowionego przez cesarza Karola V podczas wojny tureckiéj na Węgrzech, w tak zwaném „Ungarische Ordonanz".

Obacz: *Rustow*, „Geschichte der Infanterie". Nordhausen. 1864.

Kuhn. „Elementarkurs der Kriegskunst und Kriegsgeschichte." Ung.-Altenburg. 1860.

Thyr, „Taktik." 1880.

Thuanus dosadnie i zgodnie z tym rysunkiem opisuje owe szyki:

> „Procedens XI machinis sequebatur phalanx contis ferro rigentibus horrida circumfusis undique scolpetariis".

OBJAŚNIENIE.

□ strzelec czyli muszkieter.

☒ drab czyli pikinier (pika była 4°=7'5m. długą); miejsce, które żołnierz zajmował stojąc, rachowano na 3'=90 cm. w kwadracie.

(Kréska nad kwadracikiem oznacza stronę, w którą żołnierz ma czoło obrócone).

1. 576 pikinierów (drabów).
   324 muszkieterów (strzelców).
   900 ludzi w czworoboku, w kwadracie po 30 w szeregach.
   100 strzelców w 4 kwadracikach po 25 ludzi, na rogach.
   1000 ludzi razem.
2. Pikinierzy pierwszych sześciu szeregów zewnętrznych w kwadracie α, β, γ, δ, mają piki schylone (nasrożone) do odparcia napadu nieprzyjacielskiéj konnicy,
3. W wewnętrznym zaś kwadracie *c*, *d*, *e*, *f*, trzymają pikinierzy swe piki prostopadle obok siebie przy nodze.
4. Linie kropkowane *x x* oznaczają jak daleko końce pik schylonych pierwszego szeregu sterczały po nad głowy muszkieterów.
5. Muszkieterzy w kwadracikach I, II, III i IV po wystrzeleniu w chwili natarcia konnicy mieli się schronić pod piki i utworzyć świeży szereg przed pierwszym szeregiem muszkieterów, (???) do czego jednak czasu potrzeba było.
6. Kwadrat miał cztery czoła na strony A, B, C, D, i był zatem na wszystkie boki zabezpieczony.

Charakterystyka polskiego sposobu wojowania da się temi słowy streścić: przedewszystkiem wstępna walka (*Offensive*)— chuć do rozprawienia się ręczną czyli białą bronią, wywarta z największą szybkością, dziką furyą i impetem; ekonomia sił a mimo to zużytkowanie każdéj kopii, rohatyny, dzidy, również każdéj strzelby lub topora, gdy chwila rozstrzygająca nadejdzie. Zagarnienie i ogarnienie nieprzyjaciela, przez co zużytkowano uchodzącego wroga jako tarana do łamania jego własnych świeżych hufców i obracano wszystkie jego szyki w bezładną masę, nawzajem się tratującą i wszelką obronę unicestwiającą; nareszcie zniszczenie wroga ostateczne przez to, iż Polacy nie znali obowiązującéj długi czas w Europie zasady *budowania złotego mostu uchodzącemu wrogowi*. Zaniechanie owéj ostatniéj zasady doprowadziło w naszych czasach Prusaków pod Sedanem, Rosyan pod Plewną i Szypką do świetnych wyników, t. j. do zniszczenia czyli zajęcia całych armii w niewolę.

To co teraz przygotowawczo robią ogromne bateryе armat, czyniąc formalne wyłomy gradem pocisków, to dawniéj zastępowali Polacy piersiami swymi i końskimi, nimi jako taranami wyłomy czyniąc, a krzywa szabla, ciągle koło ucha świszcząca wiecznym młynkiem, zastępowała obecne szybko palne rusznice i repetyery— o tyle pewniéj i skuteczniéj, że nigdy celu nie chybiała i, rzec można, że prędzéj bo w krótszym czasie całą rzecz załatwiała.

Bitwy pod Vučidol i Medun 1876 (1) dowiodły nam, że i dziś sposób wojowania odpowiadający całkiém polskiéj sprawie Lubieszowskiéj i Kircholmskiéj i t. d., to jest odwieczny sposób wojowania junaków czarnogórskich — furya, impet i używanie hanczarów, górą bywa nad ogniem karabinów tureckich systemu Henry Martini, gdyż tam każdy niemal junak po kilka głów tureckich pozdejmował, a mała tylko garstka Turków z 3—4 razy większéj armii swe szyje ocalić potrafiła.

W obecnych nawet czasach potyczki pod Isandulą, Majuba Hill, a ostatecznie wzięcie Tel el Kebiru 13 Września 1882 r. przez Anglików i górali szkockich białą bronią — na sposób hajduków węgierskich i polsko-litewskich — dowiodły, że biała broń dziś tak samo królować może nad bronią palną choćby najlepszych systemów, jak ongi pod Lubieszowem, Kircholmem lub Chocimem nad ówczesnemi muszkietami lontowemi.

Nie znajdziemy podobnych rezultatów z tak nieproporcyonalną garstką, jak pod Kircholmem, w historyi wojen europejskich od kilku wieków; żaden nawet w sztuce wojennéj jak najwyżéj nad

---

(1) Obacz: Gopcević, *Der türk. montenegr. Krieg*. Wien, 1877.

innych ceniony i sławiony bohater w czystém polu wstępnéj walki naprzeciw cztery kroć silniejszego wroga nie podjął się, ani Gustaw Adolf, ani Fryderyk II, ani Napoleon, ani Moltke: wszyscy oni mieli absolutną lub względną przewagę sił po swéj stronie.

Polacy zwykle po bitwie wrogów zabitych liczyli. „*Audaces fortuna juvat*“—to była ich reguła, która im wraz z furyą i impetem zwykle dopisywała (1). Mimo to, Zamojskich, Radziwiłłów, Chodkiewiczów, Żółkiewskich i t. d. nie zna dotąd europejska literatura wojskowa!!

Kapitan *Ferdynand Kudelka.*

---

(1) Dobrze mówi pruski jenerał baron v. d. Golz: „Es gilt in jeder Schlacht die alte Regel, dass zunächst sich jede Partei vor der anderen fürchtet. Wer diese Empfindung am ehesten überwindet und sich moralisch zum Herrn der Lage macht, wird auch der Sieger sein; denn über allen Gewalten stehen diejenigen, welche das Gemüth bewegen, es mit Besorgniss oder mit Stolz und Zuversicht erfüllen.“

KOLEBKA RODU LUDZKIEGO.

PRÓBA SYNTEZY PALEOETNICZNÉJ (1).

Le Préhistorique, antiquité de l'homme, przez Gabryela de Mortillet. Paryż 1883.— Musée préhistorique, przez Gabryela i Adryana de Mortillet, fotodruki Micheleta. Paryż 1881. — L'Amerique préhistorique, przez margrabiego de Nadaillac z 216 rysunkami w tekście, Paryż 1883.

Po raz pierwszy znalazł się autor, który wziął się do streszczenia w jednym tomie małego formatu wiadomości o człowieku przedhistorycznym. Wiadomości te, oraz poglądy i zagadnienia, które z nich wynikają, wyłożył językiem zwięzłym i jasnym, z zupełnie dobrą wiarą, nieukrywając swoich osobistych poglądów, lecz nie posługując się nimi do ustalania tego, co budując, podlega jeszcze sporowi,—odrzucając fałsze i demaskując błędy, nawet wtedy, gdy popierają własne jego pojęcia. Jestto bez zaprzeczenia próba wielce zaszczytna, a gdy przytem stanowi ona uwieńczenie życia poświęconego badaniom, należy się jéj tylko poklask, bez kładzenia szczególnego nacisku na cząstkowe dysonanse. I dla czegóżby zresztą badania nad człowiekiem przedhistorycznym miały budzić namiętności zaciekłe? Dla czego miałyby zamącać spokój dusz lękliwych? Dla prawdziwych uczonych nie tylko nie mają one na celu nic innego, oprócz skonstatowania objektywnéj rzeczywistości i z tego powodu już są godne powszechnego szacunku, ale nadto przypadł im ten los szczęśliwy, że połączyły pod wspólnym sztandarem, umysły

(1) Wielka dla wiedzy ludzkiéj doniosłość pytań, poruszonych przez stawianą tu hipotezę, i znane w nauce nazwisko margrabiego Saporty skłoniły redakcyę, iż czyniąc wyjątek od stale zachowywanéj zasady, podaje prosty przekład rozprawy uczonego francuza.

bardzo pomiędzy sobą się różniące, i niekierujące się ani jednakowemi pobudkami ani jednakowemi dążnościami, ożywione jedynie tylko wspólném pragnieniem rozszerzenia zakresu wiedzy. I rzeczywiście, zarówno wolnomyśliciele jak i kapłani, ludzie światowi i uczeni, zbieracze, pionierowie, filozofowie, praktycy, jedni z nich spirytualiści i chrześcianie, drudzy pozytywiści, jedni będący stanowczymi zwolennikami doktryny ewolucyjnéj, drudzy skłonni do prowadzenia z nią walki—jedném słowem ludzie wszelkich przekonań i dążności pracowali nad epoką przeddziejową, tj. nad zbieraniem wszelkich wskazówek, wszelkich spostrzeżeń, wszelkich przedmiotów, które się odnoszą do bytu człowieka w epoce poprzedzającéj historyą, w czasie kiedy ród ludzki nie posiadał jeszcze ani sztuk ani sposobów działania, z których wyszła cywilizacya, albo też posiadał je w stanie zarodkowym i nie miał możności przekazania swych dzieł pamięci potomstwa.

Z konieczności epoka przedhistoryczna poprzedza wszelką chronologią, opartą na rachubie wypadków interesujących człowieka; lecz czy po za chronologią pozytywną istnieją środki pozwalające sięgnąć po za tradycyę historyczną i wykazać, przynajmniéj względnie, czas trwania wypadków wtedy, gdy człowiek, już żyjący i świadomy siebie jako jednostka, nie posiadał jeszcze świadomości społecznéj i nie był zdolny do mierzenia czasu, tak jak nieznał granic przestrzeni? Jestto jedna z kwestyi, nad którą musiał się zastanowić p. Mortillet, a chociaż poruszył ją dopiero na końcu swego dzieła, my jednak zajmiemy się nią na początku naszego studyum, ażeby wraz z trudnościami właściwemi przedmiotowi, przedstawić podstawy, na których się on opiera.

I.

Jeżeli na podstawie tekstów, napisów na pomnikach, wreszcie podań, których prawdziwości niepodobna podejrzywać, sięgniemy w przeszłość najdalszą, to zostaniemy wprowadzeni przez historyę starożytnego Egiptu do epoki poprzedzającéj o pięć tysięcy lat narodzenie Chrystusa. Jestto prawdopodobna data panowania Menesa, założyciela pierwszéj dynastyi; lecz przed Menesem, jak powiada jeden z nowych historyków streszczając prace dawniejsze (1), „istniała w dolinie nowego Nilu organizacya egipska, cywilizacya specyalna. Na brzegach rzeki porozsiadały się obszerne grody, znakomite budowle.“

---

(1) Histoire universelle: Les Egyptes p. M. Marius Fontane, chp. V. p. 75.

Menes pochodził z Thinis albo Theni, miasta Ozirisa, położonego cokolwiek daléj na północy od Teb a niedaleko Abydos. Zbudował Memfis, które obrał za stolicę; lecz ażeby sięgnąć, aż do niego, wziąwszy za punkt wyjścia pierwsze próby zasiedlenia doliny Nilu, nie przesadzimy z pewnością, jeśli dodamy do powyższéj liczby lat równą jéj cyfrę i przyjmiemy przeszłość dziesięciu tysięcy lat, podaną przez Platona, jako przeciąg czasu wyrażający liczbę lat istnienia narodu egipskiego przed epoką, w której żył ów filozof Ateński. Wypadłoby więc ztąd, iż przeciąg dwunastu tysięcy lat oddziela okres obecny od czasu, do którego rozsądnie można odnieść początek cywilizacyi egipskiéj,—cywilizacyi jednéj z najstarszych, jeśli nie najdawniejszéj ze wszystkich, które się rozwinęły od czasu ukazania się człowieka.

Poza tą właśnie dopiero granicą rozpoczyna się czas przedhistoryczny, a wypada nam się zagłębić teraz w przeszłość jeszcze odległejszą. Bez danych piśmiennych, nawet bez dat przypuszczalnych, czyż podobna oznaczyć czas jej trwania? Nie ma tu już pomników mogących dać bezpośrednie wyjaśnienie kwestyi, nie ma już wspomnień tradycyjnych; co się zaś tyczy wskazówek, to możemy ich szukać jedynie w samych tylko śladach przejścia człowieka, oraz w ocenieniu stosunku tych śladów do dzieł natury. Téj ostatniéj możemy się zawsze radzić, gdyż działalność jéj nigdy nie ustaje. Bez odpoczynku osadza ona warstwy piasku, mułu, kamieni, żwiru, jednakowe lub poprzekładane, w porządku niezmiennym, który zostawszy raz ustanowionym, nie może już uledz przeróbce. To właśnie nazywamy chronologią stosunkową, którą musimy zadowolnić się w braku czasomiaru na lata czy wieki, który nam tu zupełnie nie dopisuje. Nauka zdobyła już teraz fakt, że człowiek istniał w ciągu całego okresu czwartorzędowego; oznaczenie czasu trwania tego okresu byłoby wykazaniem starożytności rodu ludzkiego; lecz czyż ten przeciąg czasu, bezwątpienia bardzo długi, można, przynajmniéj w przybliżeniu, wyrazić liczbą lat i czy istnieje na to sposób, któremu można zaufać? Takie to właśnie pytanie stawia p. Mortillet, formułując wyniki swojéj książki.

Wiele prób poczyniono w tym względzie i p. Mortillet rozbiera wartość i doniosłość każdéj z nich. Ma słuszność, odrzucając teoryę peryodyczności okresów lodowych uważanych za wynik poprzedzania punktów równonocnych i zmian mimośrodu orbity ziemskiéj, albowiem żadna peryodyczność nie zaznacza w geologii powrotu zmian, którym uległy klimat i stosunkowa konfiguracya lądów w ciągu dawnych peryodów. Są to przeciwnie zjawiska następujące po sobie, zawisłe od przyczyny ciągle działającéj od wieków najodleglejszych,

która nigdy nie przestała wywierać swego wpływu w kierunku oznaczonym, a mianowicie ciągle obniżać temperaturę według skali stopniowanéj, w odwrotnym porządku szerokości,—gdyż biegun o ile sądzić można nigdy się nie przenosił.

Zakres rozkrzewiania się pewnych drzew, które wzrosły na ruinach w Ameryce, delty ujść, które się stopniowo naprzód posuwają, uwarstwowanie osadów napływowych—umożliwiły częściowe obliczenia, bezwątpienia niedostateczne, ale które bądź co bądź pozwoliły obliczyć serye lat, dochodzące do pięciu lub sześciu tysiącoleci dla samego wieku kamienia gładzonego (Robenhauseńskiego) a trzynastu tysięcy lat dla warstwy iłu Nilowego, leżącéj niżéj od posągu Ramsesa, u podstawy którego znaleziono odłamek cegły. Wreszcie stalagmity jaskini Kent w Anglii, które pokrywają jednocześnie przedmioty z czasów rzymskich i narzędzia z łupanego krzemienia wieku magdaleńskiego, pozwoliły p. Vivian'owi, obliczyć na zasadzie stosunkowéj grubości obu warstw, iż starożytność tego ostatniego sięga po za okres trzystu tysięcy lat. Co prawda, trzeba być przekonanym, że podczas całego tego przeciągu czasu wody, które osadziły stalagmity, nie były ani obfitszemi ani bogatszemi w wapno jak za naszych czasów, co jednak bynajmniéj nie zostało dowiedzioném.

Inne obliczenia mają większą doniosłość i są to rachuby ogólne, które nie roszcząc sobie prawa do ścisłych danych, mogą dać jednak pewne wyobrażenie o długości okresu czwartorzędowego. Trzeba wziąć pod uwagę oscylacye gruntu europejskiego. Dania, część północna Niemiec i Rosyi, były pogrążone w wodzie w okresie czwartorzędowym. Skandynawia po pogrążeniu się, znowu się powoli wynurzyła. Oscylacya, któréj uległa Anglia, miała jak mówią, aż do 400 metrów wysokości: łączność tego kraju z Francyą istniała z pewnością podczas całego okresu słonia „południowego, starożytnego i pierwotnego.“ Ruchy te nie miały w sobie nic nagłego, a jeśli je porównamy z ruchami, którym obecnie ulega wznosząca się Skandynawia, i jeśli przypiszemy prędkość największą z obserwowanych, a mianowicie 1 metr, 50 w ciągu wieku, najsłabszéj jaka się tylko da pojąć oscylacyi, to jeszcze wypadnie nam więcéj niż siedemdziesiąt tysięcy lat. A z innego punktu widzenia, ileż to czasu wymagało pojawienie się, rozproszenie i wreszcie zupełna zagłada trzech ras słonia i nosorożca, które po sobie następowały i zastępowały się wzajemnie na lądzie! Wreszcie inne jeszcze, wspanialsze i bardziéj zdumiewające zjawisko, ruch lodników alpejskich, przenoszących głazy narzutowe na odległość 110—280 kilometrów, wymagało czasu niezmiernie wielkiego. Wiadomo, że ma-

ksymalna prędkość tych głazów nie przechodzi średnio 60 metrów na rok, na stokach stromych, a lodniki czwartorzędowe, które zajęły pochyłości łagodniejsze, nie mogły mieć podobnéj prędkości. Prędkość ich według Mortilleta musiała być pięć razy mniejszą, i każdy głaz narzutowy dla przebycia drogi od Montblanc aż do doliny średniego Rodanu potrzebował więcéj niż dwadzieścia tysięcy lat. Jeżeli dodamy do tego, że liczba głazów w ten sposób stopniowo znoszonych aż do moreny końcowéj jest niezmiernie wielką; jeśli nadto po peryodzie posuwania się uwzględnimy okres cofania się tych samych lodników, który powinien być prawie tak wielkim jak pierwszy, to wtedy podana przez Mortilleta liczba stu tysięcy lat, mająca wyrażać czas trwania peryodu lodowego, nie wyda nam się przesadzoną. Lecz epokę posuwania się a następnie cofania lodników poprzedził peryod „szeleński" czyli „przedlodowy,"—wszystkie więc te obliczenia przybliżone, razem wzięte, skłoniły p. Mortilleta do przyjęcia liczby więcéj dwóch set tysięcy lat, na wyrażenie czasu trwania okresu czwartorzędowego, podczas którego, jak fakta dostatecznie dowodzą, istniał człowiek na gruncie Europy.

Starożytność więc człowieka jest ogromną, — przynajmniéj w obec naszego sposobu oceny i pojmowania czasu; albowiem te dwieście tysięcy lat, przedstawiające tak nadzwyczajną cyfrę na pierwszy rzut oka, są tylko drobnostką w porównaniu z miryadami wieków, na które trzebaby się było powoływać, wyliczając szereg peryodów geologicznych, poprzedzających ten, w którym napotykamy ślady człowieka, szereg niezmiernéj liczby kolejno po sobie następujących wieków, który kończy okres czwartorzędowy, najnowszy i bezwątpienia najkrótszy z tych peryodów. Lecz jeżeli człowiek ukazał się w Europie w czasie, który nam się tak odległym wydaje, to zkądże przyszedł i jakim sposobem zdołał się rozejść nietylko po naszym lądzie lecz i po powierzchni całéj kuli ziemskiéj? Czy rasy ludzkie stanowią jednostki odrębne, czy też raczéj można przyjąć dla nich jeden początkowy punkt wyjścia, jedną „okolicę macierzystą", z któréj kiedyś wyszła ludzkość cała, aby zająć rozmaite części swéj dziedziny? Czy nauka—naturalnie nie mówię tu o rozwiązaniach religijnych—posiada przynajmniéj jakieś prawdopodobieństwa pod tym względem i czy może je oprzeć na jakichś wskazówkach?

Poligenia, czyli jak dawniéj nazywano, wielość początku ras ludzkich, miała za naszych czasów mnóstwo zwolenników. Najznakomitszym z nich był Agassiz, który ulegając prawdopodobnie uprzedzeniom swéj ojczyzny przybranéj, uważał główne rasy ludzkie za tyleż produktów geograficznych pewnéj liczby oznaczonych

okolic, które służyły za ognisko częściowego stworzenia i posiadały rośliny oraz zwierzęta naznaczone cechami niezmiennemi od samego początku. To dogmatyczne i z pewnych względów mistyczne pojmowanie natury żyjącej, wynoszące gatunek do wysokości jakiegoś pratypu pierwotnego (archétype), poczętego za sprawą istoty boskiéj, za pomocą pewnego rodzaju objawienia, nie zgadzało się zupełnie z faktami; sprzeciwiało się ono jednocześnie pojęciom religijnym, przez podział rodu ludzkiego, a także dążnościom filozoficznym, które głoszą braterstwo i solidarność plemion. Rozcinało ono w sposób niezbyt szczęśliwy zagadkę, która wiecznie trwać będzie, jeżeli czy to zmniejszać będziemy nad miarę, czy też przesadzać tendencyjnie różnice oddzielające rozmaite plemiona ludzkie, ignorując jednocześnie przejścia i odcienie pośrednie.

We Francyi Quatrafages, najprzód w *Revue de deux Mondes* a potém w słusznie cenioném dziele „o Rodzaju ludzkim" wymownie przemawiał za doktryną monogenistyczną. Będąc stanowczym przeciwnikiem transformizmu, usiłował on obalić większą część dowodów, na zasadzie których Darwin i jego uczniowie utrzymywali, że człowiek nie stanowi wyjątku od prawa powszechnego, i że musi pochodzić od jakiéjś formy uprzedniéj, która się stopniowo zmieniała. Jakkolwiek konsekwencye wyprowadzane z pojęć darwinistycznych, uważanych słusznie czy nie słusznie za zabarwione materyalizmem, były ciągle dotąd z zaciekłością zwalczane przez spirytualistów, jednakże pod względem głównéj kwestyi, jedności człowieka, nie miały w sobie nic nie zgodnego z danemi Quatrefages'a, przemawiającego w imieniu tych, którzy wierzą w objektywne istnienie gatunku, jako téż z tradycyami biblijnemi, które wywodzą człowieka od jednéj pary pierwotnéj. Do uzasadnienia poligenii trzeba przyjąć, za przykładem Agassiza, że aktem wznowienia życia, poprzednio zniszczonego, pewna liczba dziedzin macierzystych wydała szczególne i sobie tylko właściwe gatunki roślin i zwierząt, albo téż utrzymywać, jak to wynika z dzieła Karola Vogta (1), że jednocześnie, na wielu punktach, rozmaite małpy dały początek formom antropoidalnym, z których ostatecznie rozwinęły się główne rasy ludzkie. Lecz jedna i druga hipoteza ma bardzo małą liczbę zwolenników stanowczych. Rasy ludzkie posiadają tyle wzajemnego powinowactwa, albowiem są niezaprzeczenie płodne pomiędzy sobą, że trzeba się skłonić ku takiéj naukowéj formule natury, która jednoczy obydwa kierunki, umożliwiając zgodę rozmaitości z jednością. Z drugiéj jednak strony, jak pojąć tę jedność punktu wyjścia

(1) Prelekcye o człowieku itd. Lekcya 16.

początkowego, kończącą się tak głębokiemi wyróżnieniami fizycznemi, umysłowemi i moralnemi, jakie się oczom naszym przedstawiają? Człowiek, jako taki, abstrahując od niego jego zarysy, wielkość, kolor, tj. to wszystko co zarówno u niego jak i u zwierząt jest dodatkowém i przypadkowém, abstrahując również zdolności zależne od ćwiczenia władz umysłowych, jedném słowem to wszystko co dotyczy ducha,—ród ludzki, tak pojęty, posunął się aż do krańców świata mieszkalnego, i to nie posunął się w czasach najnowszych, ani przy pomocy środków, które mu późniéj doświadczenie i zmysł wynalazczy dały do rozporządzenia, lecz wtedy, kiedy jeszcze był młodym i nieświadomym. A jednakże wtedy to właśnie, będąc słabym i prawie nagim, posiadając zaledwie ogień i grubą broń do obrony i zdobywania łupu, człowiek podbił świat rozciągający się od koła biegunowego północnego aż do Ziemi Ognistéj, od ziemi Samojedów do wyspy Van Diemen i od przylądka Północnego do przylądka Dobréj Nadziei. Ów to „exodus" pierwotny—o ile pewny o tyle niepojęty, zarówno przyznawany przez naukę jak i przez dogmat—trzeba wytłómaczyć a przynajmniéj uprawdopodobnić i to w wieku, w którym dopiero po najcudowniejszych odkryciach, przy pomocy najpotężniejszych machin żeglarskich, umożliwiających najśmielsze i najbardziéj awanturnicze przedsięwzięcia, człowiek cywilizowany pochlebiać sobie może, iż zaszedł tak daleko jak człowiek-dziecię, w epoce któréj odległość usuwa się z pod wszelkiego rachunku.

II.

Zastanówmy się nad tą kwestyą, która będzie służyć za podstawę niniejszemu studyum i na którą tém większy winniśmy zrobić nacisk, że wystawia ona na światło przeszkodę niepokonalną dotąd dla tych, którzy usiłowali znaleść węzeł wspólny ras oddzielnych i oznaczyć drogę, po któréj szły po rozproszeniu plemiona, rozdzielone teraz morzami, przestworami lodowemi lub nieprzebytemi pustyniami; ostatecznie bowiem, jeżeli istnieje jedność ras ludzkich, a ku temu przekonaniu się skłaniamy—trzeba koniecznie wyznaczyć im jeden punkt wyjścia, zkąd się następnie rozeszły po powierzchni kuli ziemskiéj.

Ludzkość, w pochodzie swoim w ciągu wieków, i od chwili kiedy opuściła pierwszą swą kolebkę, ulegała z pewnością dwóm pobudkom, a z téj podwójnéj pobudki wynikły jednocześnie wszystkie różnice, które ją dzielą, oraz stosunkowa wyższość, cechująca niektóre zbiorowiska (collectivité). Te cechy wyższości, jeśli są sku-

pione na jednym punkcie i w jednéj rasie do wysokiego stopnia siły i natężenia przyjmują nazwę „cywilizacyi“ i wiodą człowieka do stanu dobrobytu materyalnego, wyboru (selekcyi) moralnego, potęgi wynalazczéj i artystycznéj, który to stan wprawdzie może mieć pewne niedogodności, okazuje jednak, do czego organizacya ludzka jest zdolną. Tylko przyszłość powie, czy ten pochód, raz rozpoczęty, ma jakie granice, czy téż pomimo zwrotów sztucznych i dróg bardzo różnych jest przeznaczeniem człowieka kroczyć torem postępu i odkryć bez końca.

Uważmy że człowiek-dziecię nie przestał się rozprzestrzeniać; przeniknął wszędzie gdzie tylko napotkał przejście; w miarę zaś znajdywania przed sobą przestrzeni otwartej usadawiał się, a w miarę tego jak jedna z jego gałęzi zapuszczała korzenie na jednem ze stanowisk, których liczba wzrastała wraz z tym pochodem, na każdym punkcie zatrzymania się człowiek ulegał wpływowi tej lokalizacyi i wskutek tego właśnie nabywał cech szczególnych, które dały początek rasie. Właśnie wskutek tego podwójnego ruchu rozpościerania się i lokalizacyi, ludzkość stała się w końcu taką jaką ją widzimy; o tem wątpić niepodobna. Skutkiem to długiego szeregu umiejscowień następujących po sobie lub jednoczesnych, nietylko że ustaliły się rasy, lecz nadto z płodnego związku między otoczeniem i rasą już ustaloną, z kultury postępowej, której tajemnicę zachowały wiek zapadłe, wynikły w końcu ogniska cywilizacyjne nierówne co do wartości, zależnie od przypadku mniej lub więcej światła roztaczające. Łatwo byłoby oznaczyć na mapie rozmieszczenie tych, co kiedykolwiek roztoczyły światło dość jasne, aby rzuciło odblask na inne ludy pozostałe w tyle, lecz baczne na wskazówki swoich przodowników. Liczba tych ognisk cywilizacyi w rzeczywistości bardzo szczupła, a rozmieszczenie ich jest właśnie bardzo znaczącem.

Dla zrozumienia tego co następuje i dla oceny wniosków z premis, które założyliśmy, należy zwrócić uwagę na rozłożenie mas lądowych. Jest ich trzy, albo lepiej mówiąc, znamy trzy główne ugrupowania obszaru wynurzonego. Podstawowy szkielet tych mass sięga daty bardzo odległéj, a ich zestawienie przybiera konfiguracyę, uderzającą każdego kto uważnie się zastanowi nad mapą świata. Widzimy, że lądy posuwają się i rozszerzają ku północy, w ten sposób, że albo stykają się w tym kierunku albo téż pozostawiają tylko wązkie przejścia w blizkości koła biegunowego północnego,—i w ten jeszcze sposób, że otaczają wewnątrz tego koła centralne morze podbiegunowe, stanowiące bassen okrążony przerywanym pasem lądów lub archipelagów, których badanie nie jest jeszcze skończoném, ale których istnienie i rozkład nie ulegają wątpliwości.

Posuwając się ku południowi, zobaczymy, że te masy, zbliżone lub nawet złączone z sobą w okolicy borealnéj: Ameryka Północna, Europa i Azya północna. mają trzy uzupełnienia w Ameryce Południowéj, Afryce i Australii, a te uzupełnienia zwężając się znowu stopniowo, kończą ostro w łonie morza bez granic, w znacznéj jeszcze odległości od koła biegunowego południowego. Zauważmy, iż wewnątrz tego ostatniego rozkład ziem jest wprost przeciwny rozkładowi cechującemu biegun północny, bo zamiast morza środkowego, otoczonego pasem lądowym, znajdujemy właśnie w miejscu, gdzie się oś ziemska kończy, stały odcinek kuli oblany niezmierzonym oceanem.

Jeśli się przyjrzymy tym masom, łatwo nam będzie stwierdzić, że cywilizacya powstała, zarówno w Ameryce, Afryce jak i Azyi w podobnych do siebie pod względem geograficznym warunkach, zawsze w blizkości małego morza wewnętrznego, w blizkości a raczéj na północ zwrotnika Raka, pomiędzy 35° a 20° szerokości północnéj. Najbardziéj na wschód wysunięte z tych ognisk cywilizacyjnych przypada na kraniec Azyi, w Chinach, naprzeciw morza Japońskiego. Dzięki odosobnieniu zdołało ono przechować swą oryginalność rodzimą aż do naszych czasów. Najbardziéj na zachód wysunięte, ale przytem, o ile można sądzić, najnowsze ognisko było położone wzdłuż wewnętrznych wybrzeży zatoki Meksykańskiéj w okolicy środkującéj pomiędzy Meksykiem i Ameryką centralną, nazwanéj „Anahuac.“ Było ono w trakcie promieniowania i przekształcania w chwili przybycia europejczyków do Ameryki. Bezwzględnie na to co możnaby o niém powiedziéć—a wrócimy jeszcze do tego przedmiotu—było ono niezależném i ściśle rodzimém, ale jako zbyt słabe i stosunkowo młode, nie oparło się niespodzianemu naciskowi cywilizacyi wyższéj i rasy silniejszéj.

Ku środkowi przestrzeni, któréj punkta krańcowe naznaczyliśmy, zawsze pod tą samą szerokością, dawniéj niż w Ameryce a może i w Chinach, istniały dwa ogniska cywilizacyjne, z których i my sami,—co prawda, że za pośrednictwem więcéj niż jednego społeczeństwa, wiedziemy niezaprzeczenie swój początek. Z jednéj strony mamy tu Egipt w dolinie Nilu, tuż obok zatoki Arabskiéj, z drugiéj Mezopotamią blisko zatoki Perskiéj, czyli w dolinie Eufratu biegnącego na spotkanie z Tygrem i po połączeniu się z nim tworzącego jedno tylko ujście. Tak więc,—powracając do rozkładu lądów przedstawionego powyżéj,—widzimy, że każda masa ma jedno specyalne ognisko cywilizacyjne, oprócz Azyi która ich ma dwa, jedno w Chinach na krańcowym wschodzie, a drugie na zachodzie pomiędzy

morzem Kaspijskiem, Kaukazem i Zatoką Perską. Ale trzeba zauważyć—a spostrzeżenie to jak się nam zdaje nie jest bez doniosłości, że to drugie ognisko jest położone na linii szwu, który łączy ląd azyatycki z europejskim, albowiem ocean Indyjski, zamiast przedłużania się, tak jak dwa pozostałe aż do bardzo wysokich szerokości, zatrzymał się u zatoki Perskiéj w postaci ślepéj odnogi. Być może, iż niegdyś morze rozdzielające sięgało daleko wyżéj, w ten sposób że przez morze Kaspijskie i Aralskie łączyło się z jakiemś morzem śródziemnem azyatyckiem, obecnie znikłem już prawie całkowicie. Bądź co bądź, pewną jest rzeczą to, iż ugrupowanie głównych ras początkujących, to zbliżenie dwóch ognisk światła leżących blisko siebie, przeznaczonych do przenikania się i zlania wzajemnego, stanowi fakt paleoetniczny, najważniejszy ze wszystkich godnych zaznaczenia. Nil i morze syryjskie na zachodzie, Armenia wyższa i morze Kaspijskie na północy, Indukusz i Indus na wschodzie, a morze Arabskie na południu opisują dziedzinę, w któréj Kuszyci, Semici i Aryjczycy, pierwsi—rolnicy, przemysłowcy, budowcy miast, drudzy —pasterze, a ostatni—górale, potem emigranci i najeźdźcy, ścierali się z sobą, potrącali, mieszali i to panując, to służąc, wynajdywali sztuki i użytek metali, uczyli się zbroić, organizować hierarchicznie, dościgali ideału przez religię i osięgnęli w piśmie, najprzód hieroglificzném a potem ideograficzném, najpotężniejsze z narzędzi, któremi inteligencya ludzka posługiwać się może. Odtąd się rozpoczyna historya, a wskutek niéj łańcuch nierozerwany łączy już nadal pokolenia społecznie uorganizowane, mieszkające w miastach i ulegające prawom—które następowały po sobie aż do naszych czasów.

Zaznaczając te początki historyi, aby natychmiast przejść do naszego przedmiotu, nie zapominajmy tego cośmy wyżéj wykazali, że właśnie przez lokalizacyą i przez uprzednie przystosowanie się rasy do otoczenia, przyjaznego i podniecającego do rozwoju zdolności, których płodne ziarna spoczywały w niéj, plemiona ludzkie doszły do osiągnięcia swéj wyższości. Lecz ten ruch, a raczéj tę pracę lokalizacyjną, poprzedzić musiał ruch rozprężny, pochód rozprowadzający ludzkość po powierzchni ziemi dla zajęcia wszystkich jej miejscowości. Ta wędrówka pierwotna, raczéj nieobjaśniona dotąd aniżeli niedająca się objaśnić, o tyle więcéj wymaga naszego zastanowienia, że uczeni usiłując obejść tę kwestyę, zamiast jéj bezpośredniego badania, natrafili na zapory, które z pozoru zdawały się niemożliwemi do przebycia.

III.

Dwie tedy z trzech mas kontynentalnych zlewają się z sobą w jedną całość wewnątrz pasa północnego. Wskutek tego spojenia odpowiadającego kierunkowi Uralu, Europa jest tylko przynależytością Azyi, a pierwotne rozproszenie się człowieka po tych dwóch lądach, tém mniéj zarzutom podlegało, że tradycye religijne umieszczały w Azyi, kolebkę rodu ludzkiego, z któréj rozszedł się po powierzchni ziemi, bezpośrednio po potopie. Przeciwnie trudności się mnożą, gdy zamiast starego kontynentu weźmiemy pod uwagę Amerykę, gdzie od jednego końca do drugiego człowiek jest reprezentowany przez rasy, których jedność uderzała najlepszych obserwatorów. Nietylko że człowiek amerykański rozpoczął na gruncie Nowego Świata cywilizacyą oryginalną, względnie wysoką, ale nadto pozostawił jeszcze, głównie ku północy, niezaprzeczalne ślady swéj obecności w wiekach bardzo odległych. P. Mortillet nazywa „szelleńską“ epokę, w któréj człowiek europejski grubo łupał krzemienie, w któréj żyły olbrzymie zwierzęta gruboskórne dziś już zaginione, epokę, którą poprzedziło największe rozpostarcie lodników. Takież same instrumenta znajdują się i w Ameryce, w dolinie Delawary w Trenton (New Jersey), a daléj w Meksyku w pobliżu Guanajuato, i tak wyraźne mają cechy, że trudno się na nich nie poznać. Znajdowanie się ich u podstawy napływów czwartorzędnych oraz jednoczesne ich istnienie ze słoniami i mastodontami, stanowią wskazówkę bytności tam rasy współczesnéj rasie ze żwirów Sommy, mającéj takiż sam przemysł i bezwątpienia też same obyczaje, oraz rysy fizyczne. Ale zkądże przyszła ta pierwotna rasa amerykańska, siostrzyca téj, która zamieszkiwała Europę w tymże samym czasie, jeżeli nie przypuścimy, że istniała bezpośrednia komunikacya obu lądów? Lecz trudność przypuszczenia, aby podobni ludzie przebyli całą szerokość Atlantyku oraz stwierdzony sądowaniem fakt starożytności tego oceanu, niepozwalają całkiem przypuszczać ani materyalnego połączenia dwóch lądów, ani odkrycia jednego z nich za pomocą żeglugi, odkrycia, któregoby dokonał niby jakiś Kolumb nieznany, żyjący więcéj niż na sto tysięcy lat przed swym następcą.

Stajemy więc wobec ciągle odradzającego się i ciągle omijanego zagadnienia: początku człowieka amerykańskiego. Rzecz jasna, iż nie rozwiążemy go przypuszczeniem kolonizacyi przypadkowéj, wynikłéj wskutek błąkania się z wyspy na wyspę niektórych ludów azyatyckich, albo też wskutek rozbicia się statku zagnanego

burzą daleko; przeciwnie trzeba tu przypuścić ludność pierwotną, rozlewającą się podobnie jak w Europie nakształt fal następujących po sobie i stwierdzających nieprzerwaną obecność człowieka, którego rozwój i rozprzestrzenienie się stopniowe szły w Ameryce taką samą drogą jak i na lądzie starym. Tę kwęstyę palącą rozbiera wszechstronnie Nadaillac — ale zapisuje on na czele swéj książki wyrazy, które również powtarza na końcu, wyrazy stwierdzające trudność znalezienia rozwiązania: „The New-World is a great mystery—Nowy Świat jest wielką tajemnicą.“

Immigracya Azyatów lub Europejczyków, szczególniéj pierwszych, którаby się odbyła drogą wytkniętą przez wyspy Alleuckie i półwysep Alaszkę, ma za sobą pewne prawdopodobieństwo. Hipoteza ta powinnaby nawet wziąść górę, gdyby nie redukowała jéj do znaczenia faktu drugorzędnego pewność istnienia od czasu czwartorzędnego tubylczéj ludności amerykańskiéj. To samo odnosi się i do sprzecznych, co prawda, a więc i podejrzanych stosunków, które usiłowano wykazać pomiędzy pomnikami, posągami i znakami piśmiennemi Ameryki środkowéj oraz starożytnego Egiptu czy Azyi buddyjskiéj. Powiadają, że jedna z płaskorzeźb w Palenqué przedstawia typowy obraz Buddy; są téż takie, które wyraźnemi rysami wykazują wpływy buddyjskie. Z drugiéj strony kalendarz tebański i meksykański są zupełnie jednakowe. Ceramika, rzeźba, nadawanie pomnikom formy piramidalnéj, używanie hieroglifów, niektóre charakterystyczne szczegóły w postawie lub w układzie włosów na posągach przypominają Egipt lub Fenicyę. Lecz któż nie zauważy, że te poglądy, być może zresztą trafne, nie mają żadnéj poważnéj podstawy, i że tak samo rzecz się ma ze zbliżeniami wyprowadzonemi na zasadzie lingwistyki porównawczéj ludów lądu starego i nowego? Podobieństwa te tłómaczą się jednorodnością umysłu ludzkiego, zmiennego a zarazem posiadającego wspólną podstawę pojęć, instynktów i działania. Podobieństwa te stwierdzają co najwyżéj jedność ludzi, lecz z tego że człowiek amerykański wynajdując metody, tworząc sztuki, mierząc czas, spotkał się z formułami równoważnemi lub nawet tożsamemi z temi, któremi posługiwał się człowiek w Azyi lub Europie, nie wynika bynajmniéj, aby miał od niego zapożyczyć. Jeżeliby kilka par ludzi odosobnionych przedostało się do Ameryki, to zginęłyby one prawie bez żadnego wpływu na sztukę lub rasę kraju, do którego przybyły. Lecz gdyby całe plemiona, ze swemi sztukami, narzeczami, tradycyami i przemysłem wstąpiły na ziemię nowego lądu, gdyby ludy już ucywilizowane wniosły tam stosunki, których rezultatem byłby handel, albo założyły kolonie, to w takim razie nie

mielibyśmy już tam niepewnych wskazówek, lecz spotykalibyśmy całe pomniki i napisy nie dopuszczające wątpliwości. Z pewnością mniejszą trudność przedstawiałoby owym osadnikom lub ich potomkom pisanie po fenicku lub egipsku, prawdziwą chińszczyzną lub sanskrytem, aniżeli pokrywanie murów nie dającemi się odcyfrować zagadkami, które musiały powstawać i kombinować się przez całe wieki, zanim przyszło na myśl artystom amerykańskim rysować je na kamieniach budynków. Rasy przybyłe, których ślady chcą widzieć niektórzy, wznosząc podobne pomniki, użyłyby do ich ozdobienia metod i stylów swoich krajów rodzimych. Zdrowy rozsądek mówi, że wtajemniczając pierwotnych amerykan w praktykę budowniczą, nie pomyślałyby o wynajdywaniu nowéj we wszystkich szczegółach sztuki, mającéj z ich sztuką rodzimą tylko daleką i słabą analogię. Wreszcie wszystkie te przypuszczenia upadają wobec dwóch faktów pierwszorzędnego znaczenia: pierwszy dotyczy głębokiéj starożytności człowieka na ziemi amerykańskiéj, gdzie podobnie jak w Europie był on współczesnym wielkim zwierzętom peryodu czwartorzędowego, drugim jest względna jednorodność rasy miedzianéj, tak podobnéj do swego typu na całym obszarze olbrzymiego lądu, jeżeli tylko wyłączymy gałąź biegunową, reprezentowaną przez Eskimosów. Agassiz, Morton, F. Müller i wielu innych uwydatnili ten węzeł wspólny wszystkich plemion amerykańskich, należących do rasy czerwonéj czyli miedzianéj, jedynéj pomimo niezliczonych odmian. P. Simonin jednak doskonale streścił wrażenia wywoływane przez tę jedność, w słowach: „człowiek amerykański jest wytworem amerykańskiéj ziemi.“

Trudność którą napotykamy pochodzi ztąd, że monogeniści, mając na widoku jedną tylko kolebkę i jedyny punkt wyjścia całego rodu ludzkiego i nie umieszczając w Ameryce ani téj kolebki ani tego punktu wyjścia, zmuszeni są do przypuszczenia kolonizacyi Nowego Świata za pomocą immigracyi azyatyckich lub europejskich, kierujących się zawsze według równoleżników. Ten kierunek przypuszczalny znajduje natychmiast przeszkodę w oceanach oddzielających, tém szerszych, jak już wyżéj zaznaczono, im bardziéj posuwamy się ku południowi. Przeciwnie, przeszkoda znikłaby, gdybyśmy się mogli zgodzić na zaniechanie tych immigracyi równoleżnikowych i mieli na uwadze tylko posuwanie się dokonywane w kierunku południków, od północy ku południowi, od wybrzeży północnych aż do krańców południowych trzech mas lądu, których istnienie już poznaliśmy. I rzeczywiście żadna zagroda nie staje i zapewne nigdy nie stawała w przyszłości na drodze pochodowi człowieka idącego od północy ku południowi, a stosunkowa

jednokształtność amerykan, na całym przez nich zamieszkiwanym lądzie, nie budziłaby wcale zdumienia, gdyby nad umysłami uczonych nie panowała konieczność wprowadzenia w pewnéj oznaczonéj chwili amerykan do łona kraju, który jak sobie wyobrażano, nie był zwiedzany przez człowieka dopóty, dopóki nie rozprzestrzenił się on po wnętrzu Azyi.

Przedewszystkiem należy tu zwrócić uwagę—uwagę, popierającą przypuszczenie łatwości, z jaką człowiek przebywał w dawniejszych czasach przestrzenie, dopóki mu ziemi pod nogami nie zabrakło—na to, że ostatnie krańce trzech głównych lądów, w kierunku południowym, są wszędzie zajęte przez rasy, które bezwątpienia przyszły pierwotnie zkądinąd i zajmują na Ziemi Ognistéj, Przylądku Dobréj Nadziei i w Tasmanii najniższe miejsce w szeregu wszystkich ras. Rasy te, najprzód wywędrowawszy, uprzedziły inne; zachowały one widoczne piętno względnéj niższości rodu, od którego się przedwcześnie oddzieliły. Oczywiście wnieść należy, że te trzy gałęzie: Fuegianie, Buszmanie, Tasmańczycy, tak nisko stojące pod względem swych cech fizycznych, umysłowych i moralnych, z pewnością nie posunęłyby się tak daleko, gdyby się nie rozwierała przed niemi przestrzeń niezajęta. Te przednie straże reszty ludzkości posunęły się stopniowo aż do ostatnich krańców ziemi mieszkalnéj. Musiały one zajmować w pewnym czasie przynajmniéj część obszaru pośredniego, lecz jakżeby się mogły oprzeć naciskowi ras silniejszych? Szybko pokonane nie przeżyłyby i nie utrzymałyby się aż do naszych czasów, gdyby się nie skupiły na małéj przestrzeni, w najodleglejszym zakątku dawnéj swéj dziedziny. Nie można się więc dziwić, że pp. Quatrefages i Hamy, opisawszy najdawniejszą rasę europejską, któréj czaszki dotąd się dochowały, t. j. rasę z Canstadt, znaleźli dla niéj bliższą analogią właśnie dopiero pomiędzy owemi mieszkańcami okolic najbardziéj wysuniętych na południe, pomiędzy Buszmanami i Australczykami. I owszem, dziwnym byłby fakt przeciwny: nietylko obecny stan tych ras niczem nie dowodzi, aby one były powstały w okolicach w których je znajdujemy, a tembardziéj, aby zawsze tylko zamieszkiwały tam, lecz przeciwnie trzeba przypuścić, że stanowiły one część pierwszych emigracyi już z tego prostego powodu, że droga musiała być wolną gdy się posuwały jako straż przednia fal ludzkich rozszerzających się od północy ku południowi. Gdyby te rasy niższe znalazły pas umiarkowany w czasie swéj wędrówki zajętym już przez ludzi inteligentniejszych i silniejszych, to uległyby nieuniknionéj zagładzie, nie mając dość siły do przebicia podobnéj tamy, dla dostania się do okolic, które ostatecznie wzięły w swe posiadanie.

Czytelnicy więc widzą, że jesteśmy skłonni do posunięcia przypuszczalnéj kolebki ludzkiéj pierwotnéj aż do okolic podbiegunowych. Ztąd tylko jak z ogniska mogła ona wysyłać promienie, aby rozszerzyć się naraz po kilku lądach i umożliwić—po zróżniczkowaniu się na miejscu u wybrzeży morza biegunowego — kolejne emigracye, prawdziwe roje mogące się rozmnażać, popychać i zastępować z kolei, aż dopóki każdy z nich nie usadowi się w jakiejś danéj okolicy, mniéj lub więcéj wysuniętéj na południe, i nie zatrzyma się w niéj, aby przyjąć tam cechy i zdolności ostateczne. Taką jest teorya, która się najlepiéj zgadza z przypuszczalnym pochodem ras ludzkich. Należy dowieść, że ona jest również zgodną z najpoważniejszemi i jednocześnie najnowszemi faktami geologicznemi, a wreszcie, że po za człowiekiem ma zastosowanie do roślin i zwierząt, które towarzyszyły mu w pierwszych wędrówkach i które pozostały mu, jako najściśléj połączeni z nim towarzysze, w okolicach umiarkowanych, będących późniéj siedliskiem jego potęgi cywilizacyjnéj.

IV.

Ogólne prawa geogenii popierają w sposób godny uwagi hipotezę, któréj główne rysy nakreśliliśmy. Dla przekonania się o tém, dość będzie posłuchać tłómaczów téj nauki, a z pomiędzy nich najmędrszego, najzupełniejszego jako najnowszego, autora najświeższego „Wykładu geologii“ p. A. de Lapparent. W dziele jego znajdujemy metodyczny wykład wszystkich pierwiastków wykazujących prawdopodobieństwo owéj hipotezy. Czegóż do tego potrzeba? Trzeba wykazać dwa punkta zasadnicze, którym poważnie nie zaprzeczy żaden z geologów.

Jednym z nich jest powolne i postępowe obniżanie się temperatury okolic podbiegunowych, niegdyś zamieszkałych przez wielkie rośliny, mających klimat więcéj umiarkowany od teraźniejszego klimatu Europy środkowéj, mieszkalnych i żyznych przynajmniéj aż po 80° szerokości, nawet w środku okresu trzeciorzędowego. Zacząwszy od téj dopiero epoki, oziębianie robiło szybkie postępy i lody, z początku zacieśnione do samych szczytów gór, zaczęły zajmować miejsce, które miało zostać ich wyłączną dziedziną. W ten to sposób okolice arktyczne, nie będąc wcale zamkniętemi dla życia, pozostawiły mu odtąd tylko warunki nędzne i wyjątkowe. To jest pierwszy fakt, który chcieliśmy zaznaczyć. W podobnych okolicznościach człowiek, jak również zwierzęta i rośliny, musiał się wydalić lub uledz zagładzie, wywędrowywać powoli lub znosić

codzień gorsze warunki istnienia. Istnieją jeszcze teraz ludzie północni, przywiązani do pewnych części tych okolic lodowatych, nędzni, błąkający się, ale przywiązani do téj ziemi, któréj nie chcą zupełnie opuścić i na któréj im się przetrwać udało. Są oni tedy posłuszni instynktowi przywiązania do kraju rodzinnego i nabytych przyzwyczajeń, które są w nich silniejsze nadewszystko; ale liczba ich zmniejsza się stopniowo i skończy się na tém, że zginą, jak sami opiewają w swych śpiewach pełnych wyrazu i melancholii.

Drugi punkt, który zaznaczyć należy, odnosi się do „względnéj" stałości mas lodowych oraz ich rozkładu naokół bieguna północnego, zajętego przez morze, gdy tymczasem drugi biegun podobny jest do kopuły ziemi twardéj, małéj rozległości, otoczonéj niezmierzonym oceanem. Z tego ugrupowania wynika ważność bieguna północnego ze względu na produkcyę roślin i zwierząt oraz na ich wędrówki, jakotéż brak znaczenia drugiéj półkuli z tego samego punktu widzenia. Ważném jest to, że niema nic dowolnego w tym rozkładzie wód i lądów, że jeżeli nie zawsze, to przynajmniéj bardzo dawno istniały już ziemie wynurzone zajmujące znaczną część półkuli północnéj, wysunięte daleko ku północy i opisujące około morza arktycznego pas wysep i krajów mniéj lub więcéj przyległych.

Tego uczy geologia. Zmiany, zanurzenia i wynurzenia były zawsze tylko częściowemi i kolejnemi. Szkielet naszych lądów sięga wieków bardzo odległych. Zawsze istniała Europa, Azya, Ameryka, oraz ziemie podbiegunowe północne. Zauważyć tylko można to prawo, przebijające się pomimo wielu zmian wywołanych przez czas, że lądy uformowały się przez agregacyą za pomocą wznoszenia się pasów nadbrzeżnych, otaczających masy krystaliczne i pokłady pierwotne, które się najprzód wynurzyły. Co się tyczy samego otoczenia bieguna północnego, to wiemy o niém niewątpliwie, że istniały tam zawsze, jeżeli nie lądy, to przynajmniéj wielkie ziemie, długi czas zamieszkałe przez takie same jak i nareszcie kuli ziemskiéj rośliny, i że zacząwszy od pewnéj epoki, która przypada na koniec peryodu jurajskiego, klimat, tak ciepły tutaj jak gdzieindziéj, zaczął się powoli oziębiać. Oziębianie to z początku następowało bardzo powoli; podczas okresu trzeciorzędowego dalekiém jeszcze było od dojścia do granic dzisiejszych, albowiem wiele drzew rosnących owego czasu w Grenlandyi: sekwoje, magnolie, platany,— dosięgają teraz całkowitego swego rozwoju tylko w Europie południowéj a niezbyt dobrze znoszą klimat Europy środkowéj.

Mamy więc pewność, że w dawnych wiekach istniał pas czyli strefa okrężna ziemi sąsiednich biegunowi północnemu, która była

pokryta bujną wegetacyą. Ciągłe istnienie morza biegunowego zostało również stwierdzone na podstawie zewsząd zebranych organizmów kopalnych. Wiadomo jak daleko badacze wszystkich narodów a ostatnio nieustraszony Nordenskjöld robili poszukiwania pod lodami najdalszéj północy, dla wydobycia rozmaitych dokumentów, a przedewszystkiem odcisków roślin, które pozwoliły Heerowi zrekonstytuować florę arktyczną rozmaitych wieków, z takim stopniem pewności, jak gdyby tu chodziło o zielnik prawdziwy. Otoczenie bieguna długo było mieszkalném i to dla człowieka w czasie zbliżonym do okresu, w którym ślady jego przemysłu zaczynają się pojawiać w Europie i Ameryce. Dla przejścia tedy z okolic podbiegunowych do przyległych kołom biegunowym, a przez nie do Azyi, Europy i Ameryki, człowiekowi wypadało tylko wstąpić na drogę, którą wędrowała znaczna liczba roślin i zwierząt już to przed nim, już to jednocześnie z nim i pod wpływem tychże samych okoliczności. I rzeczywiście, takiemi emigracyami z okolic bieguna, tłómaczą powszechnie zjawisko podobne do tego, które widzimy, porównywając pomiędzy sobą ludzi starego i nowego świata. Zestawiając fakta obecne z wskazówkami dostarczanemi przez świat kopalny, czy to odnośnie do roślin czy do zwierząt, znajdujemy liczne przykłady takiego rozłączenia, wskutek którego formy pokrewne, często nawet zaledwie różniące się pomiędzy sobą, są rozmieszczone po obszarach oddzielonych od siebie i po bardzo od siebie oddalonych miejscowościach półkuli północnéj, bez żadnéj widocznéj w kierunku równoleżników łączności, któraby podobną wspólność mogła objaśnić.

Niewątpliwe fakta paleontologiczne świadczą, że Europa posiadała niegdyś znaczną ilość typów i form roślinnych, które zostały amerykańskiemi, a które mogła otrzymać tylko z głębokiéj północy. Posiadała ona naprzykład magnolie, tulipanowce, sassafry, klony i topole podobne pod wszystkiemi względami do rosnących teraz w Stanach Zjednoczonych. Podobne zjawisko rozproszenia przedstawiają dwa jawory: zachodni i z Azyi mniejszéj, do których należy jeszcze dodać jawor kopalny, niegdyś europejski. Na lądzie naszym podczas okresu trzeciorzędowego rósł *ginkgo* taki sam, jak północno-chiński; były też sekwoje i cyprys nagi, które odpowiadały roślinom tychże nazw, właściwym Kalifornii i Luizyanie. Zdaje się, iż buk rósł w pasie podbiegunowym północnym, zanim pojawił się i rozpowszechnił po całéj półkuli północnéj. To samo miało bezwątpienia miejsce z jodłą o liściach cisowych, któréj wyraźne ślady z ziemi Grinnel, leżącéj po za 82° szerokości północnéj, opisał Heer, a która istniała tam w epoce daleko wcześniejszéj od okresu pojawienia się tego gatunku w Europie.

Właśnie emigracyom, jeżeli nie z bieguna to przynajmniéj z okolic przyległych kołu biegunowemu, przypisać należy stwierdzoną obecność w obu światach wielu zwierząt właściwych półkuli północnéj. Rzuca się to w oczy, gdy pomyślimy o reniferze, bizonie i jeleniu; musi się to jednak stosować w zupełności i do zwierząt czasów dawniejszych, a choćby nie było w tym względzie innych dowodów bezpośrednich oprócz obfitości szczątków mamuta w północnéj Syberyi, prawo to stosuje się bezwątpienia do słoni i mastodontów. Chcemy tu mówić o gatunkach tych dwóch rodzajów, które się posunęły od północy ku południowi, i zarówno w Ameryce jak i w Europie towarzyszyły człowiekowi pierwotnemu. Połączenie mas lądowych, które stanowi z tamtéj strony koła biegunowego prawie nieprzerwany pas ziemi, daje klucz do wszystkich tych zjawisk. Przyczyna, od któréj one zależą, z konieczności pociąga za sobą rozpromienianie, a wskutek tego prowadzi do rozproszenia gatunków i ras, bez względu na królestwo do którego należą.

Cytowany już geolog nietylko stwierdza wyraźnie regularność „powiększania lądów pierwotnych przez kolejne przybywanie warstw osadowych“, a wskutek tego procesu „i nader odległą datę układu, wedle którego masy lądowe zostały zbudowane, a który w grubych konturach musiał się już od początku zarysować“ (1), ale nadto wykłada z wielkim talentem zasady przemawiające za systemem geogenicznym, rozwiniętym przez p. Lowthian Green (2) pod nazwą „systemu tetraedrycznego.“ Według tego systemu stałe trwanie mas lądowych, oraz ich rozkład w oznaczonym porządku około bieguna północego, ma wynikać z prawa zasadniczego, zależącego od saméj budowy i skutków kurczenia się kuli ziemskiéj podczas peryodów geologicznych. Planeta nasza, z początku ciekła, potém na powierzchni skrzepła i ulegająca w miarę twardnięcia ruchowi kurczenia się, przyjęła, przynajmniéj w grubych zarysach formę tetraedryczną (czterościenną), zamaskowaną po części wskutek ruchliwości masy płynnéj oceanów, którą jednak dostrzedz można usunąwszy z myśli tę masę, a biorąc pod uwagę sam tylko szkielet, a przedewszystkiem części jego wynurzone i wyniosłe w stosunku do części zapadłych i zanurzonych, odpowiadających głównym morzom.

Dla uzasadnienia hipotezy tego rodzaju przeistoczenia sferoidy ziemskiéj, Green i inni uczeni opierają się na bardzo subtelnych a stanowczych doświadczeniach, które zupełnie usprawiedliwiają przypuszczenie, że skorupa kuli ziemskiéj, zapadając się, przyjęła

---

(1) Traité de Geologie par A. de Lapparent p. 1245 do 1248. — 1883.
(2) Vestiges of the molten Globe. Londyn 1875.

postać tetraedryczną, mającą przeznaczenie — jak powiada geolog francuski, służący nam za przewodnika — „zapewnienia jéj możliwie najdłuższego zachowania powierzchni.“ Jeśli przyjmiemy te premisy, dość będzie umieścić tetraedr ziemski w ten sposób, że jedna z jego ścian odpowiada biegunowi północnemu, a kąt przeciwległy téj ścianie biegunowi południowemu, aby otrzymać zapadnięcie odpowiadające morzu, zajmującemu pierwszy z biegunów, i wydatność kopułowatą, która się okaże na drugim. Trzy pozostałe kąty tetraedru przypadną tym sposobem na trzy wydatności lądowe półkuli północnéj naokolo wklęsłości arktycznéj, a krawędzie tych kątów przypadną na owe trzy uzupełnienia—trzech mas lądowych, zwężające się ku półkuli południowéj. Przeciwnie, trzy ściany biegnące ku wydatności wynurzającéj się na biegunie południowym, utworzą obszerny ocean południowy, którego przedłużenie w kierunku północnym utworzy trzy morza: Spokojne, Atlantyckie i Indyjskie, kończące się w kierunku przeciwnym lądom, które rozdzielają. Nawet wklęsłość śródziemną, która przecina lądy przez środek, oraz zboczenie ku wschodowi ich końca południowego objaśnia system p. Green, który położył tę zasługę, według p. Lapparent, że „ujął nawet te pozorne anomalie w ramy symetryi tetraedrycznéj.“ Kładąc nacisk na hipotezę, jeszcze nową, któréj jednak różnorodne zastosowania jak również pomysł znakomity zdają się już teraz przepowiadać świetną przyszłość, chcieliśmy okazać, iż człowiek, powstały siłą stworzenia, którego wszystkie zarysy w nim się streszczają, wcale nie będąc wyzwolonym z pod praw powszechnych, do których wykazania nauka dąży, uległ im także w tém, czego domyślać się można o jego początku i że związany nierozerwalnie z roślinami i zwierzętami, które umiał obrócić na swój pożytek, zastosować do usług albo zwalczyć, a wreszcie zatracić, podzielał jednakże ich losy, co dostrzegamy szukając śladu jego pierwszych kroków, podczas wyjścia z kraju macierzystego, odległego i jeszcze nieoznaczonego, który widział jego narodziny i który wpływał na jego rozwój początkowy.

Zanim rozstaniemy się z kwestyą dotyczącą domniemanego początku człowieka, nie podobna nie powiedzieć choć kilku słów o powinowactwie człowieka z małpami, które tak często starano się wykazać. Człowiek pierwotny, według wielu uczonych ze szkoły transformistycznéj, nie jest niczem innéin jak antropomorfem udoskonalonym fizycznie ze względu na chód i stanie na dwóch nogach, a intelektualnie— przez rozwinięcie zdolności mózgowych aż do téj wysokości, że rozumowanie, polegające na władzy abstrahowania, przy użyciu mowy artykułowanéj, zajęło u niego miejsce

instynktu. Niezliczone i niezaprzeczalne powinowactwa anatomiczne i fizyologiczne, łączące ciało człowieka z ciałem małp, przedewszystkiem małp z wyższą organizacyą, które nie mają ani przysadek ogonowych ani odcisków na pośladkach, i których nawet twarz i zachowanie się zdradzają coś szczególnie ludzkiego, popierają ten system przynajmniéj z pozoru. Jednakże należy zauważyć, że te podobieństwa są po większéj części wynikiem planu ogólnego, według którego są zbudowane zwierzęta kręgowe, a w szczególności ssące. Człowiek pomimo swéj znacznéj wyższości umysłowéj jest zwierzęciem ssącem, na téj saméj zasadzie co i inne istoty objęte tym działem świata zwierzęcego. Ze stanowiska fizycznego miejsce jego w klasyfikacyi nie ulega żadnéj wątpliwości; lecz początek jego genetyczny, czyli jedném słowem pochodzenie, stanowi zupełnie inną kwestyą, daleko ciemniejszą i trudniejszą do rozwiązania, nawet w razie przyjęcia danych czysto darwinistycznych. Według nich, człowiek ma pochodzić od jakiejś formy niższéj, któréj jest najwyższym wykwitem. Ma on być kresem, na którym się skończyła pewna serya, lecz nikt nie mówi, że serya ta, albo inaczéj mówiąc ten pień, którego uwieńczeniem stał się jakoby człowiek, jest nam znany, ani téż że nie mógł się ukryć przed nami w mroku przeszłości, a tembardziéj nikt nie mówi, że pień ten jest pniem małp. I rzeczywiście małpy mają w gruncie rzeczy właściwości odmienne od czysto ludzkich. Ruchy ich są raczéj analogiczne niż wprost podobne do ludzkich; uległszy innemu przystosowaniu, szły one, jak się zdaje, zupełnie odmienną drogą ewolucyi. Są one zwierzętami stanowczo łażącemi, gdy człowiek jest wyłącznie chodzącym i zapewne zawsze był usposobiony do stania na dwóch nogach. Najwyższe z małp, te które zowiemy antropomorficznemi, chodzą źle i z trudnością. Gdy zejdą z drzew, na których najczęściéj mieszkają, na ziemię, to przyjmują postawę pochyloną, a w biegu zginają paluchy, aby nie dotknąć ziemi podstawą stóp. Mamy tu więc zestawienie wskazówek, które upoważniają do nieprzyjmowania hipotezy małpiego początku człowieka bez zbadania i dowodów stanowczych. Co więcéj, zdawałoby się, że małpy rozwinęły się w kierunku przeciwnym człowiekowi. Będąc wyłącznie zwolennikami gorąca, giną one szybko, gdy je przeniesiemy po za ich granice do naszego pasa umiarkowanego. Główne ich siedlisko, okolica, którą przenoszą nadewszystko, jest zawarta pomiędzy zwrotnikami, których nie przekraczają ani ku północy ani ku południowi, z wyjątkiem tylko niektórych gatunków i wśród pewnych sprzyjających okoliczności. Pas więc zwrotnikowy jest ulubioną strefą małp, a przedewszystkiem posiada warunki wyłącznie odpowiednie dla

antropoidów. Te ostatnie na Jawie, na południu Indyj, w Afryce środkowéj, są przedstawicielami małp najwyższych, najbardziéj zbliżonych do człowieka. Tak więc, gdy człowiek przybyły z północy, i to prawdopodobnie z północy krańcowéj, posuwa się ku południowi tylko wtedy, gdy zniżenie się temperatury sprzyja jego rozprzestrzenianiu, to małpy, dla których wysoki stopień ciepła jest warunkiem życia, rozwijają się w czasie, kiedy Europa posiadała klimat co najmniéj podzwrotnikowy i zaczynają się wydalać z naszego lądu z chwilą, w któréj klimat jego staje się umiarkowanym w ten sposób, że oddalenie się ich przypada właśnie jednocześnie z przybyciem człowieka. Jeduém słowem małpy uciekają ku południowi dla znalezienia większego ciepła, stanowiącego dla nich warunek życia, wtedy kiedy właśnie zmniejszenie się tego ciepła zdaje się otwierać człowiekowi przystęp do okolic, z których jego poprzednicy są już stanowczo wykluczeni.

Konieczność umieszczenia kolebki małp w kraju gorącym— w przeciwieństwie do przeszłości człowieka, rozjaśnia nam szczegół obecnego rozmieszczenia geograficznego téj grupy zwierząt. Chcemy tu mówić o podziale małp starego i nowego lądu na dwie grupy różne, nie posiadające jednakowego układu zębowego, albowiem małpy lądu starego mają tak jak człowiek po trzydzieści dwa zęby, amerykańskie zaś po trzydzieści sześć. Doniosłość téj cechy, bardzo ważnéj w anatomii, zmusza do przypuszczenia, że w bardzo odległym okresie nastąpiło oddzielenie się dwóch grup, z których jedna i druga powstały z przekształcenia się lemurów, gromady łażących, o cechach dwuznacznych, która mieszka obecnie na Madagaskarze, lecz któréj szczątki skamieniałe znaleziono w starszym okresie trzeciorzędowym w rozmaitych miejscowościach Europy a głównie w fosforytach w Lot. Pierwotnym tym lemurom nadał Delfortrie znaczące nazwy: *paleolemur* i *nekrolemur*. Dla wytłómaczenia, na zasadzie doktryny transformistycznéj, pochodzenia wszystkich małp starego i nowego świata z gałęzi lemurów, dość jest przypuścić, że w epoce dostatecznie odległéj, kiedy oziębienie biegunowe mało się jeszcze czuć dawało, lemury rozszerzyły się po całéj półkuli północnéj, gdyż klimat ciepły aż do saméj północy nie stawiał żadnych przeszkód temu rozproszeniu. Lecz to przekształcenie się lemurów w małpy musiało wymagać znacznego czasu, w biegu którego grupa, będąca w trakcie różniczkowania się, musiała się coraz bardziéj usuwać ku południowi w ten sposób, iż w chwili gdy małpy osiągnęły swe cechy specyalne, odróżniające formy starego świata od form nowego, zapędziły się już tak daleko ku południowi, że już nie było możliwém mieszanie się pomię-

dzy niemi; jedném słowem drogi komunikacyi zamknęły się po za niemi.

Oparci na téj podstawie, zapytujemy się teraz dokumentów paleontologicznych. Czegóż się dowiemy, gdy wezwiemy świadectwa p. Gaudry, złożonego w pięknėm dziele o łączności świata zwierzęcego? (1). Lemury, te poprzedniki małp, występują samotnie aż do końca okresu eocenicznego. Dopiero późniéj, za czasu miocenicznego i to nie najniższego, w Sansan (Gers), Saint Gaudens (wyższa Garonna), Monte Bamboli w Toskanii, a daléj w Pikermi w Attyce, napotykamy małpy dające się porównać z małpami strefy równikowéj „lądu starego.“ W epoce téj, która odpowiada prawie epoce Oeningeńskiéj oraz morza molasowego, przedzielającego Europę od wschodu ku zachodowi, od doliny Rodanu do Krymu, przez teraźniejszą dolinę Dunaju; w tym czasie, powiadamy, panował jeszcze w Europie środkowéj klimat podzwrotnikowy, a palmy dosięgały aż do Czech, wzdłuż brzegów północnych owego morza śródziemnego. Właśnie pod wpływem téj przyjaznéj temperatury małpy zajmowały wtedy Europę blizko aż do 45° szerokości; lecz co godna uwagi, nie posunęły się już daléj, w czasie jeszcze blizkim kresowi swego rozwoju, czy to dla tego, że okolica macierzysta, gdzie ukończyły swój rozwój, leżała daléj na południu niż Europa, czy téż dla tego, że otrzymały swe cechy stanowcze na gruncie lądu naszego. Bądź co bądź, obecność ich zależała od ciepła, gdyż zacząwszy od pliocenu, i w miarę pojawienia się słoni i człowieka, małpy znikają i już się potém nigdy nie pojawiają, widocznie wskutek oziębienia klimatu, lubo wtedy lasy kanaryjskie pokrywały jeszcze Francyę środkową.

Mesopithecus Pentelici, którego aż dwadzieścia pięć osobników p. Gaudry znalazł w Pikermi, był dosyć mały; miał on członki makaka głowę Semnopitheca. Chodził na czterech łapach i żywił się pączkami i liśćmi; lecz *Dryopithecus Fontani* z Saint Gaudens, odkryty przez E. Lartet'a, miał postawę i znamiona najwyższych małp antropomorficznych. Jednakże zachodziła u niego znaczna różnica we względnym rozmiarze zębów przedtrzonowych, która niepozwala porównać go z człowiekiem, gdyż cecha ta jest bardzo ważną w anatomii porównawczéj. Gaudry zalicza do wyższych tego antropomorfa kopalnego, który, według jego słów, zbliżał się do człowieka wielu szczegółami, podobnie jak goryl, którego wygląd zapewne posiadał. Wielkość jego kłów, o wiele przechodzących inne zęby, na-

(1) Les Enchainemens du monde animal p. A. Gaudry, membre de l'Institut. Paris, 1878.

dawała bezwątpienia jego twarzy fizyognomię okrutną i zwierzęcą, daleką od téj, która charakteryzuje oblicze ludzkie, téj to jednak małpie Gaudry chciałby przypisać krzemienie rozmyślnie, według księdza Bourgeois, łupane, a znalezione w wapieniach krainy Beauce, w Thenay (Loir-et-Cher) na poziomie geognostycznym St. Gaudens, które to krzemienie późniéj ocenimy. *Pliopithecus* z Sansan (Gers) po którym dochowała się szczęka, był podobny do gibbona. By dzisiaj odszukać istoty, analogiczne dla pliopithecusa i dryopithecusa Europy miocenicznéj, trzeba przejść zwrotnik Raka i dotrzéć niemal aż do 12^0 szerokości północnéj, bądź to w Afryce bądź w Azyi. Odstęp to znaczny: równa się on przeszło 30 stopniom, a więc ponieważ bardzo prawdopodobnie taki sam odstęp istniał niegdyś pomiędzy obszarem zajętym przez antropomorfy europejskie, a pierwotną ojczyzną człowieka, to musiałaby ona przypaść aż pod szerokością teraźniejszéj Grenlandyi, pod 70 lub 75 stopniem szerokości. Jest to bezwątpienia rachunek hipotetyczny, ale wspiera się on na dwóch argumentach trudnych do zwalczenia, gdyż się nawzajem silnie z sobą łączą, mianowicie że rozdział małp na dwie grupy, w epoce gdy ich rodzaje zaczęły się wyróżniać, dokonał się w okolicach zanadto na południe wysuniętych, aby jeszcze istniała możliwość komunikowania się ich pomiędzy sobą, gdy tymczasem kolebka człowieka musiała być położona daleko wyżéj ku północy, gdyż w ten tylko sposób mogły się odbyć jego pierwsze wędrówki jednocześnie przez oba światy.

Inne rozumowanie doprowadzi nas prawie do takiego samego wniosku: obfitość narzędzi grubo ciosanych w dolinach przyległych Sommie i Sekwanie oznacza, że w tym punkcie istniały warunki zewnętrzne widocznie sprzyjające rozprzestrzenianiu się człowieka, którego rasa znajdowała się wtedy w pierwszym okresie mnożenia. Flora téj epoki, studyowana w Moret blisko Fontainebleau, dowodzi klimatu sprzyjającego rozwojowi figowców, wawrzynów, a na zasadzie dobrze znanych właściwości tych roślin można wnieść, że istniały tu warunki podobne do tych, które przedstawia nam obecnie Francya południowa około 42 stopnia szerokości. Lecz obecnie, dla dojścia od 42^0 do okolic sąsiadujących ze zwrotnikiem, gdzie napotykamy takie same zgrupowanie palm, kamforowców itd. należy odbyć drogę przynajmniéj o 12—15 stopni daléj ku południowi i dosięgnąć około 30^0 lub 28^0 szerokości północnéj wysp Kanaryjskich, Egiptu środkowego, Persyi południowéj, południowego krańca Japonii a wreszcie Florydy i otoczenia zatoki Meksykańskiéj. Znajdujemy tu w przybliżeniu prawie takie same warunki klimatologiczne jak w Europie miocenicznéj, warunki zaledwie wystarczające dla antro-

pomorfów. Więc pomiędzy dziedziną tych warunków a widownią owych, które jak się zdaje sprzyjały pierwszym krokom rasy ludzkiéj, istnieje odstęp przynajmniéj 12 a prawdopodobniéj jeszcze 15 stopni szerokości; lecz skoro palmy *sabal* rosły niedaleko Pragi, a kamforowce wysunęły się ku północy aż do Gdańska, człowiek, jeżeli tylko istniał, mógł mieszkać bez trudności poza kołem biegunowém północném albo też w jego okolicach, w równéj odległości od Ameryki północnéj i Europy, które miał wkrótce zaludnić.

Przeciwko temu pojmowaniu początku i pierwszego rozprzestrzenienia się człowieka możnaby jeden tylko zarzut przytoczyć, a mianowicie, że rodzaj ludzki nie jest teraz zaciśniony do granic, których, tak jak małpy, nie mógłby przekroczyć. Jeżeli te ostatnie zostały wyparte przez obniżającą się temperaturę i jeśli coraz bardziéj wzrastający chłód zakreślał im z północy granicę nieprzebytą, to znów człowiek ze swéj strony powinien był zostać wstrzymanym w dalszym pochodzie przez ciepło południa, a jednak nietylko dotarł aż do pasa gorącego ale jeszcze przeszedł równik i zajął kraje południowe aż do krańców przestrzeni mieszkalnéj. To prawda: człowiek okazał się więcéj plastycznym od większości zwierząt; w pewnéj chwili stał się on kosmopolitą. Jest to tylko dla niego jedna cecha, jedno odróżnienie, przybywające do innych. Nie tylko zdołał on stawić czoło chłodowi, nie opuszczając całkowicie lodowatych krajów północy, ale i nie cofnął się przed żarem zwrotników. Wskutek lokalizacyi, wszędzie zyskiwał piętno miejscowości, wszędzie gdzie się tylko osiedlił, stworzył sobie mnóstwo ojczyzn wtórnych, po wyjściu z swojéj ojczyzny początkowéj. Zauważmy, iż dążność do rozpraszania się jest odróżniającą właściwością rasy ludzkiéj; zauważmy, że wyszedłszy bezwątpienia z okolicy umiarkowanéj, zyskała ona przez umiejscowienie się w okolicach również umiarkowanych możność ćwiczenia i doskonalenia przez czas długi swych najszlachetniejszych zdolności. W innych miejscowościach człowiek żył i zdołał się w nich utrzymać, lecz tylko tu, zawsze około tych samych szerokości, czy to w Chinach, w Chaldei, Egipcie, czy na wybrzeżach meksykańskich,—człowiek spełnił swe przeznaczenie cywilizując się; rozwinął on zarodki wyższości, które w sobie nosił, lecz te zarodki, złożone na dnie jego duszy przez niepojętą wolę tego, którego jest obrazem, zostały na stopniu słabym i nieczynnym u mnóstwa ras. U niektórych tylko rozwinęły się do rozmaitego stopnia i nareszcie doszły do rozwoju i wydały kwiaty cudowne.

V.

Z wykładu poprzedniego wynika, że człowiek wychodząc z dziedziny macierzystéj, dotychczas nieoznaczonéj, którą jednak ogół faktów zniewala umieścić na północy, musiał się rozpromieniać więcéj niż w jednym kierunku; że wędrówki jego stale były skierowane od północy ku południowi; i że nareszcie wywołały one powstanie ras, z których najstarsze, te które w swéj wędrówce zapędziły się najdaléj, były téż rasami najniższemi. Wyższemi musiały być te, które przyszedłszy późniéj i umiejscowiwszy się w warunkach klimatycznych szczególnie sprzyjających, wznosiły się stopniowo, aż dopóki nie osięgnęły, przez udoskonalenie władz umysłowych oraz dobrobytu materyalnego, tego stanu skomplikowanego, który oznaczamy nazwą cywilizacyi.

Mortillet zajął się tym pochodem i będąc przekonany, że człowiek w właściwém znaczeniu tego wyrazu, ten którego mamy przed oczami, jedném słowem ludzkość, któréj część integralną stanowimy, nie jest niczem inném tylko wypadkową i że tak powiem ostatnim kresem szeregu kolejnych przekształceń,—odróżnił wielu ludzi: człowieka trzeciorzędowego, człowieka czwartorzędowego i teraźniejszego. Człowiek okresu czwartorzędowego dawniejszego, z Neanderthalu, Denise i Canstadt'u wydaje mu się być tak odmiennym od typu ludzkiego historycznego, że nie tylko oddziela go od tego ostatniego, ale nadto tworzy jeszcze dla okresu wcześniejszego aniżeli czwartorzędowy kategoryą ludzką lub niby-ludzką osobnego rzędu. Są to jego „poprzednicy człowieka“ którym nadaje znaczące miano małpoludów (anthropopithecus) tj. „ludzi małpowatych“, albowiem uważa, że poprzedziły one człowieka na skali istot i stanowią typ pośredni pomiędzy teraźniejszemi antropomorfami a człowiekiem. Chodzi więc tu o jakieś stworzenie o tyle wyższe od goryla i szympansa, aby umiało łupać krzemienie i posługiwać się ogniem, a zanadto znów nizkie aby się mogło wznieść nad poziom tego przemysłu i doścignąć stanowiska człowieka w właściwém znaczeniu. Innemi słowy, wyobraża sobie rasy, któreby były w takim samym stosunku do Buszmanów i Tasmańczyków, jak ci są, lub zdają się być, do nas, i powraca do poligenii inną drogą, uważając ją za kolejną, nie zaś za jednoczesną, i usuwając ją na dno przeszłości zamiast postawienia jéj jako przegrody oddzielającéj rozmaite rasy obecnie istniejące. Jest to pogląd, którego teologia nie odrzucałaby bezwzględnie, skoro rozbierała możliwość istnienia „preadamitów.“ Zdaje się nawet, iż religia nie jest interesowaną w téj kwestyi, albo-

wiem ksiądz Bourgeois, którego odkrycia dały początek antropopitekom p. Mortilleta, a który bynajmniéj nie odrzucał tego pomysłu, uchodził zawsze za księdza zupełnie prawowiernego, używając jednocześnie zasłużonéj opinii bardzo zdolnego obserwatora. Nic więc nie sprzeciwia się bezstronnemu rozbiorowi téj kwestyi. Jednakże przeciwko poglądom p. Mortilleta można postawić dwa zarzuty: jeden na zasadzie faktu, że nikt nigdy nie widział tych antropopiteków, których budowę i instynkty można określić na zasadzie „samego tylko rozumowania“; drugi, teoretyczny, niepozbawiony ani trafności ani doniosłości, że odległość, która ma oddzielać poprzednika człowieka od samego człowieka, obliczona została jedynie na zasadzie przypuszczalnéj odległości pomiędzy człowiekiem czwartorzędowym a dzisiejszym; lecz ta druga odległość, która ma służyć za miarę pierwszéj, jest bardzo niepewną i bardzo trudną do oznaczenia.

Według zdania Mortilleta, zdania bardzo naturalnego u transformisty, rasa „szelleńska“, ta w któréj według niego reasumuje się człowiek czwartorzędowy, modyfikowała się powoli: „Krew jéj, powiada, przelała się do żył rasy nowéj i może nawet za naszych czasów przejawić się wskutek atawizmu.“ Nie chodzi więc tu o jakąś zaporę nieprzebytą, ani o człowieka specyalnie czwartorzędowego, ani téż tembardziéj o człowieka wyłącznie trzeciorzędowego, lecz idzie raczéj o stopniową transformacyę rysów fizycznych oraz instynktów typu ludzkiego w czasie tak odległym, że wskazówki tracą swą pewność i znikają na dnie przeszłości. W istocie rzeczy kwestya sprowadza się do zagadnienia: czy w Europie istniała, obok antropomorfów, których istnienie w średnim miocenie St. Gaudens jest pewném, rasa ludzka choćby najpierwotniejsza i najbardziéj zaczątkowa, jaką tylko wyobrazić sobie możemy, która pozostała nieznaną pod względem fizycznym, ale posiadała instynkt przemysłowy tyle rozwinięty, że umiała łupać krzemienie dla używania ich jako narzędzi. Wszystko więc, co dotyczy człowieka trzeciorzędowego, streszcza się w pytaniu: czy narzędzia zebrane przez ks. Bourgeois w Thénay, oraz odkryte w Portugalii w młodszych lecz niezaprzeczenie trzeciorzędowych pokładach są autentyczne, albo czy nie wzięto prostych odprysków i odłamków naturalnych za rzeczy rozmyślnie obrobione.

Wiadomości odnoszące się do domniemanych śladów obecności i przemysłu człowieka w epoce trzeciorzędowéj zostały wyłożone przez Mortilleta z doskonałą jasnością i jak rzadko dobrą wiarą w czem mu słusznie należy oddać sprawiedliwość; lecz czyż udało mu się zebrać dowody stanowcze na poparcie swego przekonania?

To rzecz zupełnie inna i poza teoryą oderwaną, po usunięciu na stronę kości porytych, narzynanych lub porysowanych, jako będących raczéj dziełem zębów zwierząt aniżeli ręki człowieka, po odrzuceniu grobów i kości poczytywanych za trzeciorzędowe, jako wątpliwych lub późniéj do formacyi pokładu, który je zawiera, wniesionych, pozostają nam tylko jako ostatni pierwiastek tego zagadnienia, same tylko krzemienie zebrane przez księdza Bourgeois i uważane przez niego za umyślnie łupane. Lecz Thénay leży bardzo nisko w geologicznym szeregu pięter, podanym przez p. Mortilleta. Należy do wapienia z Beauce, który znów ze swéj strony należy do piętra akwitańskiego, to znaczy do miocenu dolnego, pod piaskami Orleanais i pod poziomem wcześniejszym od Sansańskiego, którego fauna zawiera antropomorfów wyżéj już wspomnianych.

Istnienie nosorożca w tym czasie jest jeszcze wątpliwem; mastodonty nie ukazują się jeszcze, słonie są bardzo daleko, a przeżuwające zaledwie rozpoczynają swoją ewolucyą, hippariony, te poprzedniki konia, ukażą się dopiero późniéj, workowate prawie znikają, a drapieżne są reprezentowane tylko przez typy niewyraźne. Nie widać ani jednéj formy zwierzęcéj, która ma towarzyszyć człowiekowi w jego zaraniu, żadnéj z tych którą będzie musiał zwalczać, lub które mu przyjdzie opanować. Wśród takiéj to natury zarodkowéj miał istnieć człowiek, znający już użytek ognia. Jest-to co najmniéj mało prawdopodobne *a priori*. Dla przekonania się o tém należałoby się powołać na szeregi dokumentów odmiennych od tych, które nam przedstawiają, a które bądź-co-bądź, choć zostały wybrane z wielu tysięcy okazów, składają się tylko z kilku jąder (nucleus) nieregularnych, okopconych na powierzchni i otoczonych wzdłuż krawędzi pasem małych wyszczerbień, uważanych za umyślnie zrobione. Widocznie ma to jakieś znaczenie, ale tego mało, ze względu na nieprawdopodobieństwa, które gromadzą się jakby dla przestrogi, żeby nie przywiązywać wiary do podobnych wskazówek. Istota tyle inteligentna, że wkłada podobne krzemienie w ogień, który rozpaliła i podtrzymuje, i nadaje im kształt przez obrobienie, z pewnością nie zatrzymałaby się na tym pierwszym stopniu, posunęłaby się raczéj bardzo szybko o kilka stopni naprzód, i zamiast narzędzi szelleńskich w podstawie formacyi czwartorzędowéj i z wieku *elephas antiquus*, znaleźlibyśmy je więcéj niż o jedno piętro wcześniéj, pomiędzy poziomem Sansańskim a późniejszym blisko Eppelsheimskiego, na horyzoncie hip arionów, tam, gdzie bogate składy Pikermijskie i Mont-Leberon pozwoliły Gau-

dry'emu rozpoznać i odtworzyć prawie wszystkie istoty, do jednéj współczesnéj całości należące.

Trzeciorzędowe krzemienie portugalskie nie mogą wpłynąć na utwierdzenie powyższego mniemania. Zostały one zebrane przez p. Ribeiro a późniéj przez p. Belucci. Pochodzą one z formacyi wód słodkich, niewątpliwie trzeciorzędowéj, należącéj do wieku miocenicznego młodszego, co udało się stwierdzić z pewnością p. Gaudry'emu na zasadzie zwierząt i Heer'owi na podstawie roślin. Flora portugalska owego czasu mało się różni od Oeningeńskiéj w Szwajcaryi, odnoszącéj się do tego samego horyzontu geognostycznego. Przedstawia ona zbiór wiązów, topoli, cynamonowców, mydelnic, tamarynd, które świadczą o łagodności i równości ówczesnego klimatu od jednego do drugiego końca Europy. Umieszczony w podobném otoczeniu człowiek mógł z pewnością znaleść najbardziéj sprzyjające swemu rozwojowi warunki. Ale czy istniał, czy był gotów do rozpoczęcia swego pochodu, do „przebicia drogi naprzełaj świata.“ Na to właśnie wypadałoby znaleść dowody, ale na nieszczęście mamy tu do czynienia z pokładami piaskowemi zmieszanemi z kawałkami krzemienia, w części zniszczonemi, uległemi późniejszym rozmywom oraz wpływom atmosferyczynym, które tłómaczą obecność niezliczonych odłamków, rozrzuconych po ziemi, z pomiędzy których wybrano po długich poszukiwaniach te, które uważano za umyślnie łupane. P. Cazalis de Fondouce członek kongresu lizbońskiego z 1880 r. zwiedził warstwy mioceniczne Monte-Redondo; o kompetencyi jego w podobnéj sprawie wątpić niepodobna; zwraca on szczególną uwagę na obnażenia i przewroty, późniejsze od osadzenia się warstw i wyraża zastrzeżenie z powodu bardzo małéj liczby odłamków, które zdają się być podobnemi do odłamków z epoki zwanéj mustierską (du Moustier). Być jednak może, iż są one łupane przez człowieka. Jeden z nich, jak się zdaje, został wydobyty z osadu miocenicznego, niezaburzonego; lecz jeżeli fakt ten jest dopuszczalnym, to czyż nie lepiéj poczekać na dalsze badanie aniżeli rozcinać bez dowodów pośrednich podobnie wielkie zagadnienie? Sam p. Mortillet jest tyle przezornym, że nie stwierdza nic więcéj oprócz autentyczności samych narzędzi. Dodaje on, iż małe ich rozmiary skłaniają go do mniemania, że istoty które je wykonały, jako proporcyonalne do tych rozmiarów, nie były i nie mogły być ludźmi rzeczywistemi. Wątpliwość pozostawiona przez Mortilleta około stworzeń, których interwencyi używa, pozwolimy sobie zastosować do narzędzi, odwołując się do przyszłych odkryć, które zdołają rozwikłać tę zagadkę.

VI.

Trudność ustalenia przekonań w zagadkach kwestyi człowieka trzeciorzędowego, rośnie jeszcze bardziéj wskutek potoków światła, bijących z okresu następnego, który Mortillet nazwał „szelleńskim“ od stacyi Chelles pod Paryżem, uważanéj przez niego: za typową. Człowiek ukazuje się tu posiadającym przemysł widoczny, pierwotny, albowiem obejmuje tylko jedną kategoryą narzędzi, lecz wyraźnie odznaczających się swemi kształtami, sposobem fabrykacyi za pomocą szerokich odłamów, konturami migdałowatemi lub deltoidowemi, a nawet swemi rozmiarami do tego stopnia, iż umysł najbardziéj uprzedzony nie mógłby, już po pierwszym rzucie oka, zaprzeczyć, iż są to wytwory jednéj i téj saméj rasy. P. Mortillet określił ich użytek daleko dokładniéj niż jego poprzednicy. Nazywano je często siekierami, a słynne odkrycia p. Boucher de Perthes przyniosły im miano „siekier z St. Acheul“, miejscowości w któréj znajdują się daleko obficiéj niż gdzieindziéj, u podstawy żwirów czwartorzędowych w dolinie Sommy. Lecz pokłady w Chelles w dolinie Marny są jeszcze charakterystyczniejsze.

Elephas antiquus Falconer'a, prawdopodobnie przodek słonia indyjskiego, poprzednik mamuta w Europie, znajduje się tu sam jeden obok narzędzi ludzkich; w St. Acheul napotykamy częściéj mamuta choć i poprzedniego gatunku tam nie braknie. Tak więc człowiek szelleński widział dwie rasy słonia jak następowały po sobie, a raczéj jak się mieszały. Prawdopodobnie i klimat zmieniał się wtedy cokolwiek i stał się zimniejszym, co jednak nie zakłóciło ani przemysłu ani obyczajów człowieka. Jednakże w długim przeciągu czasu ścieranie się wypadków fizycznych i biologicznych, których widownią była Europa, musiało wpłynąć na człowieka, i rasa szelleńska stawszy się mustierską zmieniła powoli zwyczaje, jednocześnie ze zmianą narzędzi.

Nie było nic nagłego ani ostro odciętego w téj ewolucyi wynikłéj z warunków klimatu, którego surowość zwolna wzrastała, a przeciwko któremu należało się zabezpieczyć. Z początku był on bardzo łagodnym, a więc sprzyjającym mnożeniu się człowieka i wielkich zwierząt, które mu wtedy towarzyszyły. Epoka szelleńska poprzedza okres zwany „lodowym“ t. j. peryod odpowiadający największemu rozpostarciu się lodników i zjawiskom wynikającym z takiego ich rozpostarcia. Wielkie Morze Północne, powstałe wskutek obniżenia się lądu brytańskiego i skandynawskiego, nie istniało jeszcze naówczas. Anglia południowa zlewała się z lądem stałym.

Figowce i wawrzyny rosły w dolinie Marny. Cały zbiór wielkich zwierząt ugrupował się około *Elephas antiquus; Elephas priscus* nie był odmiennym od słonia afrykańskiego, mniéj wprawdzie posunął się on ku północy niż poprzedni, ale napotykamy formy pośrednie pomiędzy niemi. Nosorożec Merck'a jest zwykłym towarzyszem słonia starożytnego. Powiększały ich towarzystwo hippopotamy i kąpały się w wodach wszystkich rzek, których brzegami posuwały się słonie i nosorożcy. Straszne zwierzę drapieżne „machoerodus" bliskiem już wtedy było zatraty, przeciwnie zaś mnożył się wielki niedźwiedź jaskiniowy. Sarny, jelenie i konie żyły w licznych stadach. Temperatura—jak słusznie powiada Mortillet—była łagodną, bez zbytnich żarów. Badanie nad roślinami upoważnia do przypuszczenia wilgotności, zarówno panującéj w Paryżu jak i w Tlemcenie w Algieryi, co widocznie bardzo sprzyjało rozpowszechnieniu się człowieka napotykającego wszędzie prawie jednakowe warunki bytu. Człowiek szelleński mieszkał pod gołem niebem, może pod lekkiemi schroniskami, może w szałasach z gałęzi, ale nie chodził do jaskiń i nie znał, o ile się zdaje, zwyczaju grzebania trupów, które to właściwości tłómaczą jednocześnie: obfitość narzędzi tego wieku w niektórych krajach, w napływach i na powierzchni gruntu, a brak ich w grotach (które służyły za schronienie w wiekach następnych), jakoteż nadzwyczajną rzadkość kości.

Należy przypuścić, że rasa szelleńska znalazła w okolicy odpowiadającéj dzisiejszym dolinom Sekwany, Marny i Sommy szczególnie przyjazne warunki. Ilość narzędzi zebranych na ograniczonych punktach téj okolicy, które rozkopywano, stwierdza to dostatecznie. Krzemień kredowy dostarczał obfitego materyału do fabrykacyi i prawdopodobnie stanowił źródło bogactwa dla tych ludzi. P. Mortillet ocenia na przeszło dwadzieścia tysięcy liczbę okazów wykopanych przez lat dwadzieścia pięć w płaskowzgórzu St. Acheul niedaleko Amiens, a pomimo to pokład dalekim jest jeszcze od wyczerpania. Liczba ta wraz z ilością sztuk zebranych w wielu miejscowościach departamentów Oise, Sekwany i Marny, Yonne, Aube, kotliny Loary, Normandyi i t. d., da nam pojęcie o działalności ludu, który dosięgnął już pewnego stopnia gęstości, i którego spokojnego mnożenia się nie przerwał żaden szkodliwy wypadek w przeciągu licznych wieków. Zresztą znajdujemy rasę szelleńską i po za granicami przez nas wskazanemi, oznaczającemi widownią pierwszych odkryć. Wszędzie są takie same narzędzia, ale materyał ich się zmienia i tam gdzie nie było brył krzemiennych, zostały zużytkowane inne substancye twarde i zbite jak kwarcyt, jaspis, piaskowiec drobnoziarnisty. Widzimy to głównie w kotli-

nie Girondy, gdzie kamienie stoczone ze skał pirenejskich, rozrzucone wzdłuż lewych dopływów, posłużyły za materyał do fabrykacyi narzędzi szelleńskich, zebranych najprzód przez p. Nouleta a potém przez p. d'Adhemar'a. Daléj na zachód i na południe, okolica Dax, Hiszpania środkowa około Madrytu, Portugalia; we Włoszech dolina Po, okolice Perugii, wreszcie Algierya środkowa, Egipt a nawet Przylądek D. N. świadczą, według uzasadnionego zdania p. Mortilleta, o rozpostrzenianiu się rasy szelleńskiéj, zawsze do siebie podobnéj pod względem wytworów swego przemysłu i mogącéj być dla nas obrazem streszczającym cechy tego pierwszego rozsadowienia się po lądach stałych, które według naszego zdania powinno było charakteryzować pochód ludzkości, w samym jéj początku. Pogląd ten stwierdza niewątpliwa obecność, uzasadniona uderzającém podobieństwem,— tych samych narzędzi szelleńskich w Ameryce północnéj. Mówiliśmy już o nich według p. de Nadaillac, p. Mortillet nie mniéj stanowczo się o nich wyraża. Zaznacza je w napływach lodowych doliny Delawary (New Jersey) na 75° długości zachodniéj z jednéj, a z drugiéj strony w kotlinie Bridger (Wyoming) pod tą samą szerokością, pomiędzy 40 a 44 stopniem szer. północnéj, lecz o 4,000 kilometrów od miejsca poprzedniego, pod 110° długości zachodniéj. Ameryka więc była także zaludniona przez rasę szelleńską, przybyłą z północy, w tym samym czasie co w Europie, która rozchodziła się jednocześnie po obu lądach, dotarła do tych samych stopni szerokości i była uzbrojona temi samemi narzędziami.

Narzędzia te są bardzo charakterystyczne, sama ich jednokształtność nie dopuszcza omyłki w tym względzie. Prawie żadnéj nie ma pomiędzy niemi różnicy, podobnie jak pomiędzy wiekami następującemi po sobie. Podział pracy, tę pewną wskazówkę rozwoju przemysłu, widać tu w najniższym stopniu. Siekiera szelleńska, zawsze jedna i taż sama, musiała jednak służyć więcéj niż do jednego użytku. Była to właśnie jéj zaleta w oczach ludzi, którzy ją wykrzesali, często z wielką dokładnością; jest to jednak jawna oznaka niższości rasy, która umiała je krzesać i przez tysiące lat poprzestała na nich wyłącznie, używając ich bezwątpienia do wielu czynności. Lecz przedewszystkiem czy to jest siekiera w prawdziwém tego wyrazu znaczeniu. P. Mortillet dowodzi z powodzeniem, że tak nie jest i, badając to narzędzie szelleńskie, wykazuje jego cechy i oznacza prawdziwą naturę. Nie będąc zastosowaném do osadzenia, przeznaczone tylko do trzymania w ręku, zasługuje ono na nazwę „narzędzia pięściowego" (*coup de poing*); wszystko w niém jest obliczone, rozmiar, forma zarysów, w tym jednym tylko

celu, aby ułatwić ruch ręki, która trzymała i ściskała tę płytkę migdałowatą, w jednym końcu spiczastą, o krawędziach mniéj lub więcéj ostrych, często z półokrągłem wycięciem albo téż trochę wygiętą a często także pozostawioną bez obrobienia na jednym końcu, stępioną nakształt pięty i zastosowaną do uchwycenia i objęcia dłonią. Człowiek szelleński musiał nacierać lub bronić się kijem, maczugą drewnianą, mniéj lub więcéj ciężką i niebezpieczną; lecz obok broni zaczepnéj lub odpornéj, która zupełnie zginęła bez śladu, posiadał jeszcze przyrząd nieodbicie potrzebny, dający się zastosować do wszystkich celów, zastępujący siekierę, nóż, nożyce, dłuto, przyrząd do rąbania, piłowania i krajania stosownie do potrzeby, przyrząd tak prosty jak inteligencya, któréj był wytworem, i dający się zastosować do wszystkich rzemiosł, które nie miały wtedy ani nazwy, ani celu ściśle oznaczonego, i redukowały się do ułatwiania dziecięcemu człowiekowi—czynności przedsiębranych. Gdy porównamy pomiędzy sobą, siekiery szelleńskie, tak mało się od siebie napozór różniące, przedstawione w „muzeum przedhistorycznem," zdołamy jednak odróżnić pewien, słaby jeszcze, objawiający się w nich zarodek różniczkowania. Koniec bywa nieobrobiony albo gładki, czasami zaokrąglony i cylindryczny, jakby zastępując rękojeść; drugi zaś zwęża się i wydłuża w prawdziwy kolec. Zdaje się, że to jest zaczątek rylca albo klina. W innych razach narzędzie zwykle regularnie migdałowate przyjmuje zarys deltoidowy albo téż przeciwnie przedstawia postać grotu dzidy. Są to jednak odmiany drugorzędne, które w ogóle znikają wobec jednokształtności znacznéj masy okazów.

Postępujący, lecz powolnie wprowadzany podział pracy przemysłowéj był, o ile się zdaje, pozostawiony następnemu okresowi—mustierskiemu, który się łączy z poprzedzającym, i przy mniejszéj dokładności w szczegółach, okazuje natomiast więcéj zręczności i szybkości w fabrykacyi, oraz zmysł bardziéj utylitarny w zastosowaniu krzemienia łupanego. Narzędzia, otrzymywane przez odłupywanie i wykończone za pomocą krzesania, przedstawiają już większą rozmaitość, a ich forma jest lepiéj zastosowana do użytków, do których były przeznaczone. Jest-to już więc specyalizacya wyżéj posunięta, dążąca nadto do stopniowego udoskonalenia się. Klimat europejski stał się surowym; lodniki coraz większe przestrzenie zajmują; człowiek „mustierski" jest zniewolony do szukania schronienia w jaskiniach, gdzie ślady jego przemysłu stają się tak częstemi jak te, które pozostawił na powierzchni ziemi. Zresztą—według p. Mortilleta i według prawdopodobieństwa — rasa i epoka mustierska są tylko przedłużeniem szelleńskiéj. Tylko ta zachodzi

różnica, że człowiek, naciśnięty przez klimat, szuka schronienia w pieczarach. Pod panowaniem konieczności, któréj dotąd nie znał, uczuwa potrzeby, o których przedtem nie miał pojęcia. Staje się on z musu bardziéj przemysłowym, uzbraja się do walki o życie, odtąd daleko cięższe. Żywa przyroda zmienia się naokoło niego; wielkie zwierzęta przerzedzają się: mamut stanowczo wyrugował słonia starożytnego; po nosorożcu Merck'a nastąpił nosorożec z nozdrzami przegrodzonemi; koń, „megaceros", czyli jeleń torfowisk z olbrzymiemi rogami, niedźwiedź, rosomak, renifer, jeleń kanadyjski, wół piżmowy, tur, otaczają człowieka i przymuszają do obrony lub zachęcają do łowów. Polowanie staje się dla niego pierwszą koniecznością; ale ściśle biorąc, dla powzięcia wyobrażenia o cechach fizycznych człowieka europejskiego w starszéj części okresu czwartorzędowego, trzeba mieć zawsze na uwadze rasę szelleńską oraz rzadkie jéj szczątki.

Ponieważ najdawniejsze rasy nie miały zwyczaju starania się o stałe groby dla zwłok zmarłych, więc prawdopodobieństwo znalezienia ich szczątków autentycznych i rekonstytucyi ich cech fizycznych na zasadzie kości, jest bardzo słabem. Zwierzęta zwiedzające jaskinie wciągały do nich swe ofiary, a i same często pozostawały w nich jako trupy. Człowiek, który, zacząwszy od okresu mustierskiego, przebywał także w grotach, pozostawił w nich kości zwierząt służących mu na pokarm, szczątki ognisk oraz narzędzi, zmieszane z popiołem; lecz ponieważ nie myślał jeszcze o uczczeniu nieboszczyków, przez składanie ich zwłok w oddzielnem miejscu, mającém je zabezpieczyć, więc też nie chował ich około siebie. Zresztą istnieje wiele zwyczajów pogrzebowych, i teraz nawet plemiona Ameryki północnéj umieszczają trupów na drzewach lub w szałasach zbudowanych na polach. Są to zwyczaje, które mogły i powinny były uprzedzić chowanie w grotach, a potem pod kamieniami, ułożonemi w ten sposób, aby przypominały groty. Człowiek który wybrał ten sposób grzebania, kierował się widocznie chęcią dania umarłemu mieszkania podobnego, a może nawet piękniejszego od posiadanego za życia. Pojęcie to, będąc już złożonem, musiało późno powstać. Nie należy wyprowadzać ztąd wniosku, że człowiek szelleński porzucał swych nieboszczyków, nie troszcząc się wcale o grobowiec dla nich; chodzi tu o to, że jeżeli główna jego broń, maczuga, nie mogła zostawić śladów, to i grób pod gołem niebem nie mógł być od niéj trwalszym, a to tłómaczy nam zupełnie prawie absolutne zniknięcie kości ludzkich téj epoki. Nieznaczna ilość szczątków, które do naszych czasów się przechowały, pochodzą zapewne od osób padłych zrządzeniem przypadku, a okolicz-

ność ta pozwala zrozumieć, dla czego podobnego braku nie widać odnośnie do kości innych zwierząt ówczesnych, które nie były tak jak człowiek systematycznie chronione od zakopania po śmierci.

Po wykluczeniu okazów fałszywych lub wątpliwych, odnoszonych bezdowodnie do epoki szelleńskiéj, Mortillet przyznaje autentyczność bardzo małéj tylko liczbie kości. Przedstawiały one rasę, która, badana ze stanowiska czysto anatomicznego, otrzymała od pp. Quatrefages i Hamy nazwę rasy kansztadzkiéj z powodu czaszki znalezionéj, wraz z kośćmi słonia w r. 1700 przez księcia Eberharda Wirtemberskiego w glinie w Canstadt. Czaszka ta, druga Eguisheim około Kolmaru, okazy z Denise około Puy, nadewszystko czaszka z Neanderthalu i wreszcie szczęka zwana z *Naulette*, oto wszystko co posiadamy; a trzeba przyznać, że bardzo tego nie wiele. Dość tego jednakże do poznania, iż czoło i broda podane były ku tyłowi, że mięśnie były bardzo wydatne, kości grube, a wreszcie sklepienie czaszki nizkie i znacznie wydłużone w kierunku przednio-tylnym (*antéro-postérieur*). Oto jest człowiek Neanderthalski pana King, człowiek, którego można porównać tylko z współczesnymi nam Buszmanami i Australczykami, który się jednak różni od nich o tyle, a może i więcéj, według p. Mortillet, o ile oni różnią się od Europejczyka. Wydatność łuków brwiowych, rozwój potylicznéj części czaszki, pewne ślady blizn zauważonych u osobnika znalezionego w grocie Neanderthalskiéj skłoniły Mortilleta do uznania tego człowieka za gwałtownego i wojowniczego; p. Mortillet idzie nawet daléj i odmawia mu mowy artykułowanéj, opierając się na braku wyniosłości, do któréj przyczepia się mięsień podjęzykowy (*genioglossus)*; lecz co do tego posunął się bezwątpienia zadaleko na drodze domysłów, przy tak małéj liczbie i tak niezupełnych dokumentach.

Nic więcéj nie wiemy o człowieku pierwotnym europejskim. Czy przetrwawszy przez czas długi bez zmiany w tych samych miejscowościach, uległ w końcu zagładzie przy zetknięciu się z rasami szlachetniejszemi i nowszemi? Jego jednoczesna obecność w bardzo wielu miejscowościach, upoważnia do wniosku, że przynajmniéj w początku, reprezentuje on nie rasę oddzielną, lecz grunt wspólny, przeznaczony po umiejscowieniu się i podzieleniu na części, do modyfikowania się powolnego pod sprzyjającym wpływem bardzo rozmaitych warunków otoczenia różnych miejscowości. Z pnia rasy Neanderthalskiéj powstali więc następni ludzie. Ta to rasa właśnie, posuwając się ku południowi, mogła zaludnić ziemię i rozpaść się późniéj na rasy miejscowe i plemiona. Epoka więc musterska w Europie przedstawiałaby dalszy ciąg tego stanu pierwszego, a zjawisko lokalizacyi ras, o którém mówiliśmy na początku tego arty-

kułu, mogłoby się odbywać wywołując skutki bardzo rozmaite, stosownie do okoliczności i warunków. Peryody, które nastąpiły po mustierskim, a którym Mortillet nadał nazwy: jednemu „solutreńskiego“, drugiemu „magdaleńskiego“, od stacyj typowych w Solutré (*Saône et Loire*) i w Madeleine (okrąg Sarlat, Dordogne), odpowiadałyby w ten sposób czasom, w których człowiek umiejscowiony przekształca się powoli, przyjmując w rozmaitych miejscowościach cechy specyalne, odróżniające rasy, rozwijając swe zdolności, tyle przedstawiające urozmaicenia, co i miejsca, w których się osiedlił, i zatrzymując się nie na tych samych lecz kolejnych szczeblach drabiny, po którój wstępować mu przeznaczono, a która pozwala na zupełny rozwój najszlachetniejszych zdolności, dopiero na owych szczeblach najwyższych.

VII.

Okres „solutreński“ jest tylko przejściem i to przejściem nagłem, nawet według obliczeń stosunkowego trwania przyjętych przez Mortilleta. Zdaje się, że okres solutreński ma raczéj znaczenie przestrzeniowe niż czasowe. Bądź co bądź, okres ten prowadzi do następnego, do „magdaleńskiego“. Obadwa one są, właściwie mówiąc, etnicznemi nazwami lodowego, czyli tego peryodu obniżenia ciepła, który przypadł w Europie razem z odstępowaniem stopniowem lodników, kiedy klimat dążył jednocześnie do stania się suchszym i bardziéj skrajnym i kiedy wielkie gruboskóry, a głównie mamut, znikały stopniowo wskutek wzrastającéj ostrości pór roku, oraz zubożenia roślinności. Przeciwnie mnożyły się wtedy renifer i koń. Przedewszystkiem pierwszy, pierwotnie rzadki i bezwątpienia bardziéj na północy albo w sąsiedztwie gór osiadły, zstępuje na równiny i zajmuje cały środek Europy, nie wkraczając jednak do Hiszpanii, Prowancyi ani do Włoch. Pomimo niezliczonych odmian które przedstawia i których jeszcze dotąd metodycznie nie określono, renifer ten jest w gruncie rzeczy tym samym co dzisiejszy lapoński, i posunął się do środka Europy pod wpływem zimna i niezmiernego rozprzestrzenienia lodników. Znajduje się on obficie w większéj części stacyj solutreńskich i magdaleńskich. Późniéj cofnie się on ku kołu biegunowemu, którego okolic obecnie już nie opuszcza. Wśród mnóstwa zwierząt wyliczonych przez p. Mortilleta, na które człowiek stawszy się myśliwym poluje, dla zdobycia mięsa na pokarm, skóry na odzienie i części twardych dla celów przemysłowych, renifer i koń zajmują pierwsze miejsce. W Solutré przeważa koń; naliczono ilość szkieletów przynajmniéj na 20 tysięcy, a może jest

ich ze 40 tysięcy. Jest to koń teraźniejszy, z głową większą stosunkowo do tułowia, które jest małe lub średnie, z nogami grubemi, mięśniami potężnemi. Pod względem niektórych szczegółów anatomicznych zbliża się on do swego przodka hippariona. Ani koń, ani renifer nie były wtedy oswojone, a pies jeszcze nie był znanym. Zwierzęta te człowiek ówczesny zdobywał pościgiem albo zasadzką; zabijał je na miejscu albo krępował dla przeniesienia do miejsca, gdzie mieszka, i użycia na pokarm. Mamut był wtedy niejako zwierzęciem legendowem, zajmującém głębie niektórych puszcz, wzbudzającém ciekawość, a jednak tyle jeszcze rozpowszechnioném, że dostarczał kości słoniowéj i że swą postacią uderzał człowieka ówczesnego do tego stopnia, iż pomyślał o wyrysowaniu jego kształtów, które nam swym rylcem naiwnie przekazał. I rzeczywiście człowiek solutreński i magdaleński stał się artystą na swój sposób; stan jego zmienił się materyalnie i psychologicznie, a dokonane przez niego postępy są olbrzymie. Podział pracy przemysłowéj, przez długi czas niejasny i zaledwie zaznaczony, teraz staje się rzeczywistym. Chociaż krzemień, a właściwiéj mówiąc, kamień w ogóle jest jeszcze jedynym materyałem z początku używanym, jednakże w Solutré krzesanie dosięga swego apogeum: ostrza kształtu liścia laurowego zdumiewają swoją regularnością i delikatnością wykończenia. Ostrza narzynane, przeznaczone do oprawy w rękojeść, są bardzo zręcznie wykonane. Jednakże w ciągu okresu magdaleńskiego nowy pierwiastek przemysłowy przyłącza się do dawnego, człowiek z kolei przystępuje do obrabiania kości, równie jak zębów słoniowych i rogów jelenia. Jest to zwrot i postęp prawdziwy. Substancya używana specyalizuje się podobnie jak same narzędzia. Widzieliśmy ostrza dzid i dzirytów bardzo artystycznie wykończone na obu powierzchniach i przygotowane do osadzania, skrobaczki nie mniéj są odpowiednie celowi, do którego wyłącznie służyć miały. W okresie magdaleńskim narzędzia zachowują charakter bezpośredniéj użyteczności: dają one ostrze, szpikulec, rylec, piłę. Wraz z obrabianiem kości, pojawiają się igły, harpuny, a wreszcie przedmioty służące wyłącznie do ozdoby, rzeźbione i ryte.

Niektóre wizerunki dają nam ciekawe szczegóły o życiu człowieka i zwierząt owéj epoki. Rysowano renifera, niedźwiedzia, mamuta. Człowiek jest zawsze, lub zdaje się być przedstawionym nago. Znany rysunek kobiety brzemiennéj, któréj ciało zdaje się być pokrytem obfitym włosem; ale może są to tylko zmarszczki lub wskazówka odzieży futrzanéj. Człowiek stąpa z kijem założonym na ramię. Według p. Mortilleta, u rąk otwartych nie widać nigdy piątego palca, zawsze zagiętego pod inne i to ma być cechą charakterystyczną

człowieka magdaleńskiego. Powiadamy człowieka, ale sądzimy, że nie należy go tu brać w znaczeniu powszechném. Jak przez podział pracy. wyspecyalizowały się wytwory przemysłu, tak samo po pierwszém rozpostarciu się rasy ludzkie wyróżniły się przez lokalizacyą. Właśnie najdawniejsze rezultaty tego umiejscowienia w Europie odkrywa nam okres magdaleński. Rasa solutreńska, któréj ostrza w kształcie liści laurowych są tak wykończone, i wcześniejsza od niéj i artystyczniejsza rasa z grot perigordzkich, któréj rysunki naiwne i próby rzeźby podziwiamy, okazują nam pierwsze usiłowania tego ducha inicyatywy i względnego postępu, które po lokalizacyi ras ludzkich doprowadziły niektóre z nich do wynalazków materyalnych i do pojęć idealnych a przez nie aż do granic téj uprawy najwyższéj wszystkich naszych zdolności, która zasługuje na nazwę cywilizacyi. Jesteśmy tu jeszcze z pewnością bardzo dalecy od tego wyniosłego poziomu, do którego tylko mała liczba ras dojść zdołała. Plemiona, któremi się teraz zajmujemy, a które zamieszkiwały Francyę ku końcowi okresu czwartorzędowego, posiadały już zapewne iskrę zapowiadającą ten umysł intuicyjny, kilka ukrytych zarodków zmysłu twórczości i inicyatywy; lecz przypatrzywszy się rzeczom bliżéj, zrozumiemy, że te zarodki, przytłumione w chwili swych narodzin, nie miały w sobie nic płodnego, nic oznaczonego; było to raczéj przedwczesne wyklucie się, hasło, któremu nie odpowiedziało żadne echo.

Według słusznego przedstawienia Mortilleta, w owéj Europie czwartorzędowéj nowszego okresu, człowiek magdaleński jest myśliwym, czynnym, pomysłowym, wrażliwym na widok, który około niego roztacza przyroda żyjąca. Posiada on ognisko, doznaje radości i smutku, sławi swe polowania, umie sprawić sobie pewne przyjemności za pomocą sztuki naśladownictwa i ornamentacyi. Nakoniec uznaje on stopnie i hierarchią, albowiem posiada znaki zaszczytne i oznaki dowództwa—lecz na tém koniec; rolnictwa i gospodarstwa domowego nie ma ani śladu; choć się ci ludzie może troszczą o chowanie zwłok, lecz mieszczą je pod gołem niebem i żadna uzasadniona wskazówka nie pozwoliła jeszcze dotąd znaleść grobu ówczesnego, mającego na celu ochronę zwłok, przez wybudowanie schronienia trwałego, naśladującego siedzibę ludzi żywych, grobowca wykonanego według rytuałów i w miejscu określoném. Wszystko to napotykamy dopiero w wieku następnym. Czytelnik widzi, że daleko tu jeszcze, przedewszystkiém w Europie, do brzasku najstarszych społeczeństw regularnych. Wiek magdaleński odpowiada szczególnemu stanowi, okazującemu nam najstarsze wyniki lokalizacyi ras ludzkich, które już odtąd ograniczone są do okolic, w któ-

rych się oddzielnie rozwinęły, ale bądź co bądź, stykają się wzajemnie, przenikają się, mieszają w skutek emigracyi; w bardzo rzadkich tylko wypadkach pozwoliły im w zupełném odosobnieniu dojść do ostatecznego udoskonalenia.

Jaką była rasa magdaleńska? Czy można powiedzieć cośkolwiek o jéj cechach fizycznych i budowie osteologicznéj? Sławne odkrycie grobów w Cros-Magnon, dokonane przez Ludwika Lartet, który wydobył wiele skieletów z groty zawierającéj szczątki wieku magdaleńskiego, zniewoliło większość uczonych do uznania tych pozostałości za szczątki rasy artystycznéj perygordzkiéj. Lecz pogląd ten, przyjęty przez autorów wielkiego dzieła *Crania ethnica*, p. Mortillet odrzuca, wykazując, że w Cros-Magnon, podobnie jak w Furfooz, Aurignac i Mentonie znajdują się ślady późniejszego obrobienia, właściwego wiekowi kamienia gładzonego, czyli „robenhauskiemu.“ Jeśli tak jest, to obracano wtedy na cmentarze schronienia i groty zamieszkane dawniéj przez człowieka magdaleńskiego, który nie grzebał trupów w podobny sposób. Okoliczność ta tłómaczy zresztą, jakeśmy to już nadmienili, rzadkość kości z tego wieku, dziwną na pierwszy rzut oka wobec tak licznych wytworów przemysłu. Autor, którego się trzymamy, bardzo niedostatecznie zapełnia tę lukę za pomocą indukcyi, wyprowadzonych ze zbadania rozmaitych wizerunków ludzkich, które zawdzięczamy rysownikom magdaleńskim. Lecz czyż rysy, które autor uważa za włosy, a które mogłyby świadczyć o włochatości ludzi ówczesnych, nie dają raczéj grubych wskazówek ubiorów ze skór zwierzęcych? Jasną jest rzeczą, iż podobne dzieła, którym trzeba przyznać naiwność w wykonaniu, mogą przedstawiać tylko przybliżone kontury, podobne do tych, które kreśli na naszych murach figlarna ręka dzieci albo osób, które w rysowaniu kierują się tylko instynktem. Dla p. Mortilleta rasa europejska magdaleńska jest tylko dalszym, zmodyfikowanym ciągiem rasy szelleńskiéj i mustierskiéj. Mieszanie się wskutek wędrówek, współczesne istnienie wielu ras różniących się czaszkami, gdyż spotykamy obok siebie krótkogłowe i długogłowe, nastąpiły po upływie nowszego okresu czwartorzędowego, zniknięciu mamuta i cofnięciu się renifera ku północy. Był to zatem wiek, w którym z powodu nowego złagodnienia klimatu, lodniki cofnęły się aż do podnóża gór, morze opuściło północ Europy i cofnęło się do granic teraźniejszych i nastała nowa era. Jestto era rozwoju i nieustannéj czynności, któréj postęp prowadzi nas stopniami aż do odkrycia kruszców i wreszcie do historyi we właściwém znaczeniu tego wyrazu. Lecz ten peryod ostatni zawiera w sobie wiele okresów podrzędnych. Z początku metale nie są znane ludziom, a jeżeli przypuścimy, co jest

wielce możliwém, że odkrycie ich użytku nastąpiło w jedném miejscu wcześniéj aniżeli w drugiem, naprzykład pierwéj w Azyi niż w Europie, a choćby tylko w okolicach gdzie je znaleziono i zastosowano wcześniéj niż gdzieindziéj, to widocznie musiał istnieć peryod, w czasie którego kamień był jeszcze jedynym materyałem używanym do wyrobu narzędzi pracy. Jednakże zaczęto już uprawiać pewne sztuki, będące koniecznym punktem wyjścia każdego społeczeństwa: tu należą udomowienie zwierząt użytecznych, zacząwszy od psa, rolnictwo, a zatem przyswojenie sobie niektórych roślin pożywnych, wyrób naczyń glinianych, a wreszcie ugrupowanie ludzi i ich mieszkań w celu obrony wspólnéj, a także ze względów na wykonywanie obrzędów religijnych i czci oddawanéj umarłym; oto są główne punkta, które wytykają zarysy najstarszych społeczeństw i które odnoszą się do porządku rzeczy, dawniejszego, nie tylko od początku cywilizacyi, ale i od wynalazku metali.

Do podobnéj to epoki, która zostawiła tysiące śladów w wielu miejscowościach europejskich, w Skandynawii i Szwajcaryi, we Francyi środkowéj, na południu Włoch itd. p. Mortillet stosuje nazwę „*robenhauskiéj.*“ Aby wejść z nim w tę nową dziedzinę i posunąć się aż do epoki bronzu, należałoby się zagłębić w szczegóły, któreby nas zadaleko zaprowadziły. Peryod robenhauski jest epoką dolmenów i osad nawodnych. Człowiek zaczyna wtedy wychodzić ze stanu dzieciństwa. Jeżeli nie zna jeszcze użytku metali,—przynajmniéj w Europie,—jeżeli posiada rolnictwo i przemysł w stanie tylko zarodkowym, jeżeli byt jego pod pewnemi względami jest jeszcze obrazem nędzy, gdyż dla uniknięcia głodu nie może być wybrednym w środkach pokarmowych, ale mając rezerwę na czas głodu w morwie, dereniu, w dzikich jabłkach i orzechach wodnych, sieje już jednak żyto i jęczmień, wyrabia grube tkaniny z lnu, lepi naczynia gliniane i wypala je w ogniu i wreszcie wystawia nieboszczykom prawdziwe pomniki, które są naśladowaniem grot, ułożone regularnie z kamieni surowych. Zaczynają się wtedy rozpowszechniać obrzędy i wezwania religijne, czynności medyczne i chirurgiczne, pewien rodzaj zbytku w sprzętach oraz praktyki już to zabobonne i proste jak np. trepanacya, już téż racyonalne, jak np. odnoszące się do nastawiania złamań kości. Czuć chwilę wielkich odkryć, olbrzymich usiłowań, dążących do rozszerzenia tak ciasnego z początku koła wiadomości i sposobów działania.

Te popędy człowieka pierwotnego, wydzierające naturze jéj tajemnice, były zapewne bardziéj samrzutnemi (*spontané*) aniżeli nasz rozwój społeczny, tak skomplikowany, tak ściśle zależny od uprzedniego postępu. Rola inicyatorów, którzy stawszy się naczel-

nikami plemion, umieli je zgrupować, połączyć w miasta i nadać im prawa, noszące na sobie piętno swego geniuszu, przekazaną nam została w charakterze najdawniejszych wspomnień historycznych. Bezwątpienia w Menesie, Nemrodzie, Assurze uosobione są całe ludy; ale ludy te obudziwszy się do życia politycznego, najczęściéj tylko za sprawą indywidualnéj energii, za wpływem bohaterów, osobistości natchnionych i wyższych, zdołały się wybić z cieniów nocy otaczających ich kolebkę. Gdy wspólne działanie okoliczności i zdolności rasy obudziły ten rodzaj popędów, człowiekowi jeszcze młodemu i urabialnemu wypadało tylko wejść na nową drogę, która się przed nim otwierała. Przestrzeń, którą mu pokazywano, rozciągała się aż poza granice widzenia i w snach swoich przewidywał niejasno olbrzymie przeznaczenia. Wznosił się on wtedy i szedł za swemi naczelnikami, którzy wcielali jego instynkta i formułowali jego pragnienia. Historya, pomimo że sięga daleko, nie dochodzi jednak do tych zdarzeń pierwotnych, których jednak pozwala się domyślać. Gdybyśmy je mogli odtworzyć, widzielibyśmy ludy wychodzące ze stanu nieświadomości i budzące się do życia pod panowaniem pojęć, które stawszy się tradycyonalnemi, rządziły niemi przez wieki.

Ideał objawił się człowiekowi dopiero wtedy, kiedy ten zdołał go uchwycić z gwałtownością instynktową; lecz wtedy téż pewien rodzaj upojenia owładnął umysłami, przed któremi poraz pierwszy otworzył się przystęp do tego świata idei, bez którego nasza rasa, zamknięta w ciasnym widnokręgu kilku wynalazków materyalnych, pozostałaby tam spętana na zawsze. Nie dosięgłaby nawet rezultatów pozytywnych i realnych, choćby się wyrzekła pościgu za duchownością i boskością. To właśnie tłomaczy nam nadzwyczajną nierówność ras ludzkich. Wszystkie one posiadły pierwotnie wrodzoną zdolność doskonalenia się, lecz wiele z nich już wcześnie przestało kroczyć po téj drabinie o tysiącu kolejnych stopni; inne poszły po niéj śmiało, a doszedłszy do pewnéj wysokości, poczuły w sobie tętno jakby jakiegoś zarodka tajemniczego; nieznana wibracya objawiła im pewien rodzaj harmonii, któréj istnienia nic im dotąd nie kazało się domyślać. Echo tego oczarowania inteligencyi, rodzącéj się na światło, dochowały pierwsze Vedy w zaledwie słabszym odgłosie. Kiedy Aryjczycy, nasi dalecy przodkowie, ocknęli się do życia społecznego na wyniosłych dolinach Azyi pomiędzy Kaukazem a Indusem,—kiedy śmiało i z zapałem pusuwali się w wielu kierunkach, ze swego raju ziemskiego, wzywając opieki boskiéj i dostrzegając ją w obłokach, w świetle słoneczném, w piorunach, wierząc iż mają stosunki z siłami tajemniczemi, wcielając w nie ideał, który

w sobie nosili;—kiedy do prostych obyczajów, do instynktu do sztuki, do pracy rolniczéj, dołączyli poczucie tego, co podnosi duszę, miłość rodziny, wrażenie téj piękności najwyższéj, która promienieje w naturze, wtedy objawiło się w nich to, co jest najczyściejszém w człowieku, co mu dało panowanie, to nakoniec, co samo tylko jedno zdolne jest utwierdzić to panowanie wśród ras, które pozostały wiernemi swemu najwyższemu przeznaczeniu, i trzymać je zdaleka od pochyłéj drogi upadku.

G. de Saporta.

DEBIUTY POWIEŚCIOPISARSKIE.

1) Pan Ślepy-Paweł, napisał T. Hodi.—2) Pan Głuchy-Gaweł przez tegoż, w „Kłosach."—3) Pierwszy Romantyk przez Aëra.—4) Teofil Tarcza: Nieśmiertelne wianki, nowella.—Inni debiutanci.—5) Hajota: Nowelle.—6) Cudzoziemiec, opowiadanie przez Zofię Urbanowską.— 7) Wpływ Świata, powieść przez M. Z. R. D. — 8) Czy zwycięży? dalszy ciąg „Wpływu Świata." 2 tomy.—9) Z przełomu, kartka z lat minionych przez Jana Iłgowskiego.— Wszystkie powyższe utwory, prócz „Pierwszego Romantyka," drukowane w Warszawie r. 1881—1883.

Ktokolwiek z pewną uwagą przegląda illustracye nasze, spostrzedz musiał niewątpliwie fakt ciekawy, odnoszący się do miejsca przeznaczonego na powieści oryginalne i tłómaczone. Powieść oryginalna mieści się zazwyczaj skromnie w 4, 5 a najwyżéj 6-ciu łamach, gdy tymczasem powieść z jakiegobądź obcego języka przełożona rozpiera się swobodnie na całym półarkuszu, t. j. łamach dwunastu. Fakt, przykładowo na illustracyach wskazany, powtarza się na całym obszarze naszego piśmiennictwa w zakresie powieści.

Jeżeli od spostrzeżenia przejść zechcemy do wyjaśnienia tego faktu, to się nam najprzód, ze względu na ekonomiczny interes wydawców, przedstawi powód materyalny, przewaga taniości po stronie tłómaczenia; następnie, ze względu na smak czytelników, któremu wydawca dogodzić się stara, możebyśmy skłonni byli widzieć powód drugi, przewagę umiejętności zaciekawiania i artystyczniejszego opowiadania u autorów obcych. Ale czy dwa te powody wystarczają w zupełności, ażeby zjawisko owo stało się dla nas zupełnie zrozumiałém. Wszakże obok interesu materyalnego i chęci zadośćuczynienia upodobaniu czytelników działają jeszcze i działać muszą inne pobudki, nawet w duszy wydawców: naturalne zamiłowanie swojszczyzny, chęć wyróżnienia się od innych i postawienia pisma swego na wyższym stopniu doskonałości. A powtóre sami też czytelnicy nie są już dziś tak uprzedzeni do własnéj literatury, jak bywali dawniéj i, choćby tylko przez pewien punkt

honoru, domagają się prac oryginalnych. Chyba więc obok dwu powyżéj wymienionych powodów musi być jeszcze inny, może nawet najsilniejszy, zmuszający wydawców naszych do téj upokarzającéj poczucie narodowe zależności względem zagranicy.

Powodem tym — mała liczba pisarzy naszych i niewielka ich produkcyjność, tak samo niewystarczająca na zaspokojenie potrzeb umysłowych, jak niewystarczającą jest nasza produkcya rękodzielnicza i fabryczna na zaspokojenie potrzeb materyalnych. Wśród grona powieściopisarzy naszych, zaledwie kilkanaście jest imion ogólniéj znanych, do których wydawcy z zamówieniami śpieszą,— a pomijając wyjątkowo płodną twórczość Kraszewskiego, który zaiste sam za dziesięciu pracuje, inni powieściopisarze tworzą mało; a tym sposobem w téj dziedzinie piśmiennictwa, co się może pochlubić największém zainteresowaniem ogółu, a więc i największym przypuszczalnym wpływem, musimy się do pożyczki uciekać. Pożyczka taka, od któréj, jak dotychczas, procentów materyalnych jeszcze nie płacimy, jest korzystną, ma nawet swoje niewątpliwie zalety, ale praktykowana ustawicznie, pociąga za sobą straty moralne: podkopuje ufność we własne siły narodowe, podtrzymuje ślepe zamiłowanie cudzoziemczyzny. Mógłby ktoś utrzymywać, że się przyczynia do udoskonalenia smaku estetycznego, gdyż podaje utwory najlepszych autorów całego ucywilizowanego świata. Byłoby tak zapewne, gdybyśmy się mniéj zapożyczali; wówczas bowiem wybór mógłby być dokonanym z większą niż dziś wybrednością i wówczas tłómaczylibyśmy tylko rzeczy istotnie na poznanie zasługujące. Przy dzisiejszém zapotrzebowaniu przekładów, wybór dokonywa się przeważnie na chybił-trafił; to téż tłómaczą się nieraz takie powieści, że sami ich autorowie pomimo wygórowanéj miłości własnéj zdziwiliby się temu odznaczeniu najlichszych może swych płodów.

Wobec tego położenia, w jakiém się znajduje nasza beletrystyka, nie powinno być obojętną rzeczą ukazywanie się nowych powieściopisarzy. Gdy nie podobna sztucznie wytwarzać talentów, dobrze jest przynajmniéj mieć świadomość o doniosłości tych, które się pojawiają.

W ostatnich trzech latach przybyło beletrystyce naszéj kilka nazwisk. Z tych jedne znane już były dawniéj na różnych polach działalności literackiéj, inne przedstawiają zupełnie świeże siły. Zastanowię się tu nad utworami, na których nazwiska te występują, nie tyle dbając o szczegółowy ich rozbiór, ile o pochwycenie ich nastroju i rysów znamiennych, o wskazanie, czy przynoszą i co przynoszą nowego lub ważnego naszemu piśmiennictwu. Usposo-

bienie pisarza, o ile się daje wywnioskować z jego utworów, metoda, któréj w ich kreśleniu się trzyma, stanowić będą punkta główne tego szkicu.

Dwie grupy autorów dopiero co wskazane nastręczają same przez się i porządek i sposób ich traktowania.

I.

Działalność piśmiennicza Hodiego datuje się podobno od roku 1865, lecz szerszemu ogółowi znaną być zaczęła dopiero od czasu, kiedy został stałym spółpracownikiem „Kłosów“, przysyłającym „z obcego świata“ co tydzień niemal jakiś ulotny artykuł traktujący o bieżącéj lub nawet zasadniczéj kwestyi. Przez lat kilka trwało natężone spółpracownictwo i w pewnych przynajmniéj kołach robiło niepospolite wrażenie. Autor mówił o najróżnorodniejszych rzeczach, poruszał zagadnienia społeczne, filozoficzne, literackie i artystyczne, a pisał pod względem stylistycznym, jak mało kto z ówczesnych literatów. Wprawdzie zbyt zwikłane arabeski wyrazowe czyniły ujmę, niekiedy znaczną, przejrzystości myśli, ale ponieważ tendencya ogólna przypadała do ówczesnego usposobienia, więc pod owemi arabeskami domyślano się pomysłów nader głębokich— i ciemność nawet za zaletę poczytywano. Potém produkcyjność jego się zmniejszyła, a zarzut niejasności myśli coraz ogólniejszym się stawał. Obecnie występuje jako powieściopisarz.

W r. 1881 ogłosił powieść p. n. „Pan Ślepy-Paweł,“ w 1882 jako bratni obrazek drugą p. n. „Pan Głuchy-Gaweł.“ Obie są opowiadaniami, włożonemi w usta bohaterów; obie, lubo w wątku powieściowym przedzielone 50-letnim blisko przeciągiem czasu, łączą się gienealogicznie, gdyż w drugim utworze mamy historyą dzieci tych ojców, których dzieje wypełniają treść pierwszego.

Forma opowiadania obrana przez autora ściśle jest związana, jak się zdaje, z poglądem jego na możność poznania duszy cudzéj, serca cudzego. „Człowiek — powiada Pan Ślepy-Paweł (str. 72) — za siebie jedynie ma możność, za siebie jedynie jest w stanie powiedzić: kochałem, myślałem, czułem, pragnąłem; nigdy zaś i pod żadnym pozorem: kochaliśmy, czuliśmy, pragnęliśmy. A cóż dopiero sądzić o tych, co nam prawią w trzecich osobach liczby mnogiéj: kochali.... pragnęli! Tyle w tém prawdy, co złota lub słońca w olejnéj farbie obrazu. Wymysł czysty, podstawność wyrafinowana, widzenie słuchem, słuchanie węchem!“ Panu Ślepemu-Pawłowi zdaje się, że odkrył nadzwyczaj ważną prawdę psycholo-

giczną, że odsłonił fałsz we wszystkich dotychczasowych utworach literackich popełniany, gdy rozpowiadają o tém, co się w sercu kochanka i kochanki dzieje. „Wiele przedtém, wiele potém — powiada—czytałem opisów, w których obie zakochane w sobie istoty, nie dość że przecudne rzeczy opowiadają przed czytelnikiem w długie zimowe i krótsze wiosenne wieczory, lecz jeszcze najtrafniéj przed nim, niby z kalendarza lub tabliczki Pitagorasa, wzajem za siebie się odczuwają, wzajem dla siebie i o sobie się czują. Co za złudzenie! Jak nie spostrzedz, że tu za nich wszystkich, i za bohaterów i za czytelników, czuje i odczuwa sam tylko autor; on jeden snadź najlepiéj wiedzący co i kiedy kochanek pomyślał gdy wyrzekł *kocham*, co i kiedy kochanka wyobraziła (!) gdy powiedziała *lubię*.“

Nie potrącam tu kwestyi poznawania rzeczy i ludzi w ogólności, gdyż zanadtobym się oddalił od właściwego przedmiotu, dotknę jedynie téj strony tego, które autor przez usta Ślepego-Pawła bezpośrednio poruszył. Przyznajmy, że ma słuszność gdy twierdzi, że poznanie uczuć i myśli osoby drugiéj w taki sposób, w jaki znamy własne nasze uczucia i myśli jest istotném niepodobieństwem, gdyż intuicya (jakkolwiek rozumiana, mistycznie czy pozytywnie) może tylko, ściśle biorąc dać przypuszczalnie prawdziwe załatwienie niepewności, a raczéj da pewność lecz tylko dla téj osoby, która się nią posługuje, nigdy zaś dla innych. Przyznajmy następnie, że opowiadający w pierwszéj osobie nie może wygłaszać zdań, że takim lub innym był nastrój téj czy owéj osoby, lecz tylko—że takim mu się wydawał. Podwójne atoli to przyznanie jeszcze nas nie zjedna dla myśli autora potępiającéj wszystkich w czambuł powieściopisarzy, którzy w trzeciéj osobie mówili o uczuciach i myślach swoich bohaterów i bohaterek z taką pewnością, jakby ich dusze znali na wylot. Rzecz-to z pozoru tylko rażąca. Powieściopisarze mówiący w trzeciéj osobie mówią o swych własnych tworach, a zatem mogą istotnie znać je nawskróś jak siebie samych, bo z nich oni wypłynęły. Lecz ta okoliczność nie pozwala im wszystkim, bez żadnego wyjątku zrobić zarzutu, że czują i odczuwają sami tylko a nie te osoby, które oni na widownię powieściową wyprowadzili. Na tém właśnie wielka sztuka powieściopisarza polega, ażeby jego twory, pomimo że są jego kreacyą, żyły przecież własném życiem i nie były przez swego twórcę wodzone za nos. A jeżeli zaleta przedmiotowości nigdy może szczytu swego nie dosięgnie, to zbliżanie się ku niemu stopniowe, jaki w rozwoju powieściopisarstwa zauważyć można, wskazuje dosyć wyraźnie, iż stwarzanie osób własném (nie autorskiém) życiem żyjących, nie należy do rodzaju majaków.

Czy autor, któremu, jakby się zdawało, idzie tak bardzo o zachowanie ścisłéj prawdy w powieści, zachował ją istotnie? Jeżeliby szło tylko o trzymanie się w opowiadaniu tych szczegółów, które opowiadający sam obserwował w sobie lub w innych, to na pytanie powyższe możnaby dać odpowiedź twierdzącą: istotnie autor uniknął błędu tak często przez zdolnych i oględnych pisarzów popełnianego w formie autoepicznéj i nigdzie nie wykroczył poza granicę, którą wyznaczają zmysły opowiadającego. Gdy jednakże zastanowimy się nad sposobem opowiadania, wówczas się wykaże, iż autor, jak każdy powieściopisarz, musi wyprosić u czytelnika zgodę na pewien artystyczny konwenans. Nie zgadza się to z doświadczeniem, ażeby jakikolwiek opowiadacz rzeczywisty rozprawiał tak długo jak Ślepy-Paweł lub Jakób Ziemkowicz; potrzebaby audytoryum niezmiernie cierpliwego i umyślnie na ten cel opłacanego, ażeby się zdecydowało na wysłuchanie za jedném posiedzeniem, tego co autor na kilkuset stronnicach przedstawił. Powtóre, opowiadający w rzadkich tylko wypadkach cytuje rozmowy zwłaszcza tak długie, jakie czasami w „Głuchym-Gawle“ spotykamy. Po trzecie, opisy przyrody w opowiadaniu rzeczywistem bywają krótkie, poglądowe, chyba że się jakiś nadzwyczajny i słuchaczom nieznany krajobraz stara uprzytomnić. Po czwarte, każdy opowiadający ma sobie właściwy sposób opowiadania, ma swój styl jeżeli nie język; tymczasem zarówno Pan Ślepy-Paweł jak Jakób Ziemkowicz, chociaż przedzieleni od siebie 50-letnim okresem, mówią jednakowym językiem, wyrażają się jednakowym stylem. Język ten i styl, to język i styl Hodiego publicysty, lubującego się w wytwornie utoczonych frazesach, w ryzykownych przenośniach, w subtylizacyi myśli aż do jéj atomowego sproszkowania. Nie ma więc chyba Hodi racyi chlubić się, że wynalazł powieść „induktywną“ w przeciwstawieniu do „deduktywnych“ nowelek Sienkiewicza, nie ma racyi wyrzucać nieprawdy powieściopisarzom, kiedy sam podobnéj nieprawdy się dopuszcza.

Rozpisałem się o formie powieści Hodiego, gdyż istotnie ona jest w nich rzeczą najważniejszą, pochłaniającą w sobie uczucia i osoby. Zachciało się wytwornemu styliście napisać coś, coby nie osnową swoją, nie prawdą życiową, nie głębią namiętności do krainy sztuki się dostało, ale przeważnie misterną robotą. Są w tych powieściach ludzie, są uczucia, są nawet namiętności tém silniéj wybuchające, im dłużéj w ciszy się ogniskowały, ale na to tylko, ażeby się w pewnéj pozie i w pewném oświetleniu przedstawiły. Autorowi nie idzie tyle o to, co ma opowiadać, ale jak ma to opowiadanie poprowadzić. Dla wyjaśnienia tego faktu dość będzie

przytoczyć jeden szczegół z „Głuchego-Gawła.“ Bohater znajduje się w bardzo ważnéj życia swojego chwili. Ma narzeczoną, nauczycielkę u państwa Walge, którzy wyjeżdżając z Paryża po sedańskim pogromie nad morze, zabierają z sobą i ją i jego. Ostatnie przygotowania do wyjazdu dokonywają. Idąc do państwa Walge bohater u progu pałacu został zatrzymany przez kobietę z ludu, praczkę. Długo jéj nie poznaje, nareszcie przypomina jak przez mgłę, iż to była za czasów jego studenckich córka cukiernika, do któréj umizgali się różni, a on — strzelistemi listami. Kobieta grozi zemstą. W chwili gdy ma wypowiedzieć czy zrobić coś stanowczego, opowiadający przerywa sobie, ażeby wyjaśnić antecedencye. Po długim wywodzie o latach dziecinnych, przystępuje wreszcie do swego z córką cukiernika stosunku; każdy zapewne oczekuje jakiegoś wyraźnego wyjaśnienia; lecz zamiast niego dostaje długą dysertacyą o ułomności wzroku i skutkach jéj psychicznych. Ciekawy zaś słuchacz a raczéj czytelnik, zawiedziony w swych oczekiwaniach, dostaje jako pociechę czy najgrawanie się takie frazesy: „Dobra Klotylda tymczasem—zanim wnet znowu głos zabierze—nie znudzi sie z pewnością... pode drzwiami państwa Walge...“ O fakta, o „fabułę“ Hodiemu nie idzie, idzie mu o psychologią.

A jakaż-to psychologia? — Temperament nerwowy, rozgorączkowany, skłonny jest do paradoksów, a gdy go opanuje czarnoksiężnik stylu, wówczas wszelką prawdę dla frazesu poświęci, nie dla tego bynajmniéj, ażeby lekceważył prawdę, ażeby jéj nie kochał, ale dlatego, że mu prawdą się wydaje to tylko, co w tęczach i błyskawicach stylu spostrzega. Lubuje się w subtelnościach i nadzwyczajnościach; fakt najpospolitszy przedstawia mu się w obłocznych wyżynach. Nie namiętności, ani pół-uczucia, ale jakieś ćwierć-wrażenia są najmilszą jego karmią i w malowaniu ich celuje. Dość wspomnieć genezę uczucia dla pani Walge i w niéj saméj. U pani Walge bohater od paru lat dawał lekcye; mówili z sobą tylko o rzeczach potocznych, on nigdy myślą nawet nie probował zajrzeć w jéj serce, nigdy dla niéj nie poczuł w sobie nic prócz szacunku; ona była zawsze sztywna i o swojém stanowisku pamiętała. Co się w jéj sercu działo, tego autor, zgodnie ze swą teoryą, nie powiada. Naraz zaczyna pani Walge przemawiać do nauczyciela półsłówkami, których on nic a nic nie rozumie; w wagonie po wyjeździe z Paryża ma długą do niego przemowę, w któréj sercem na jego jakoby wynurzenia odpowiada, ale zastrzega, bardzo słabo zresztą, że w kwestyi obowiązku będzie twardą. Bohater słucha, nic nie odpowiada, bo nie wie skąd wziął źródło cały ten uczuciowy wylew; nakoniec domyśla się, że listy pisane niegdyś do Klotyldy

córki cukiernika dostały się Klotyldzie, żonie bankiera. Po tém odkryciu dochodzi do poczucia, że możeby nie zaszkodziło wejść do tak niespodziewanie otwierającego się serca i skrupuły jego obowiązkowe przełamać. Sytuacya istotnie nowa i zajmująca... do téj chwili, w któréj czytelnik odkryje, iż wytworzona została dla popisu stylistycznego.

Przykłady wziąłem z „Głuchego-Gawła," dlatego że w téj powieści właściwości talentu Hodiego występują najwyraźniéj, najjaskrawiéj; lecz i w „Panu Ślepym-Pawle" są one już widoczne. Cały stosunek bohatera do Dyonizego, Joanny, Michaliny, okryty jest mgłą tajemniczą, uczucia bohaterek są ćwierć uczuciami; robota jednak jako robota należy do wytwornych; przesubtylizował tylko podobno autor wyniki swéj obserwacyi i swoją psychologią—dla miłości pozy i frazesu.

Całkiem odmiennym pod względem nastroju i wykonania jest utwór p. n. „Pierwszy Romantyk". Autor jego znany był dawniéj jako badacz dziedziny historyczno-literackiéj, którą starał się poznać i ze strony ogólniejszych kwestyj i ze strony szczegółowych poszukiwań. Wynik studyów swoich złożył w kilku rozprawach: o epopei, o Gunduliczu, o Zmorskim, Kochowskim, Korzeniowskim. W prawdzie i wtedy już próbował sił w zakresie belletrystyki. Króciutkie „opowiadanie pana Erazma", drukowane w „Bibliotece Warszawskiéj", zaznaczyło, już wówczas skłonność badacza do powieściowego obrabiania tematów życiowych zaobserwowanych lub poznanych z obcego opowiadania. Nastąpiła potém kilkoletnia przerwa w jego zawodzie autorskim. Obecnie, mieszkając w Paryżu, jest kronikarzem objawów naukowo-literackich we Francyi, wydawcą Pamiętników, a wreszcie powieściopisarzem. Jak się zdaje przeglądanie dokumentów z zeszłego wieku naprowadziło go na myśl zużytkowania ich w sposób popularny. Życie Kniaźnina stało się przedmiotem pierwszego jego w tym kierunku opracowania.

Do powieściopisarstwa przeniósł oczywiście autor właściwości swego talentu badawczego. Temperament spokojny, nawet flegmatyczny usposabia go do prawidłowego, rozważnego sposobu przedstawienia zmian w losach bohaterów. Opowiadanie o chwilach, w których serce bije regularnie, w których myśl zajmuje się swobodnem rozpatrywaniem spraw czy-to codziennych, pospolitych, czy wyższych i wznioślejszych, udaje mu się najlepiéj. Przeciwnie, uniesienia gwałtowne, wzruszenia głębokie blado bywają odtworzone. Wprawdzie autorowie z teoryi i czytania powieści, że potrzeba chwilami podniecić uczucie czytelnika i używa środków pospolicie używanych w dawniejszych i dzisiejszych utworach: snów, widzeń i t. p.,

ale nie potrzeba na to zbyt wielkiéj przenikliwości, ażeby spostrzedz, że w takich wypadkach autor naśladuje rutynę, nie czując się we właściwym sobie żywiole.

Jako umysł jasny i trzeźwy, autor wykłada swą rzecz gładko, zrozumiale, przystępnie dla każdego, kto ma jaką-taką wprawę w myśleniu i czytaniu; gdyby się niektóre rzeczy wyrzuciło (na czémby powieść nie straciła), możnaby powieść jego dać do rąk młodzieży płci obojéj jako książkę kolędową. W subtelności żadne ani psychologiczne ani artystyczne wdawać się nie lubi; ludzi i przedmioty rysuje z gruba przy niezbyt silném oświetleniu dzienném; kontury postaci są w ogóle poprawne, jakby z typowych wzorów zdolnie przekopiowane; życia im wszakże brakuje; ruszają się one, lecz w kierunku ręki autora. Ani Kniaźnin, który przecież wypełnia sobą przeważnie karty obu tomów, ani Marya Czartoryska, niewieścia utworu bohaterka, nie są-to osoby w całém znaczeniu tego wyrazu indywidualne, nie mają ani swoich ruchów ani swego języka. Podrzędnych figur uwija się na widowni opowiadania niemało; lecz zaledwie jedna lub dwie mogą się nazwać żyjącemi. I stary przyjaciel ojca Kniaźnina, i Zabłocki i Kościuszko i książę Adam Czartoryski są-to cienie ludzi. O Zabłockim np. twierdzi w opisie autor, że był niezmiernie dowcipnym; lecz wobec czytelników nie podaje ani jednego dowcipu, któryby go scharakteryzował w akcyi. Żona tylko Czartoryskiego, kokietka o powolnym krwi obiegu i stary konfederat, rotmistrz Hłasko mogą być poczytywane za udatne. Ten ostatni zwłaszcza w jednéj — jedynéj ukazujący się scenie jest, pod względem artystycznym, najlepszą kreacyą autora i najdłużéj zapewne w pamięci czytelnika pozostanie jako wyborny wizerunek rubachy-weredyka i tęgiego żołnierza. Nie jest on postacią nową, gdyż podobnych mu u Kaczkowskiego znaleść można dosyć, ale wśród tych bladych cieni, któremi napełniony „Pierwszy Romantyk", żyje on najpełniejszém życiem.

Zamiłowanie swoje jako badacz zdradził autor zaraz na wstępie swego opowiadania. Ponieważ udało mu się odnaleść metrykę Kniaźnina, więc pisze wstępną scenę, w któréj wystawia dziecię nowoochrzczone, ojca tegoż rozprawiającego z sąsiadami o położeniu politycznėm kraju i księdza, który przynosi do rozprawiających księgę chrztów, ażeby ciż po odczytaniu metryki w całéj rozciągłości, podpisy swoje na niéj położyli. Scena ta, pod względem faktycznym przedstawiająca pewne nieprawdopodobieństwa, nie łączy się artystycznie z dalszym ciągiem, gdyż figury, które w niéj poznajemy, znikają nam późniéj zupełnie. Posłużyła ona jedynie do zużytkowania dokumentu.

Wogóle układ „Pierwszego Romantyka“ nie zaleca się artyzmem. Jedność jego polega nie na spójności artystycznéj, lecz na ciągłości biograficznéj. Główniejsze momenta z życia Kniaźnina, to w powieściowy to w historyczny sposób przedstawione, wypełniają ramy utworu. Jak urodzeniem bohatera rozpoczyna się, tak się kończy jego śmiercią. W poczuciu braku artystycznéj jedności, autor nazwał pracę swoję nie powieścią, lecz „opowiadaniem z przeszłości“. Dlaczego dał mu tytuł „Pierwszy Romantyk“? Czy dlatego, że nieszczęśliwa miłość poety w połączeniu ze strasznemi ciosami, jakie na kraj spadły, sprowadziła rozstrój w jego umyśle? Aleź w takim razie każdego w przeszłości i teraźniejszości, co zwaryował z pobudek uczuciowych, musielibyśmy romantykiem nazywać. Czy też dlatego, że Kniaźnin zajmował się dolą ludu, jak-to z pewnym naciskiem autor starał się uwydatnić? Aleź sam Aër wyznaje, że sielanki i sielankowe dramata Kniaźnina nie mają w sobie żadnéj prawdy, są czysto konwencyonalne. Autor wprawdzie utrzymuje, że Kniaźnin dlatego fałszywie malował lud, że mu się przyglądał pod Puławami, gdzie w skutek wpływu dworu książęcego wykrzywiło się naturalne usposobienie wieśniaków a zwłaszcza wieśniaczek; atoli zdaje się, że obok tego powodu, należy przyjąć za rzecz niezawodną, iż poeta nasz, zostając pod silnym wpływem sielankowych wyobrażeń swego czasu, nie przeczuwał nawet nowego zwrotu w smaku estetycznym. To też ani jego ani Karpińskiego za pierwszych u nas romantyków uważać niepodobna.

A teraz parę słów pod adresem nie powieściopisarza, ale badacza historycznego. Aër stara się czytelników uczyć w opowiadaniu swojém, kreśląc to stan kraju za ostatniego Sasa, to początki panowania Stanisława Augusta, to czasy Sejmu Czteroletniego, to wojnę z r. 1792. Okres, który przedstawiał, nasuwał mu trudne do rozwiązania pytanie, jakie były przyczyny upadku kraju: Odpowiedzi na to pytanie, przez siebie samego postawione, nie dał czytelnikom; dowodził tylko dosyć długo, że ani magnaci (w szczególności Czartoryscy) ani naród—nie winni. Naturalnie nikt nie przymusza do odpowiedzi, zwłaszcza gdy pytanie sam ktoś sobie stawia; można było rzecz tę zupełnie pominąć; ale gdy autor sformułował ciężki względem spółczesnych historyków zarzut, że nie nauczyli się dotąd być sprawiedliwemi, wypadało swoje widzenie rzeczy przedstawić, jeżeli je sobie wyrobił. Wypadało to zrobić z tego mianowicie względu, że rzucanie ogólnikowych wyroków bez postawienia jakiegoś innego poglądu spowoduje tylko większe zamieszanie pojęć wśród czytającego ogółu. Lubimy wszyscy głośno wołać: ten i ów źle, fałszywie rzecz przedstawił, ale gdy przyjdzie do wypowiedzenia do-

kładnego, co sami myślimy, wówczas opuszcza nas swada. A niewątpliwą jest rzeczą, iż autor „Pierwszego Romantyka" nie chciałby zwiększyć liczby zdań na wiatr rzucanych.

Nie władając stylem jak Hodi, ani jasną, trzeźwą rozwagą jak Aër, przedsięwziął Teofil Tarcza pisać nowelle. Przejrzysty ten pseudonim osłania znanego i czynnego przed laty poetę o temperamencie nerwowo namiętnym, lubującego się już-to w jaskrawych, nieraz cynicznych obrazach, już to w paradoksalnéj dydaktyce. Forma dopisywała mu rzadko; ztąd też mało stworzył wykończonych dzieł sztuki. Do nowelli przeniósł zamiłowanie w realistycznćm obnażaniu namiętności a równocześnie skłonność do nastroju patetycznego. Z paru napisanych w tym rodzaju utworów wybieram dla bliższéj charakterystyki ostatni p. n. „Śmiertelne wianki".

Rzecz rozgrywa się pomiędzy dwiema uwiedzionemi dziewczynami, jednym uwodzicielem i jednym marzącym kochankiem. Uwodzicielem jest artysta Karol, który za to, że raz doznał odmowy ze strony rodziców kochanéj przez siebie panny z powodu, iż był pochodzenia żydowskiego, postanowił mścić się—jak sam objaśniał—za tę zniewagę na pannach w ogóle. Zdaje się jednak, że nie tyle chęć zemsty, ile gorąca krew i wyuzdana fantazya artystyczna postępkami jego kierowała. Uwiódł i porzucił Adelę, uwiódł i zamierzał rzucić Julię. Ze zwycięstw swoich pochwalił się, w chwili upojenia, przed przyjacielem, poetą Edwardem. Ten krasomówczą swadą swoją tyle wymógł na nim, że burzliwy artysta zaczął pisać list do Julii, miał ją prosić, ażeby, powiedziawszy rodzicom wszystko, ubłagała u nich zezwolenie na związek, będący już społeczną koniecznością. Wtedy dopiero dowiedział się Edward, że uwiedzione przez przyjaciela dziewczę był-to jego ideał, z którym raz tylko wprawdzie rozmawiał, lecz pokochał gorąco, lubo o połączeniu się z nim marzyć nie mógł. Nazwawszy przyjaciela nikczemnikiem, zapowiedział, że mu w łeb strzeli jak psu, jeśli się z uwiedzioną nie ożeni,... i wybiegł z pokoju. Po jego wyjściu Karol zredagował list według zupełnie odmiennego niż poprzednio planu: donosił kochance, że kocha inną, jednak ożeni się z nią, jeśli po takiem oświadczeniu będzie tego żądała. Zaspokoiwszy w ten sposób niezbyt drażliwe sumienie, idzie nad Wisłę, ponieważ był-to dzień puszczania wianków, a on jako artysta miał dać illustracyą do czasopisma. W miejscu umówionćm przed tygodniem zastał... Edwarda, który widocznie pod wpływem świeżego powietrza, przechadzki i chłodu od wody zmienił całkowicie wyobrażenia swoje o karygodności postępowania przyjaciela, tak dalece, że gdy ten czuł się obrażonym nazwą nikczemnika, on go przepraszał, gonił za nim, ażeby mu sprawę wyja-

śnić, i słuchał niecierpliwie, jak mu Karol treść listu do Julii opowiadał. Nie wiadomo, na czémby się ta arcy-dziwaczna rozmowa skończyła, gdyby nie zjawienie się Adeli i Julii, które w pobliżu obu pogodzonych przyjaciół obrały sobie miejsce do zakończenia swych losów ziemskich. Przybyły one tutaj z wiankami ułożonemi z ciemnych cyprysów i białych kamelij, a to w tym celu—jak objaśniała energiczniejsza Adela—ażeby ludzie i Karol, gdy zwłoki spostrzegą, wiedzieli, „żem czysta jak te kamelie, choć pohańbiona bardzo, i... żem tak smutna, jak te cyprysowe liście, zmuszona przestać wierzyć już w 19-tym roku życia, że warto kogoś szczerze pokochać i szczerze komuś zaufać na téj ziemi.“ Przed utopieniem się, rywalki niegdyś, teraz siostrzaném dla siebie przejęte uczuciem, wynurzają się ze swych marzeń i pragnień. Z tych wywnętrzeń widać, że Adela pomimo wszystko kocha jeszcze Karola; Julia zaś przypomina sobie, że raz na balu widziała Edwarda, parę słów z nim zamieniła i byłaby „z pewnością“ pokochała go, „gdyby nie Karol, który wkradł się nagle w jéj serce, odurzył ją i oszołomił od paru miesięcy;“ teraz Karola już nie kocha. Całéj rozmowy pogodzeni przyjaciele wysłuchali i podążyli łódką ku dziewczętom, ażeby śmierci ich przeszkodzić. Udało się im przybyć na czas, zabrali dziewczęta do łodzi i pojechali ku brzegowi... Co z sobą mówili, nowellista nie powiada, notuje tylko wynik: Julia przyjmuje rękę Edwarda, Adela—Karola; żegnają się z sobą na całe życie... „śmiertelne wianki“ rzucono zapewne do wody jako środek, który do wywołania efektu stał się niepotrzebnym.

W kilku miejscach tego opowiadania czuć niejakie poetyczne tchnienie, postać Karola, piękna z początku, łamie się późniéj w kształty dziwaczne; podsłuchiwanie, przejmowanie listów i przypadkowe spotkania jako sposoby prowadzenia akcyi nieszczególnie rekomendują fantazyę twórczą nowellisty; rozmowy zaś albo blade albo nienaturalne odejmują cechę prawdy; a jakkolwiek wypadek przez autora opowiedziany, może nawet z życia został wzięty, nie wydaje się przecież prawdopodobnym, bo mu brak odpowiedniego upowodowania psychologicznego.

II.

Jeszcze w r. 1880 ukazały się dwie osobno wydane nowelle, na tytule których znajdował się pseudonim autorski: Hajota. Jedna miała napis „Dla sławy,“ druga—„Pięciolistny bez.“ W roku bieżącym sześć nowel, tymże pseudonimem zaopatrzonych, wyszło razem

Nie jest to już żadną tajemnicą, że wyszły one z pod pióra nie autora, lecz autorki. Trudno jednakże utrzymywać, ażeby wiadomość ta dała się zdobyć z rozpatrywania utworów Hajoty, bo gdybyśmy panującą we wszystkich niemal jéj nowellach uczuciowość chcieli użyć za dowód kobiecego ich pochodzenia, toby nam natychmiast przytoczono dobrze znane nazwiska nowellistów—mężczyzn, którzy w daleko wyższym stopniu uczuciowość w swych kreacyach uwydatniają. A gdybyśmy styl trochę rozwlekły, trochę za gadatliwy zechcieli poczytywać za znak niewątpliwéj kobiecości, to znów powołanoby się na nazwiska innych powieściopisarzy, zwięzłością i jędrnością stylu nie grzeszących. Opisywanie zaś nieudatne i nie odznaczające się prawdą hulanek kawalerskich może dowodzić zarówno, że autor nie obserwował tego co opisuje, jak nie mniéj, że swoich obserwacyj nie umie artystycznie spożytkować. Szczególnéj i wyjątkowéj znajomości serca kobiecego także nie widać w nowellach Hajoty; to co ona mówi o uczuciowych tajemnicach niewieścich, nie raz i nie dwa powiedzieli już powieściopisarze mężczyzni.

I podobno cechą-to jest najważniejszą talentu Hajoty, że, jak dotychczas nie ma on cech sobie właściwych, że nader łatwo ulega wpływowi silniejszych od siebie a spółczesnych uzdolnień, że z wirtuozyą niemałą przybiera ton i nastrój obcy. Opowiadania z życia biednych ludzi pisane przez Bolesława Prusa zrobiły wrażenie na czytelnikach wogóle; nic więc dziwnego, że się na czułéj i delikatnéj wyobraźni nowellistki odbiły silniéj i wyraźniéj, a zarazem pobudziły ją do czynności w tym samym kierunku. Autorka nie znała wprawdzie, a co większa nie odczuwała tak silnie smutków życia wyrobniczego jak Prus, ale artystycznie zrozumiała wartość takiego tematu i... napisała dwie nowelle: „Dzień zaduszny Adamka" i „Dzwonek." Sposób przedstawienia w nich takiż, jak u Prusa; pewien przedmiotowy niby spokój, unikanie wszelkiéj patetyczności, pozostawienie swobody wylewania łez czytelnikowi bez ich wyciskania gwałtem. Forma tedy zachowana na pozór w zupełności. Nie brak téż i treści smutnéj. Dziecko-sierota spragnione uśmiechu, pocałunku, możności wymawiania imienia matki; stróż mieszkający w bramie, którego żona schorowana potrzebuje spokoju i ciepłego powietrza, gdy tymczasem goście z hałasem na bal do gospodarza się zjeżdżają: to są temata, mogące istotnie wywołać głębsze wzruszenie. A jednak w nowellach Hajoty one go nie wywołują. Dla czego? Może dla tego najprzód, że jest w nich pewien fałsz psychologiczny, a jeżeli nie fałsz, to brak uzasadnienia obserwacyi faktu prawdziwego. Zarówno ów sierota Adamek, jak stróż i jego żona to istoty ze zbyt wydelikaconemi nerwami, istoty, które nie tak często w warstwie przez

autorkę opisywanéj znajdujemy. Ciężkie warunki życia, hartowanie nerwów wśród różnorodnych upokorzeń i prywacyj zabezpiecza po większéj części ludzi tych od katastrof, będących częstszemi tam, gdzie życie wygodniejsze, a swoboda dogadzania swym chęciom czy kaprysom łatwiejsza i częstsza. Lecz owe osoby mogły być wyjątkami. Nie myślę utrzymywać, żeby wyjątki nie miały prawa istnienia w powieści lub nowelli, i żeby nie mogły wywołać równie silnego wzruszenia jak osoby w normalnych występujące warunkach. Czytelnik jednak musi znać przyczyny téj wyjątkowości, musi wiedzieć, że to nie kaprys autorski zrobił je tak nerwowemi, lecz że one innemi być nie mogły w rzeczywistości. Hajota takiego umotywowania nie podała, nie zagłębiła się w dusze swych bohaterów: stąd uczucia ich wydają się wyszukanemi, egzaltowanemi. A obok tego błędu psychologicznego jest w tych nowellach błąd artystyczny. U Prusa pod pozornym spokojem i chłodem kryje się drżące od wzruszenia spółczucie dla biednych i nieszczęśliwych. U Hajoty spółczucie jest także i to uwidocznione bardziéj aniżeli u Prusa, ale uwidocznione tak jak się wypowiadają słowa politowania nad strasznym losem nieznanych nam ludzi o sto mil od nas;—spółczucie to chłodne, jakby wymuszone obowiązkiem... nowelistycznym.

Obrazki Orzeszkowéj „Z różnych sfer“ mogły dać Hajocie powód do napisania nie nowelli, ale obrazków p. n. „W porę,“ „Nasza lampa.“ W pierwszym widzimy starego kawalera i starą pannę, znających się już od lat niepamiętnych, którzy do siebie tak przywykli, iż przepędzenie wieczoru bez gawędki, herbatki i gry w szachy uważali niemal za niemożliwe. Choroba starego kawalera, podczas któréj stara panna wycierpiała męki straszliwe, nie mogąc go mieć u siebie i nie mogąc pójść do niego, nasunęła im myśl, że łączność ich przywyknień tyloletnią znajomością ugruntowana usposabiała ich na małżonków, że żyjąc pod jednym dachem, nie byliby już nigdy narażeni na niewidywanie się w skutek choroby. Marzyli słodko przez chwilę, ale opatrzyli się w porę. Dotychczasowe ich stosunki ograniczały się zazwyczaj do pory wieczornéj, kiedy pili herbatę, grali w szachy i gawędzili. Gdy mieli zamieszkać pod wspólnym dachem wystąpiły na jaw różne drobne kwestye. Stary kawaler lubił dalekie przechadzki, stara panna nigdyby nie zaszła piechotą do ogrodu Botanicznego, p. Teodozy wolał mieszkać od frontu i na dole, panna Róża—w oficynie i na piętrze. Najważniejszą atoli okazała się kwestya godziny obiadowéj. P. Teodozy jako urzędnik jadał obiad o 3-éj, panna Róża, nie mająca żadnych zajęć obowiązkowych, obiadowała punkt o 1-éj, a gdyby o téj godzinie nie zjadła, nie miałaby już najmniejszego apetytu. Chciał tę trudność ułatwić p.

Teodozy przez roszowanie jak w szachach: kawę przenieść na miejsce obiadu, obiad na miejsce kawy, ale okazało się, że panna Róża, gdy zje co przed obiadem, również traci apetyt i obiadu już jeść nie może. Powstała sprzeczka, z początku spokojna, potem coraz żywsza, aż nareszcie p. Teodozy powiedział, że panna Róża jest samolubna, a panna Róża panu Teodozemu, że wyrządza jéj impertynencyę we własnym jéj domu. „A to to tak—zawołał Teodozy zrywając się z krzesła,—to to tak!—powtórzył i chwycił za kapelusz. W moim własnym domu!—ciągnął dalej, szukając gorączkowo rękawiczek, które mu się gdzieś jak na złość zapodziały. Panna Róża mi swoim domem zaczyna oczy wykłuwać! To znaczy, że ja tu za często przychodzę, to znaczy, że moja obecność jest natrętną! O! poprawię się! poprawię! może być panna Róża pewną. Nauka nie pójdzie w las. Jestem impertynent, bardzo pięknie, bardzo pięknie, a ponieważ nerwowe damy nie powinny mieć do czynienia z impertynentami, więc upadam do nóg, moje uszanowanie! I z temi słowy pan Teodozy wyszedł z pokoju, zamknąwszy drzwi głośniéj, niż tego obluzowana klamka wymagała.“ Rozstali się—ale nie na długo. Długoletnie przywyknienie silniejszém było od chwilowego rozdraźnienia, zatęsknili do wspólnéj herbatki, gawędki i gry w szachy, zeszli się znowu, tylko myśl o zamieszkaniu pod wspólnym dachem zarzucili nazawsze. Obrazek ten jest rzeczywiście bardzo udatny; uczucie głębsze było tu zbytecznem, autorka chłodno patrząc na swoje figury i odtwarzając ich zewnętrzne kontury, spełniła w zupełności artystyczne zadanie. Drugi obrazek „Nasza lampa,“ w któréj uczucie odgrywa rolę ważniejszą, o wiele mniéj zadawalnia. Młode małżeństwo żyje w schludném ubóstwie, przez czas jakiś kocha się gorąco, bo się pobrało z miłości; z czasem jednak żona zapragnęła bogactw i uciekła z tym, co je mógł przed nią roztoczyć; mąż odchorował ten cios, w czasie choroby jego sprzęty gdzieś poznikały, a wraz z niemi jedyny bogatszy i ozdobniejszy: lampa. Po wielu latach ujrzał jak ją sprzedawano na licytacyi, kupił i zatrzymał jako pamiątkę chwil szczęśliwych.

Nowella „Wachlarz“, mająca swe pierwowzory we francuskiéj głównie powieści, ma charakter bardziéj kosmopolityczny; ze zmianą nazw miejscowości równie dobrze we Francyi jak w Anglii możnaby treść w niéj zawartą pomieścić. Postać kokietki, mszczącéj się za zawód w pierwszém swém uczuciu doznany, postać młodzieńca o rozwiniętym umyśle a miękkiéj woli nie przedstawiają nic nowego w belletrystyce. A jednakże opowiadanie czyta się z zajęciem. Forma dobrze odpowiadająca treści, skupiająca w szczupłych stosunkowo rozmiarach wiele przejść i zmian wewnętrznych sprawia, że czy-

telnik nie uczuwa znużenia. Młodzieniec, co był mamiony miłością kokietki, opowiada swoję historyą temu, który się obecnie z nią żenić zamierza, a który wszelkie doskonałości w niéj widzi. Przez ciąg opowiadania ani jeden ani drugi nie domyślają się, że losy ich około téj saméj zeszły się kobiety; dopiero wachlarz pamiątkowy odkrywa narzeczonemu słowo zagadki. Śmierć nieszczęśliwego kochanka, zerwanie z narzeczoną, która w dwa lata potém wyszła za milionowego przemysłowca, stanowią finał nowelli. Autoepicznemu sposobowi opowiadania téż same można zrobić zarzuty co i u Hodiego, ale zresztą przeciw zewnętrznemu prawdopodobieństwu autorka nie wykracza.

„Szkice kąpielowe“ wreszcie są utworem pisanym według staréj przed-trzydziestoletniéj co najmniéj metody. Częste mieszanie się autorki do spraw osób, o których opowiada, przemowy do czytelnika, tworzenie figur maryonetkowych, umyślnie na to, ażeby śmieszyły, styl brawurowy: oto cechy najważniejsze. Pomysłowości, świeżości spostrzeżeń nie ma prawie wcale; wszystko się rozwija według już oddawna używanego szablonu. Sadzenie się na dowcip, który jakoś na zawołanie przyjść nie chce, sprawia czasami nader przykre wrażenie.

Atmosfera nowel Hajoty, z wyjątkiem „Szkiców kąpielowych“, przejęta jest smętkiem; nieszczęścia i zawody najczęściéj ją wypełniają. Inaczéj się przedstawia „Cudzoziemiec“ p. Zofii Urbanowskiéj. Tu całość przeniknięta jest dziecięcą, niemal pustą wesołością, nie dlatego żeby w treści opowiadania istniały same tylko zdarzenia szczęśliwe, sama radość i uciecha, lecz dlatego, że autorka umie nadzwyczaj swobodnie prześlizgiwać się po tragicznéj powierzchni, w głąb nie zaglądając i zawsze w rezultacie dojdzie do jakiegoś zakątka, w którym śmiech i radość panuje. Główną postacią, od któréj ta wesołość bije, rozlewając się na cały utwór, jest młoda dziewczyna wychowana na wsi, samowolna, kapryśna, nie zważająca na żadne konwenanse, rozmowna i dowcipna. Bawi ona wraz z babką u wód, zapoznaje się z leczącym się tamże Dawisonem, występuje bardzo otwarcie ze swym niepokonanym wstrętem do Niemców i z tego powodu stacza utarczki i słowne i czynne z młodzieńcem, który naumyślnie dla wypróbowania dziewczyny przedstawił się jéj jako zabity Brandeburczyk. Utarczki te dochodzą np. do tego, że dziewczyna w żartach nie dopuszczając młodzieńca do swego ogródka, wylewa nań konewkę wody, czem się wcale ani jedna ani druga strona nie dekoncertuje. Zamiłowanie zaś swobody i prostoty przyzwyczajeń objawia się między innemi w ten sposób, że dziewczyna przebrana za wieśniaczkę, wpuściwszy kury i gęsi do pilnie strzeżo-

nego ogrodu, musi szukać schronienia na drzewie przed objawami gniewu bolejącego nad stratą swoją ogrodnika. A to wszystko opowiedziane tym tonem lekkim i swobodnym, który ani na chwilę nie traci rezonu i z każdego najprzykrzejszego nawet położenia uśmiecha się, żartuje, wiedząc, że z niego albo wyjść albo wyskoczyć potrafi. Gdy się w ten sposób rzecz przedstawia, wszystko się wydaje nie tylko możliwém i prawdopodobném, ale prawdziwém, najprawdziwszém w świecie. A powtóre wszelkie smutki, wszelkie groźne nawet wypadki zjawiają się tylko jak chmurki białe na pogodném zresztą niebie mknące z chyżością nadzwyczajną. Więc też ani krwawa tajemnica rodzinna (młodzieniec ów był synem zabitego przez ojca panny), ani choroba Dawisona, około którego wszystkie wypadki się skupiają, ani zrzucenie w przepaść młodzieńca przez pannę nie wywierają na ogólny nastrój wpływu trwałego; wszystkie trudności łatwo się usuwają, wszystkie przeszkody znikają, wszystkie niebezpieczeństwa mijają; i wszystko szczęśliwie się składa ku zadowolnieniu i bohaterów i czytelników. O głębszą myśl nie chodziło i nie mamy prawa jéj się domagać. „Cudzoziemiec“ jest humoreską jowialną, w któréj ani o charaktery, ani o namiętności, ani nawet o artyzm się nie dba, lecz tylko o wywołanie zdrowego, głośnego z pełnéj piersi śmiechu... Z takiego zadania wywiązała się autorka szczęśliwie.

O ile dotychczas rozpatrywani powieściopisarze odznaczali się wogóle stylem i językiem poprawnym, o ile albo kunsztownie, albo choć znośnie władali środkami artystycznemi; o tyle dwaj autorowie, których prace mamy jeszcze rozpatrzeć, muszą jeszcze dużo pracować nad sobą, jeżeli chcą, ażeby się pod tym względem do tamtych zbliżyli. W języku ich są liczne rusycyzmy lub wogóle zwroty obce mowie naszéj; stylowi brak potoczystości, a nawet poprawności, układ artystyczny jest wielce wadliwy. Nie będę tu szczegółowo usterków tych wskazywać; jest ich bowiem dużo, zwłaszcza u p. Iłgowskiego; baczne przejrzenie przez autorów tego co wydrukowali, porównanie z utworami pisarzów wzorowych wskaże im ich błędy a może od nich na przyszłość uchroni. Prawdopodobnie nie lekceważenie swojéj roboty, ale przyzwyczajenie jakiego nabrali wśród otoczenia, nie odznaczającego się poprawnością mowy i stylu, jest powodem ich usterek; zwrócenie na nie uwagi może będzie dostateczném do usiłowania otrząśnięcia się z nich.

Autor „Wpływu Świata“ i jego dalszego ciągu p. n. „Czy zwycięży“ jest zjawiskiem dziś już niepowszednióm. Nie tylko osnowę powieści swojéj poczytuje i wystawia jako historyą rzeczywistą, ale

nadto na wzór historyków pragmatycznych stara się z niéj wyciągnąć na korzyść czytelników przestrogi i reguły postępowania, któremi w życiu kierować się winni. Z takiego pojęcia o zadaniu utworu wypłynęło oczywiście postawienie artyzmu na ostatnim planie jako rzeczy zupełnie podrzędnéj, bez któréj treść obejśćby się mogła. To téż dzieło naszego autora, rozpatrywane z artystycznego punktu widzenia, musi być uważane głównie za *materyał* do powieści, z grubsza obrobiony, nie zaś za powieść wykończoną. Jako zbiór materyałów ma ono zalety nieladajakie. Przedewszystkiem prawie niewątpliwą jest ich autentyczność; naturalnie autor nie był świadkiem naocznym wszystkiego, co opisuje; bardzo wiele szczegółów, jak np. treść całéj pierwszéj części miał z opowiadania osób, które brały udział w opisanych tam wypadkach; ale zarówno to, co sam obserwował, jak to, co od innych słyszał, powtarza wiernie; daje zatém spostrzeżenia wprost z życia brane. Książkowe reminiscencye, grające tak znaczną rolę w utworach wielu naszych powieściopisarzy, redukują się tu do dozy jaknajmniejszéj. Może autor jest stronnym w opowiadaniu, możebyśmy trochę inaczéj osądzili osoby przezeń na widownię wyprowadzone, gdybyśmy ich dzieje poznali z ust innego świadka lub uczestnika w wypadkach; ale bądź-co-bądź, stronne czy nie, wiadomości jego nie są z wyobraźni, lecz z rzeczywistości wzięte. Jakoż pomimo braku artyzmu, postacie główne są to istotnie ludzie z krwi i kości, nie zaś cienie, maryonetki lub karykatury.

Ksiądz Maryan, figura górująca w całym utworze, jest-to natura gruba, zmysłowa; człowiek, który pomimo poloru salonowego zapominał się często i dawał poznać swe dziecinne jeszcze rubaszne nawyknienia, który pomimo nauki i spełniania godności kapłańskiéj nie wyzuł się z niskich instynktów i brutalnych namiętności. Przewrotność moralna posługiwała mu w jego czynnościach, mających zawsze i jedynie na celu dogodzenie niskim chuciom, pragnieniu absolutnych nad ludźmi podległemi mu rządów, wściekłéj żądzy deptania i miażdżenia opornych. Egoistyczny do szpiku kości umiał przybierać pozory wylania się dla bliźnich a zwłaszcza dla ogółu wówczas, gdy czyn jego mógł się stać głośnym i posłużyć mu za szczebel do karyery. Siła fizyczna, przebiegłość i obłuda zapewniały mu bezkarność przez czas bardzo długi.

Brat jego Maksym odznacza się tąż samą cechą dziedziczną, temperamentem gwałtownym, popędami poziomemi, żądzą panowania; lecz brak ukształcenia a nawet ogłady sprawia, że objawy tego temperamentu są odmienne. Przebiegłości niema, obłudy jako środka działania nie używa, siłę brutalną wywiera na wszystkich,

którzy są od niego słabsi i na rzeczach martwych, żonę kopie nogami, córkę katuje, krzesła i meble wogóle łamie, talerze i garnki tłucze, dom podpala w pasyi; widząc się niższym umysłowo od otoczenia, upokorzenie topi w wódce. Chwilami z poza zwierzęcia wychyla się twarz i dusza ludzka, lecz niebawem popędy zamienione w nałóg zacierają te rysy szlachetniejsze; dopiero kiedy się siły młodości wyczerpały, poszedł do powstania, by zginąć przynajmniéj jak człowiek.

W postaciach kobiecych uwydatnia autor nie to, co stanowi zazwyczaj u powieściopisarzy główną ich zaletę t. j. urok zmysłowy, lekkość, powiewność, wdzięk i elegancyą, w usposobieniu tkliwość, w charakterze miękkość, lecz wykształcenie, wytrwałość, energię i siłę woli. Taką, całkiem zresztą nieładną kobietą, jest we „Wpływie świata" Emma, która zostawszy sama, gdyż mąż jéj Maksym straciwszy jéj majątek, porzucił ją, potrafiła dać sobie rady sama i wychować córkę. W powieści „Czy Zwycięży?" występuje ta właśnie jéj córka, która obok przymiotów swéj matki, odziedziczyła piękność po ojcu; jéj to rozum i wytrwałość wśród najzawikłańszych i najgroźniejszych okoliczności wykazana ratuje spokój, honor i majątek rodzinny; oswabadza ją z pod zamachów i sideł rozpustnika i hipokryty księdza Maryana.

To są osoby najgłówniejsze i najdokładniéj skreślone nie tyle w opisach i określeniach, ile w samém działaniu i własnych ich słowach; inne są albo podrzędne albo epizodycznie tylko wprowadzane; we wszystkich atoli, z małemi wyjątkami, widnieje prawda życiowa. Do wyjątków, które rażą, należy najprzód ów nieznany dobroczyńca, co w najnaglejszéj potrzebie pożycza Alinie 60 tysięcy, nie znając jéj nawet osobiście, a powtóre karykaturalne postacie kumoszek wielkiego niby świata, które bez najmniejszéj dystynkcyi i bez zachowania choćby grubszych pozorów narzucają swe córeczki... żonatemu człowiekowi, mężowi Aliny, doradzając mu rozwód.. Ta szarża, mająca uwydatniać z jednéj strony zepsucie wyższego towarzystwa, z drugiéj niebezpieczeństwa, wśród których działała Alina, są już po prostu wynikiem niehamowanéj żadnemi względami nienawiści do osób, co się do nieszczęść bohaterki przyczyniali.

Co do malowania uczuć, to się najlepiéj autorowi udały wybuchy gwałtowne, brutalne i niektóre wylewy satyryczne. Uczuć miłosnych bardzo jest mało w ciągu całych trzech tomów; możnaby nawet powiedzieć, że ich wcale niema; raz tylko chciał autor dać poznać chwilę rozpaczy swéj bohaterki, kiedy dla odwrócenia posądzeń, zdecydowała się na rozstanie z kochankiem, ale w téj sce-

nie, skreślonéj przesadnie, uwidoczniła się słaba strona talentu. Podobnież uczucia łagodne, rzewne nie znajdują w autorze właściwego tłómacza. Wesołość swobodna jest mu prawie nieznana; od początku do końca przejęty groźném położeniem swych bohaterek jest poważnym niemal jak sędzia.

Rozwój powieści jest biograficzny; autor podnosi ważniejsze chwile z życia swych dwu bohaterek i uwydatnia je zazwyczaj w formie poważnéj relacyi; rozmowy wypadają wogóle rzadko i trzymają się toru interesów i widoków, jakiemi zajęci są rozmówcy. W analizę uczuć i myśli swych bohaterów wdaje się autor rzadko; woli, ażeby czytelnik widział je sam w szeregu faktów, których dostarcza dużo. Przygotowań czytelnika do pewnéj sceny unika; i w tém grzeszy, nie przez to, że długich wywodów oszczędza czytelnikowi, ale przez to, że brak mu umiejętności zestawienia faktów tak, ażeby następne były wypływem poprzednich. Skutkiem zaniedbania w tym względzie wiele faktów, które są, zdaje się, zupełnie prawdziwemi, wygląda nieprawdopodobnie.

Gdyby temat i materyały zebrane przez autora „Wpływu świata“ obrobił talent od niego silniejszy i bardziéj artystycznie wyrobiony, mielibyśmy utwór, któryby się dodatnio wyróżnił od téj pokaźnéj liczby naszych powieści, pisanych nie z obserwacyi życia, lecz ze studyowania książek. Nie można tego powiedzieć o kartce z lat minionych p. Iłgowskiego p. n. „Z przełomu.“ I tu wprawdzie wybór tematu ze wszech miar zasługuje na pochwałę; przedstawienie bowiem ruchu umysłów na Litwie w czasie przygotowywania i dokonywania reformy włościańskiéj, dawało sposobność do rozwinięcia i wielkiego talentu artystycznego i wielkiéj bystrości psychologicznéj, a obdarzyłoby literaturę naszę dziełem, którego jéj całkiem brakuje. Osoby atoli wyprowadzone na scenę przez p. Iłgowskiego są zbyt spowszedniałe i pod względem charakteru i pod względem zakresu wyobrażeń, ażeby mogły posłużyć za wyobrazicieli tych różnorodnych usposobień i kierunków, jakie w owéj pamiętnéj chwili istniały. Kwestyą uwłaszczenia zwikłał autor z całkiém inną kwestyą przesądów odnoszących się do dobrego lub złego urodzenia; to też ani jednéj ani drugiéj należycie i właściwie nie tylko nie rozjaśnił, ale i nie przedstawił. Utwór wygląda jak robota pośpiesznie, bez obmyślanego planu dokonana. W żadnym względzie nie odznaczył się autor jako istotny powieściopisarski talent; ani w charakterystyce, ani w kreśleniu uczuć jakichkolwiek, ani w budowie, ani w stylu. Przebłyskuje tu i owdzie jakiś pomysł świeższy (przeciwstawienie księdza pasibrzucha księdzu rozumiejącemu swoje zadanie społeczne, syna szlacheckiego z Litwy — chłopu

ze Szląska, obrazek kółka młodzieży sympatyzującego szczerze ze sprawą uwłaszczenia ludu), ale pomysły te są tak licho wykonane, iż się rozpływają wśród masy komunałów. Artystycznéj dbałości o wykonanie scen i ich połączenia trudno się dopatrzeć. Autorowi przyznać można tę tylko zasługę, że zwrócił uwagę na brak zupełny obrazu społeczeństwa naszego podczas tak doniosłéj chwili, jaką stanowi niewątpliwie wyzwolenie i uwłaszczenie warstw ludowych. Ktoś ze świadomych rzeczy a obdarzonych talentem prawdziwym powinienby ten brak zapełnić.

W powyższym przeglądzie nie wyczerpnąłem bynajmniéj listy wszystkich debiutantów powieściowych; możnaby jeszcze liczbę ich znacznie pomnożyć; możnaby się rozpisać o pannie Jarmund, która protestowała przeciw nazwaniu jéj Jarmundówną, o Kazimierzu Glińskim, Julianie Moroszu, Korwinie, i kilku innych jeszcze, ale były względy, które mi zrobić tego nie pozwoliły. Niektórzy (jak Kazimierz Gliński, a po części Morosz) dali się poznać w *Ateneum*, a pisać o tych ich pracach mnie nie wypadało; innych—utwory nie wyszły w książkowéj formie, z luźnego czytania w czasopismach trudno sobie wyrobić sąd o artystycznéj wartości utworów; przy innéj sposobności z niemi zaznajomić się postaram.

Uogólniając wrażenie, jakiego się doznaje po odczytaniu pierwszych owych prac w dziedzinie powieściopisarstwa, da się powiedzieć na niekorzyść, że pierwszorzędnego talentu wśród tych debiutantów niema, że przeważa u nas ciągle jeszcze tworzenie powieści z innych powieści a nie wprost z życia, że temata przez autorów obierane są zazwyczaj niewielkiéj doniosłości społecznéj;— na korzyść zaś, że się bądź-co-bądź ukazują autorowie choć w jednym jakimś przymiocie doborowi, że się kształci poczucie artyzmu, lubo bardzo powoli, że przekonania i poglądy autorów rozwijają się w kierunku postępowym; powieściopisarza reakcyjnego dzisiaj podobno nie mamy. Wobec takiego stanu naszéj beletrystyki nie można wprawdzie jaśnieć radością, ale też i chmurzyć się bardzo nie ma potrzeby.

Piotr Chmielowski.

NOWE DZIEŁO STATYSTYCZNO-HISTORYCZNE.

Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym opisana przez Adolfa Pawińskiego. Wielkopolska, 2 tomy. Warszawa 1883 r.

W ostatnich czasach zaczęli historycy zwracać większą uwagę na dzieje wewnętrzne państw, nie poprzestając na ich dziejach politycznych, wojskowych i dyplomatycznych. Przekonano się, że dla zrozumienia wielu wypadków dziejowych nie dosyć jest zgłębić tajniki dyplomacyi i plany monarchów i wodzów; w wielu razach rozstrzygającém było położenie wewnętrzne tak materyalne jak i moralne państwa i wielkość jego zasobów. Żeby poznać znaczenie tych czynników, potrzeba było pomocy nauki bardzo młodéj, wywalczającéj dotąd prawo istnienia samoistnego pomiędzy swemi starszemi siostrzycami. Tą nauką jest statystyka a jéj znaczenie i doniosłość dla męża stanu i dla zarządu państwa, od bardzo niedawna zostały poznane.

Pierwszy z historyków Buckle (1) podniósł wielkie znaczenie prac statystycznych Quételeta i chociaż trochę tendencyjnie z nich korzystał dla uzasadnienia swojéj teoryi determinizmu, zaprzeczającéj wolności woli ludzkiéj i wyprowadzającéj wszystkie wypadki świata ludzkiego jak świata materyalnego ze stałych i nie odmiennych praw, jednak zawsze zwrócił uwagę historyków na materyał, który im statystyka, dla scharakteryzowania pewnych epok historycznych i zrozumienia wypadków, dostarczyć jest wstanie.

Przed Buckle'm jeszcze Leopold Ranke wskazał na znaczenie historyczne *relazioni* weneckich tj. sprawozdań posłów rzeczypospolitéj weneckiéj o stosunkach kraju, do którego byli posłani.

---

(1) *Buckle*: Geschichte der Civilisation etc. deutsch v. A. Ruge, 1860, I. str. 196.— *Alex. v. Oettingen*: Moralstatistik. Erlangen 1868,, str. 155 i nast.

U nas od bardzo niedawna zaczęli historycy zaglądać do materyałów statystycznych i z dawniejszych tylko u *Staszica*, w „Uwagach nad życiem Jana Zamojskiego“ itd. z 1785 r. znajdujemy niektóre cyfry statystyczne.

Pierwszą udatną próbę przedstawienia stanu Rzpltéj Polskiéj pod koniec XVIII wieku uczynił p. Tadeusz Korzon (1) na podstawie zebranego materyału statystycznego. Mamy obecnie już drugi tom jego dzieła wydanego kosztem Akademii nauk w Krakowie.

Profesor Adolf Pawiński pracując nad dziejami skarbowości za panowania Stefana Batorego, poznał wielką wartość ksiąg skarbowych XVI wieku szczególniéj z czasów panowania wspomnianego króla, i postanowił przez ich wydanie przedstawić stan Polski XVI w. pod względem geograficzno-statystycznym. Mamy obecnie przed sobą początek tego wydawnictwa, księgi skarbowe odnoszące się do Wielkopolski w dwóch tomach z obszernym wstępem o 170 stronnicach, obejmującym następujące przedmioty: o źródłach do geografii i statystyki Polski XVI w., przedstawienie rozległości, ludności i stosunków własności ziemskiéj.

Autor rozpoczyna swój wstęp określając wielkie, znaczenie statystyki dla badań historycznych. „Liczby statystyczne stanowią nieodzowny warunek prawidłowego i trafnego rozwiązania zagadnień z zakresu życia wewnętrznego każdego kraju, każdéj społeczności.“

Następnie wspomina autor, że naprzód zwrócono uwagę na znaczenie materyału statystycznego zawartego w księgach i regestrach skarbowych, dotyczących podatków pobranych i stanu skarbowości. Regestra te powołały do życia względy zupełnie praktyczne. Tak wspomina autor jako o pomniku nieocenionym o zwojach papierowych regestrów podatkowych arabskiego państwa chalifów bagdackich z VIII wieku naszéj ery. Dają one najdokładniejszy obraz pod względem geograficznym i finansowym dwudziestu kilku prowincyj obszernego państwa.

W Polsce podskarbstwo koronne czyli ministeryum skarbu pozostawiło w swych archiwach najcenniejsze skarby, których opracowaniem nie zajęto się dotąd. Wprawdzie A. Przezdziecki ogłosił księgi podskarbstwa nadwornego z czasów Władysława Jagiełły, Kętrzyński—Księgi poborowe Malborskie, również wydano księgi uposażeń kościelnych (*Liber beneficiorum*) Łaskiego i Długosza

---

(1) Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta p. T. Korzona. Kraków, t. I. 1882 r. i t. II 1883 r.

i X-że J. T. L. (1) w swych trzech rozdziałach z dziejów skarbowości rzucił wiele światła na stan skarbowości w Polsce, ale księgi podskarbińskie XVI wieku nie znalazły jeszcze dotąd wydawcy i nie doczekały się szczegółowego opracowania.

Materyały archiwum podskarbstwa mają wartość różną, wedle tego z jakiego okresu skarbowości w Polsce pochodzą. Dzieje skarbowości dzieli autor na trzy okresy.

Pierwszy okres rozpoczyna się od czasu ustalenia ogólnéj izby poselskiéj tj. od końca XV wieku, trwa przez cały wiek XVI i sięga w pierwsze dziesiątki następnego stulecia. W tym okresie sejm walny koronny był źródłem władzy ustawodawczéj i jednoczył w sobie wraz z podskarbim koronnym i królem—władzę kontrolującą, władzę sprawdzającą wszelkie regestra dochodów i rozchodów państwa. W tym okresie rozwinęła się dokładna rachunkowość, wyrobiły się urządzenia skarbowe i powstały zasady kontroli.

Następny okres rozpoczyna się mniéj więcéj od śmierci Zygmunta Wazy i sięga aż do czasów Stanisława Augusta. Słabnie w tym okresie siła dośrodkowa urządzeń skarbowych. Sejm utracił dawne prawo kontrolowania wszelkich przychodów i wydatków, które przeszło na ziemie i województwa. Do sejmu przychodziły pod rozpoznanie i roztrząśnienie tylko rachunki ogólne często bardzo niedokładne i rozproszone. W XVII w. wykazy poborowe, w skutek wywrócenia systemu jednostajnego opodatkowania przez sejmujące stany, obejmują tylko ogólną liczbę dymów wiejskich.

W trzecim okresie, od chwili ustanowienia za Stanisława Augusta komisyi skarbowéj i rady nieustającéj, zarząd skarbowości doczekał się lepszych czasów. Ale krótkie trwanie tych instytucyj nie dało czasu do nagromadzenia się materyału w archiwach.

W tomie VIII „Źródeł dziejowych“ (2) dał autor obraz szczegółowy urządzeń skarbowych w Polsce w połowie XVI wieku.

Regestra podatkowe oprawne są w wielkie księgi, lecz chociaż pozostało kilka tysięcy pojedyńczych regestrów z XVI wieku, niepodobna było dobrać takich z całéj rzeczypospolitéj, któreby się odnosiły do jednego i tego samego roku, albowiem ich ugrupowanie nie jest wedle współczesności ale według województw oddzielnych i nie w ścisłém następstwie czasu.

---

(1) Trzy rozdziały z historyi skarbowości w Polsce 1507—1532. Kraków, 1868 r. przez *L*...

(2) Źródła dziejowe t. VIII. Skarbowość w Polsce za Stefana Batorego przedstawił A. Pawiński, Warsz. 1881.

Wydając obecnie regestra skarbowe, położył sobie autor za zadanie odbudować w całéj pełni Polskę XVI wieku, z jéj liczną rzeszą miast i miateczek i z tysiączną drużyną jéj wsi, siół i osad. Co do miast i miasteczek utorowały drogę prace Balińskiego i Święckiego, chodziło zatem o wymienienie wsi, wszystkich bez wyjątku, również osad najmniejszych i złożonych z kilku morgów zagród szlacheckich.

Jako rok, do którego miały się odnosić wydane obecnie regestra poborowe, przyjął autor 1578. Było to przed wojną z Iwanem Groźnym, kiedy na sejmie uchwalono pobór, podniesiono stopę podatkową, przedsięwzięto wszelkie środki, aby podatki wpłynęły do skarbu całkowicie, nieuszczuplone przez nadużycia ani opodatkowanych ani egzaktorów poborowych. Regestra poborowe z 1578 r., przez cały czas panowania Batorego, służyły w podskarbstwie za podstawę do obliczenia przewidywanych na ten lub inny rok dochodów publicznych. Rok 1578 uważano za rok najobfitszych dochodów państwa.

Określiwszy wartość ogólną ksiąg skarbowych XVI wieku, podaje autor opis ich szczegółowy.

Osnowę regestrów stanowią szczegółowe rachunki z podatku pobranego przez poborcę sejmowego. Za podstawę swéj rachunkowości bierze zwykle poborca parafie, wyliczając po szczególe jednę za drugą ze wszystkiemi wsiami, które do niéj należą. Po wymienieniu nazwy wsi następuje, niekiedy w pierwszéj połowie XVI w., zawsze zaś za Batorego, wyszczególnienie z imienia, nazwiska i godności—dziedzica jéj czy czasowego posiadacza lub dziedziców, jeśli ich bywa więcéj, jak np. we wsiach szlacheckich czy zagrodowych. Następuje potem wykaz łanów kmiecych, z których opłacano pobór sejmowy, w każdéj wsi po szczególe.

W tych zaś ziemiach lub województwach, w których nie było włók mierzonych, płacono podatek nie z łanu, ani z włóki, tylko z każdego pługa, który wychodził na robotę jak np. w ziemi halickiéj, w województwie podolskiem. W Kijowszczyznie i na Wołyniu dawano pobór z każdéj służby osiadłéj, na którą zwykle dwa dymy liczono, te zaś równały się co do opłaty poborowéj także jednéj włóce.

W regestrach poborców mieszczą się oddzielnie spisy, poświęcone wyłącznie wykazom podatków pobranych z miast i miasteczek. Podatki te były: podatek szosu czyli opłata z domów i podatki konsumcyjne, mianowicie czopowe.

Pod koniec regestru kładziono sumę ogólną, czyli tabelaryczny i treściwy wykaz liczb, które powstały z oddzielnych pozycyj po-

datkowych. Podawano więc liczbę łanów kmiecych, łanów szlachty, zagrodowéj, ilość karczem i młynów.

Regestra poborowe pisano po największéj części po łacinie jednak po polsku sporządzony był cały regestr poborowy z r. 1580 województ. podlaskiego, w niemieckim zaś niektóre regestra z województw pruskich.

Polska w połowie XV wieku, zwłaszcza za Jagiełły, cieszyła się największém ożywieniem w uprawie rolnéj i w karczowaniu lasów. W okresie świetnym dwóch ostatnich Jagiellonów, dawna wielka, rozciągła sieć osad i wsi, mimo kolonizowania Rusi, Wołynia i Podola, już znacznie kurczyć się zaczęła. Porównywając księgi sądowe z początku XV wieku, z regestrami poborowemi XVI w. znajdują się istotnie tu i owdzie pewne braki. W XVII zaś wieku po najściu i spustoszeniu szwedzkiem, poginęły nazwy geograficzne wraz z siołami, które najazd zamienił w perzynę. Zatém spisy geograficzno-statystyczne wsi i miast XVII w. nie mogły być użyte do wystawienia obrazu rzeczypospolitéj w poprzedniem stuleciu. Jednak z drugiéj strony przyznaje autor, że ogłaszane przez niego spisy wsi według parafij, są zupełnie kompletne i całkowite dla XVI wieku, niemogą jednak mieć téj saméj dokładności i pełni dla stosunków geograficznych poprzedniego stulecia.

Żeby zabezpieczyć skarb od ukrywania rzeczywistych stosunków podlegających opłacie poboru, wprowadzono w Polsce już w XV w. przysięgę, któréj używano i w XVI w. w tym samym celu. Następnie jednak dla większéj ścisłości zaprowadzono t. z. *rekognicye* czyli kwity albo zaświadczenia piśmienne dziedzica wsi, stwierdzone jego podpisem oraz pieczęcią, z wymienieniem ilu kmieci siedzi u niego na łanach, ilu zagrodników, ile karczem we wsi, ile młynów itp.

Z żalem wyznaje autor, że w regestrach poborowych brak zupełnie wiadomości statystycznych o gruntach dworskich, o folwarkach szlachty, które powszechnie nie podlegały opłacie podatku łanowego i dlatego w regestrach nie są wymienione.

Jednak pomimo tych braków, kładzie autor przycisk na to, że prawie po raz pierwszy w literaturze naszéj wyprowadził na jaw ten cenny dla badań materyał, który w dziesięciu po sobie idących tomach obejmie nie jednę ziemię, nie jedno tylko województwo lub prowincyą, ale cały obszar wielkiéj rzeczypospolitéj od Odry do Dniepru, od Baltyku aż do gór karpackich, jedném słowem Polskę, jaką ona była w swych granicach politycznych w XVI wieku.

Z prób wydawnictw na tém polu wymienia autor taryfę łanową województw: poznańskiego i kaliskiego, wydaną w 1766 r. w Po-

znaniu; Regestr poborowy Malborski z r. 1648, wydany przez Kętrzyńskiego w Poznaniu w 1871 r.; Regestr poborowy województwa Kaliskiego z 1618—1620 roku, wydany przez A. Parczewskiego w 1879 r.

Obecnie daje autor w dwóch tomach Wielkopolskę, w następnych siedmiu lub ośmiu wyjdą: Małopolska, Mazowsze, Prusy, oraz dalsze prowincye rzeczypospolitéj.

Autor podaje we wstępie jako wynik jego długich i mozolnych badań geograficzno-statystycznych nad Wielkopolską, naprzód rozległość każdego powiatu i województwa, rzecz poraz pierwszy przedstawioną, w rozdziale drugim—przybliżone obliczenie ludności i w trzecim—stosunki statystyczne własności ziemskiéj.

Nakoniec oznajmia autor, że porzucił chwilowo zamiar ogłoszenia szczegółowych map geograficznych Wielkopolski, które lubo przygotowane, wymagałyby jednak znowu trochę nakładu drogiego czasu.

Pierwszy rozdział wstępu obejmuje rozległość województw i powiatów. Autor rozpoczyna od przytoczenia poprzednich prac na tém polu i materyałów, z których mógł korzystać. I tak pierwszy, poseł sejmu czteroletniego, Moszyński przystąpił w 1789 r. do obliczenia powierzchni tylko województw, nie zaś pojedyńczych powiatów (1). Następnie w 1772 r. wydał neapolitańczyk Rizzi Zannoni mapę w formie atlasu, która dostąpiła smutnego zaszczytu, że na niéj wykreślono granice pierwszego podziału rzeczypospolitéj.

Do udatnych usiłowań zalicza autor pomiary pruskiego inspektora telegrafów A. Friedericha, w dziele wydaném w Berlinie w 1839 r. („Historisch-geographische Darstellung Alt und Neu Polens"). Następnie przytacza wielki atlas w 36 arkuszach pod tytułem: „Karta dawnéj Polski" wydany w Paryżu w 1859 r.

Pomimo tych prac poprzednich utrzymuje autor, że ma przed sobą wiadomości najzupełniejsze, na jakich zbywało od czasu upadku rzeczypospolitéj wszystkim, którzy się zajmowali sprawami geografii polskiéj.

Dla otrzymania granic najściślejszych każdéj jedności podziału terytoryalno-administracyjnego i dla wymierzenia jéj rozległości, posłużyły autorowi najprzód mapy o wielkiéj skali a potém obliczenia powierzchni dokonane z największą ścisłością. Jako mapę użył autor Kartę topograficzną Kr. Polskiego z 1839 r., wykonaną przez

(1) Tabele przy głosie JW. Moszyńskiego, sekretarza W. W. X Lit., posła Bracławskiego, mianym na sesyi sejmowéj w d. 19 kwietnia 1790 r. (patrz T. Korzon l. c. T. I, str. 79 i nast.).

generała Richtera, o skali 3 wiorst na jeden cal,—jest-to mapa sztabu generalnego. Dla prowincyj dawnéj Polski, które przeszły pod panowanie pruskie, użył mapy kwatermistrzowskiéj Reimana i mapy dawniejszéj Gilly'ego z r. 1802 i 1803.

Obliczenia powierzchni były dokonywane jednocześnie przez trzy osoby: autorowi bowiem dopomagali pp. Mazurowski i Stopelle, tak, że otrzymane rezultaty liczbowe są bardzo ścisłemi. — Rezultaty obliczeń podał autor w wiorstach kwadratowych, w kilometrach i milach geograficznych.

Podług obliczeń autora, Wielkopolska w obszerniejszém znaczeniu, jednak bez ziemi gostyńskiéj i rawskiéj załączonych do Mazowsza, wynosiła $1051_{,60}$ mil kwadratowych, według zaś rachunku Friedericha miała przestrzeni $1065_{,43}$ mil kw. Podług obliczeń Moszyńskiego z 1790 r. wypadałoby na Wielkopolskę daleko mniéj bo 882 mil kw., ale M. dał przestrzeń województw w epoce po pierwszym podziale Polski, wskutek którego odpadła od rzeczypospolitéj znaczna część wojew. poznańskiego (około 70 mil kw.) i rozległy pas ziemi nad Notecią z wojew. kaliskiego, czyli raczéj późniejszego gnieźnieńskiego i część wojew. inowrocławskiego.

Województwa pod względem rozległości idą w porządku następującym:

Wojew.	Kaliskie	$300_{,05}$	mil kw.
„	Poznańskie	$293_{,61}$	„ „
„	Sieradzkie z ziemią Wieluńską	$212_{,25}$	„ „
„	Łęczyckie	$79_{,50}$	„ „
„	Brzeskie	$59_{,48}$	„ „
Ziemia	Dobrzyńska	$53_{,60}$	„ „
Wojew.	Inowrocławskie	$53_{,11}$	„ „

Jeszcze znaczniejsze różnice co do wielkości znajdujemy pomiędzy 29 powiatami, przytoczonych wyżéj województw i ziem, kiedy bowiem powiat Poznański liczy $162_{,25}$ mil kw. — powiat Kruświcki ma ich zaledwie $6_{,26}$. Średnio na każdy z 29 powiatów przypada $36_{,26}$ mil kw.

Podział na powiaty miał dawniéj znaczenie więcéj sądowe. Powiat był obszarem ziemi stanowiącym okrąg sądowy sądu ziemskiego. W granicach danego powiatu mieszkająca szlachta sądzi się w sądzie, którego siedliskiem jest to lub owo miasto powiatowe. Ziemia np. Łęczycka dzieli się na trzy powiaty i ma trzy sądy ziemskie: w Łęczycy, w Orłowie i w Brzezinach.

Drugi rozdział wstępu traktuje o ludności. Autor daje na początku wykaz szczegółowy parafij, wsi i miast.

Parafij było 1117 (nie 117, jak pomyłkowo znajduje się u dołu w tablicy na str. 63) czyli średnio jedna parafia przypada na 0,94 mili kw.

Miast było w Wielkopolsce 247, czyli średnio na 5 mil kw. przypada jedno miasto. — Nakoniec wypada wsi w całéj Wielkopolsce 6,471, czyli na jednę milę kw. średnio 6,1 wsi.

Autor przechodzi następnie do ilości łanów kmiecych w każdym powiecie i w każdem województwie.

O łanach kmiecych z długiego szeregu lat znajdują się wiadomości w stosach ksiąg skarbowych, kiedy o gruntach dworskich niema żadnéj wiadomości. Autor przyjmuje, że w połowie XVI w. ustalił się mniéj lub więcéj taki stosunek, że kmiecie posiadali zwykle nieco większą połowę roli ornéj niżeli dwór szlachecki.

W opisie ziemi Czerskiéj przez księcia T. L. (1) znajdujemy, że grunta folwarczne około 1540 r. stanowiły zwyczajnie $^1/_3$ przestrzeń w stosunku do gruntów osiadłych przez kmieci.

Łan kmiecy odpowiada prawie zupełnie dzisiejszéj włóce mającéj 30 morgów 300-prętowych. Jednakże przyznaje autor, że wedle świadectw ówczesnych jak np. Modrzewskiego (o naprawie rzeczyposp.) — łany nie jednako są szerokie w każdym powiecie, ale niepodobna dziś uchwycić i określić tych różnic.

Wykaz łanów kmiecych podług powiatów i województw podaje autor dla dwóch lat: dla 1571 i dla 1590 r. W r. 1571 było w całéj Wielkopolsce 40,274 łanów, czyli średnio na milę kw. 38,3 łany, w 1590 r. było wszystkiego 36,051 łanów czyli średnio na 1 milę kw. 34,2 łany zatem znacznie mniéj.

Powyższe liczby nie zgadzają się dokładnie z liczbami podanemi z tychże samych źródeł, przez autora w T. VIII źródeł dziejowych. Przypada tam na Wielko-Polskę:

w 1569 roku	łanów	34,290
„ 1571 „	„	43,531 (2).

Ogólna ilość łanów w całéj Rzeczypospolitéj wynosiła:

w 1569 roku	łanów	117,179 (3)
„ 1578 „	„	146,289 (4)

w 9 lat powiększyła się o 29,110.

---

(1) Najdawniejsze księgi sądowe. Księga ziemi Czerskiéj 1404—1425, poprzedzona wstępem historycznym, wydał T. ks. L. Warszawa, 1879, str. IV.

(2) Źródła Dziejowe. Tom VIII, str. 151.

(3) Tamże, str. 151.

(4) Tamże, str. 148.

Powiększenie to przypisuje autor rzetelniejszemu w r. 1571 i 1578 oraz w dalszych latach podaniu przez szlachtę liczby włók podległych opodatkowaniu, w części wzrostowi i uprawy, szczególniéj na Podolu i na Rusi, które poprzednio (1567—1576) ciągle były przez Tatarów pustoszone.

Z województw pojedynczych otrzymujemy dla woj. Łęczyckiego z T. VIII, XII i XIII źródeł dziejowych bardzo różne ilości łanów kmiecych, i tak:

w 1569 roku	4,540 łanów	(1)
„ 1571 „	5,611 „	(2)
„ — „	4,990 „	(3)
„ 1576 „	5,155½ „	(4)
„ 1582 „	3,926 „	(5)
„ 1590	4,324 „	(6)

Prócz powyższych ilości łanów kmiecych podaje autor w T. XII na str. 31 i nast. odmienne jeszcze liczby dla woj. brzeskiego, łęczyckiego, poznańskiego i dla ziemi Dobrzyńskiéj i dla szeregu lat. Przy obliczeniach przyjmował autor, że na milę geograficzną wypada 328 włók polskich.

Najwięcéj łanów kmiecych na milę kw. przypada w woj. brzeskiem bo $67,_{3}$; jest to ziemia Kujawska, słynna ze swéj urodzajnéj gleby. Dla tego województwa przyjmuje autor $^1/_5$ część przestrzeni na łany kmiece, tyleż na grunta folwarczne, $^1/_{12}$ część łanów kmiecych zabierały włóki szlachty zagrodowéj, po wliczeniu jeszcze zagród kmiecych, ogrodów zajętych przez kopiarzy, ról miejskich 13 miast, wypadnie $^3/_5$ całéj przestrzeni, jako obszar uprawnéj ziemi w połowie XVI w. Na lasy, pastwiska i nieużytki pozostaje $^2/_5$ części.

Drugie miejsce podług ilości łanów kmiecych przypadających na milę kw. zajmuje woj. łęczyckie, znane również z dobréj gleby, zwłaszcza w tych pasach, które przytykają do ziemi gostyńskiéj. Przypada tam $62,_{7}$ łanów na milę kw. Ostatnie zaś miejsce w szeregu województw i ziem Wielkopolski zajmuje ziemia Wieluńska z $24,_{1}$ łanów na 1 milę kw.

Podając ilość łanów kmiecych w 1590 r. o 4,223 mniejszą niż w 1571 roku tłómaczy autor to zmniejszenie tém, że dużo łanów

---

(1) Źródła Dziejowe. Tom VIII, str. 151.
(2) Tamże, tom VIII, str. 151.
(3) Tamże, tom XII, str. 72.
(4) Tamże, tom XIII, str. 154.
(5) Tamże, tom VIII, str. 153.
(6) Tamże, tom XII, str. 78.

chłopskich w ciągu tego ośmioletniego okresu spustoszało, spustoszałe wcielono do obszarów dworskich, kosztem włók chłopskich powiększano folwarki szlacheckie, przezco zmniejszała się liczba łanów podległych opodatkowaniu.

Dla 1571 roku podaje autor ilość włók posiadanych przez szlachtę zagrodową. Liczby te nie są znaczne. Stosunkowo na milę kw. wypada najwięcéj:

w Wojew. Łęczyckiém	$7_{,7}$	włók
w ziemi Dobrzyńskiéj	$7_{,6}$	„
w Wojew. Brzeskiém	$5_{,1}$	„
„ Sieradzkiém	$1_{,6}$	„
„ Inowrocławskiém	$1_{,3}$	„
„ Kaliskiém	1	„

najmniéj zaś w ziemi Wieluńskiéj, wszystkiego 21 włók przy $50_{,41}$ milach kw. i w woj. Poznańskiem 10 włók przy $293_{,61}$ milach kw.

Porównywając ilość wsi z ilością łanów kmiecych, wypada od 5 do 8 łanów na jednę wieś. Wojew. łęczyckie, będące najludniejsze pod względem osiadłości kmiecéj, jest najpierwszém pod względem liczby miast, wypada bowiem w Łęczyckiém na 1 milę kw. 11 wsi i jedno miasto na $3_{,18}$ mil kw.

Przy obliczaniu ludności kmiecéj napotkał autor na wielkie trudności. Gdyby można było z regestrów poborowych otrzymać ilość rodzin kmiecych, to przyjmując 5 osób na rodzinę możnaby było otrzymać ilość ogólną ludności kmiecéj. I rzeczywiście na mocy uchwały sejmu piotrkowskiego z 1552 r. wzięto za zasadę wybierania podatku nie włókę ale głowę kmiecą i w regestrach z czasów Zygmunta Augusta, wykazywano poszczególe w każdéj wsi ilość ogólną osiadłych kmieci. Ale ze wspomnianego 1552 r. nie dało się odszukać regestrów choćby z jednego większego województwa, tylko dla wojew. łęczyckiego podał autor wykaz łanów z 1576 r. i ilość wsi i kmieci z 1552 r.

Wogóle, zacząwszy od najstarszych regestrów poborowych z drugiéj połowy XV wieku aż do początków XVII w., mieszczą się w nich tylko ogólne liczby łanów kmiecych, które z wyjątkiem jednego lub dwu wypadków, zawsze służyły za jedność podatkową. Ale trudno bardzo określić, ile średnio rodzin lub raczéj głów żywiło się na jednym łanie, albo ile ich na jeden łan przypadało.

Z regestrów ziemi dobrzyńskiéj wypada, że np. w powiecie rypińskim każdy kmieć, niemal bez żadnego wyjątku, posiadał po całéj włóce, czyli po jednym łanie; to samo prawie znajduje się w powiecie lipnowskim. W powiecie dobrzyńskim częściéj ukazują

się kmiecie mający po pół łanka. W innych powiatach Wielkopolski miara pół włóki posiadanéj przez kmiecia jest powszechniejszą, do tego nawet stopnia, że tę miarę jako typową przyjmuje autor dla całéj Wielkopolski. Nam ten stosunek wydaje się nie zupełnie dokładny. Dowodzi tego i przykład przytoczony przez autora dla wojew. łęczyckiego. Województwo to posiadało w 1552 r. 684 wsi i 6,912 kmieci (nie zaś łanów uprawnych kmiecych, jak przez pomyłkę wydrukowano na str. 87, wiersz 24 od góry). Wypada zatém na jednę wieś koło 10 kmieci. Z liczby ogólnéj 5155 $^1/_2$ łanów kmiecych w 1576 r. przypada na jednę wieś 7 $^1/_2$ łanów (nie zaś 5 do 6 łanów) było zatém na jeden łan $1_{,33}$ kmieci, nie zaś po dwóch jak wnosi autor. Jednak autor przyjmuje po dwie rodziny kmiece na jeden łan, a ponieważ na każdą rodzinę przypadać ma średnio 5 głów, zatém dla obliczenia ludności kmiecéj mnoży ilość łanów przez 10. W powyższéj liczbie nie mieści się czeladź kmieca, przeto należy jeszcze ten mnożnik powiększyć.

Dla otrzymania pojęcia o liczebności rodziny kmiecéj, przytacza autor przykłady z *regestru pogłowia*, pochodzącego z drugiéj połowy XVI w. z kilku wsi powiatu pilzeńskiego z Małopolski. W tym regestrze przytoczone są wszystkie osoby, składające rodzinę kmiecą nie wyłączając czeladki.

Z przytoczonych przykładów wynika, podług autora, że czy miara posiadanéj roli jest większą lub mniejszą, stosunek zasiadłéj na niéj ludności kmiecéj nie ulega znacznéj zmianie; wyraża się on bowiem tam, gdzie łany całkowite liczbą 10, gdzie zaś pół-łanki liczbą 11 lub 12. Ponieważ z ksiąg poborowych trudno jest oznaczyć dokładnie miarę posiadanéj przez kmieci ziemi w każdym powiecie po szczególe, przyjmuje zatém autor liczbę 11 jako mnożnik do obliczenia ludności osiadłéj na łanach kmiecych.

Prócz kmieci siedzą jeszcze na rolach kmiecych *zagrodnicy* i *komornicy*. Przez pierwszych rozumiano ludność osiadłą na kilku morgach, przez komorników zaś ludność biedniejszą posiadającą zaledwie kilka zagonów roli. Prócz tego rozróżniano zagrodników z rolą i bezrolnych czyli wymłóckowych i komorników z bydłem i bez bydła.

Podany na str. 93 wykaz zagrodników i komorników, nie jest—wedle samego autora — zbyt dokładny, najprzód dla tego, że liczby nie pochodzą z jednakowych lat, różnica wynosi do dziesięciu lat (1571—1583), powtóre nie wszędzie zachowano jednostajność co do podziału zagrodników i komorników. W wykazie powyższym podane są głowy rodzin bez żon i dzieci, tak zagrodników jak i komorników. Chcąc zatém otrzymać pełną liczbę lud-

ności téj kategoryi wypada podług autora przyjąć za mnożnik liczbę 4, a niekiedy 3. Dla uzasadnienia tych liczb przytacza autor z *regestru pogłowia*, wyżéj już wspomnianego, po kilka przykładów rodzin zagrodniczych i komorniczych.

Z przyczyny złéj korekty, przykłady rodzin komorników na str. 97 są nie zrozumiałe, brzmią bowiem jak następuje:

1) Komornik	1	Tamże u tegoż kmiecia	
Żona	1	Komornica wdowa	1
Razem . .	6	Dzieci	2

2) Komornik z żoną	2
Dzieci	1
Razem	4
3) Komornica w domu	2
Dzieci	2
Razem	4

Zastosowując wspomnione wyżéj obliczenie do województwa łęczyckiego powiada autor, że kiedy na milę kw. przypada tam 34 komorników i zagrodników, to mnożąc tę liczbę przez 4, otrzymamy 144 (powinno być 136 głów) ludności zagrodniczo-komorniczéj na milę kwadratową.

Prócz ludności kmiecéj znajdowali się po wsiach różnego rodzaju *rzemieślnicy*, którzy podlegając opodatkowaniu znacznie wyższemu od podatku gruntowego, osobno są wymienieni w księgach poborowych. Wszystkich tych rzemieślników oraz rybitw, przekupniów itp. dodaje autor razem, uważając ich jako głowy rodzin i mnoży przez 5 dla otrzymania całéj ludności. Przedstawia się tylko trudność co do młynów, wiatraków, karczem, gorzelni i browarów. Autor przypuszcza, że w każdém z tych zabudowań przemysłowych mieści się jeden rzemieślnik: młynarz, karczmarz itp. który razem z rodziną liczy 5 głów. Ponieważ nie zawsze w księgach wymieniona jest ilość młynów tylko podana jest suma wszystkich kół, przeto przyjmuje autor po 3 koła średnio na jeden młyn czyli po 5 tylko głów.

Nakoniec co do liczby *szlachty*, rozróżnia autor szlachtę posiadającą folwarki, których grunta uprawiali kmiecie, i szlachtę co żadnych folwarków nieposiadając, sama orała własny zagon, jest to tak zwana szlachta *zagonowa*, drobna, zaściankowa.

Autor przyjmuje na każdy folwark po 5 głów rodziny szlacheckiéj i 5 do 6 głów czeladzi, liczy zatém średnio 11 głów na każdą wieś, na każdy folwark szlachecki.

Co do szlachty zagrodowéj, autor przyjmuje średnio dwie rodziny na każdy łan, dodając zatem czeladź służebną, należy podług autora mnożyć przez 11 liczbę łanów należących do szlachty zagrodowéj, dla otrzymania pojęcia o liczebności ludności téj kategoryi.

Na str. 108 i nast. znajduje się tablica zbiorowa obliczenia szczegółowego ludności wiejskiéj w województwach Wielkopolskich.

W tablicy powyższéj, dla otrzymania ludności kmiecéj mnoży autor przez 11 ilość łanów kmiecych, przez tęż ilość mnoży autor liczbę wsi dla otrzymania ludności szlachty folwarcznéj wraz z czeladzią, przez tę samą nakoniec liczbę 11 mnoży autor ilość łanów szlachty zagrodowéj dla otrzymania liczebności tejże szlachty. Następnie ilość rzemieślników mnoży autor przez 5 i ilość zagrodników i komorników przez 4. Nakoniec na każdą parafią przyjmuje autor po jednym proboszczu i po 5 osób służby kościelnéj.

Co do parafij uderza nas ilość ich odmienna w tablicy na str. 63 i w tablicy na str. 108 i nast. Liczyło bowiem:

		W wykazie parafij na str. 63.	W tablicy na str. 108.
Województwo Poznańskie	parafij . .	269	260
„ Kaliskie	„ . . .	411	323
„ Inowrocławskie	„ . . .	41	31
„ Brzeskie	„ . . .	67	54
Ziemia Dobrzyńska	„ . . .	61	54
Województwo Łęczyckie	„ . . .	74	49
„ Sieradzkie	„ . . .	127	152
Ziemia Wieluńska	„ . . .	67	
	Razem	1,117	 923
	różnica zatem wynosi.		. 194
			1,117

Prócz tego w tab. na str. 108 znajdują się błędy rachunkowe w obliczeniu ludności tych parafij. I tak w województwie Brzeskiem organistów i służby kościelnéj ma być 54, co pomnożone przez 5 daje 225, powinno zaś być 270; to samo w ziemi Dobrzyńskiéj podano $54 \times 5 = 225$. W województwie Łęczyckiem stoi $49 \times 5 = 225$ zamiast 245. W skutek tych pomyłek rachunkowych podana suma ogólna ludności Wielkopolski 678,528 jest niedokładną.

Dla uzupełnienia ludności Wielkopolski, brak jeszcze *ludności miejskiéj*. Autor niemogąc znaleść żadnych innych źródeł poprze-

staje na obliczeniu wedle wysokości opłaconego podatku *szosu*, przyjmując, że każda złotówka szosu przedstawia około 24 głów ludności (1).

Autor podług téj zasady oblicza ludność miejską ale odmiennie na str. 112 i w tablicy zbiorowéj na str. 117, i tak miało ludności miejskiéj posiadać:

	na str. 112	na str. 117
Województwo Poznańskie . .	63,600	53,000
„ Kaliskie	34.320	28,000
„ Inowrocławskie .	11,300	9,400
„ Brzeskie . . .	10,600	9,200
Ziemia Dobrzyńska	6,000	5,000
Województwo Łęczyckie . . .	15,600	13,200
„ Sieradz. i Wiel. .	29,300	24,400
Razem .	170,720	142.200

Że te różnice nie są małoznaczne, dowodem jest, że podług obliczeń na str. 112 wypada na 1 milę kw. średnio ludności miejskiéj 162 głów, podług zaś tablicy na str. 117 tylko 135 głów, (pomyłkowo tam wypisano 155). Również wypada autorowi na str. 113 na każde miasto średnio 700 głów, kiedy podług materyałów tablicy z str. 117 przypada ledwie 576 głów.

W tablicy na str. 117 znajdujemy ogólne zebranie ludności całéj Wielkopolski. Jestto zatém rezultat ostateczny usiłowań autora nad wynalezieniem stanu ludności Wielkopolski, stąd téż niezmiernie rażą błędy rachunkowe w téj tablicy i niezgodność jéj liczb z przytaczanemi w tekście.

Błędy główne rachunkowe w tablicy są następujące: ludności miejskiéj wypada 142,200 (w tablicy stoi 142,800), ogółem ludności 820.200 (w tablicy 825,800); średnio na 1 milę kw. ludności wiejskiéj 645 (w tablicy 650), ludności miejskiéj 135 (w tablicy 150) i razem 780 (w tablicy 840).

Niezgodność tablicy ze str. 117 z tekstem ujawnia się na str. 118, gdzie podane jest stosunkowe zaludnienie województw; i tak wypada na 1 milę kwadr:

	na str. 118	na str. 117
Województwo Brzeskie	1,270	1,250
„ Łęczyckie	1,270	1,250
Ziemia Dobrzyńska	900	850

(1) Źródła Dziejowe t. VIII str. 154 in.

Województwo	Inowłocławskie .	790	760
„	Kaliskie . . .	750	770
„	Poznańskie. . .	730	700
„	Sieradzkie . . .	700	640

W rzeczywistości obydwa szeregi liczb nie są dokładnie obliczone; weźmiemy np. województwo Łęczyckie. Podług tablicy na str. 109 wypada ludności wiejskiéj na każdą z 79,5 mil. kw. 1,084 głów, dodając do tego ludność miejską podług obliczenia na str. 112—200 głów, otrzymamy razem ludności 1,284 głów dla województwa łęczyckiego.

Dla sprawdzenia liczb otrzymanych wedle sposobów wyżéj wzmiankowanych daje autor zaludnienie Wielkopolski w 1790 r. obliczone przez Moszyńskiego. U tego ostatniego porządek województw i ziem podług zaludnienia stosunkowego był następujący:

Wypadało średnio na milę kw. dusz.

W województwie	Sieradzkiem . . .	1,420
„	Poznańskiem . . .	1,300
„	Kaliskiem	1,300
„	Łęczyckiem . . .	1,000
„	Brzeskiem . . .	565
	(właściwie powinno być) .	800
„	Inowrocławskiém .	515
w Ziemi Dobrzyńskiéj		515
	Średnio	1,000

Sam autor przyznaje, że za wyłączeniem tylko jednego województwa łęczyckiego, najludniejsze ziemie XVI wieku, według jego obliczeń, są najuboższe w ludzi w XVIII w. i odwrotnie najuboższe z XVI w. dochodzą późniéj do najwyższych liczb.

Ponieważ Moszyński dla układania swych tabel korzystał ze współczesnych materyałów skarbowych, przeto porównywając rezultaty otrzymane przez niego z rezultatami autora, przyznać potrzeba, że te ostatnie tracą wiele ze swojéj doniosłości, będąc oparte tylko na przybliżonych obrachunkach (1). Zresztą podług samego autora należy przypuszczać, że albo jego cyfry są za niskie, albo liczby Moszyńskiego za wielkie.

Autor przytacza taryfę urzędową ludności województwa łęczyckiego, sporządzoną w 1789 r., z któréj prawdopodobnie sam Mo-

---

(1) Porównaj: T. Korzona: Wewnętrz. dzieje. Polski za St. Augusta, t. I, str. 79 i nast.

szyński korzystał. W spisie tym podano liczbę dusz tylko dla powiatu łęczyckiego, a dla innych tylko liczbę dymów. Wypada podług tego spisu na jednę milę kwadratową w powiecie łęczyckim ludności:

wiejskiéj	952	dusze
miejskiéj	132	„
Razem	1,085	„

kiedy według obrachunku autora w XVI w. było na milę kwadr.

ludności wiejskiéj	1,084	dusz
„ miejskiéj	200	„
Razem	1,284	„

wprawdzie dla całego województwa łęczyckiego.

Jednak nie tyle nas zastanawia ten upadek ludności w niektórych województwach w XVIII wieku, ile zupełnie odwrotny stosunek zaludnienia województw i ziem podług obliczeń autora dla XVI w., i podług obliczeń Moszyńskiego dla końca XVIII w.

O upadku ziemi łęczyckiéj świadczy podług autora zmniejszona liczba wsi, których było 875 w drugiéj połowie XVI w., i tylko 762 w XVIII w. podług Moszyńskiego.

Zarzut niedokładności co do liczby zaludnienia województwa brzeskiego u Moszyńskiego opiera autor na téj okoliczności, że M. przyjmuje dla województwa brzeskiego 85 mil. kw. rozległości, kiedy podług obliczeń ścisłych autora wypada zaledwie 59,5 mil kw., stąd zamiast 565 powinno być 800 dusz na milę kw.

Przy porównaniu ludności domniemalnéj w drugiéj połowie XVI w., z zaludnieniem przy schyłku XVIII w., spostrzega autor różnicę, uwydatniającą się w mniéj lub więcéj znacznym ubytku ludności. Wniosek ten nie jest zupełnie ścisły, albowiem na całą Wielkopolskę wypadało średnio podług obliczeń autora w XVI w., 780 dusz na 1 milę kwadr., na schyłku XVIII w., podług Moszyńskiego 1,000 dusz, zatem przybyło 220 dusz, chociaż w przeciągu 200 z górą lat.

Ostatni, *trzeci rozdział wstępu* poświęca autor stosunkom własności ziemskiéj (1). Rozpoczynając od *dóbr królewskich*, autor co do szczegółów odsyła do wykazów podskarbstwa nadwornego, ogłoszonych w IX tomie Źródeł Dziejowych. W obecnym rozdziale znajdujemy tylko niektóre szczegóły, odnoszące się do województwa

---

(1) Porównać: Własność ziemska w Wielkopolsce w XVI w. Studyum statystyczne A. Pawińskiego w *Niwie*. Zeszyt 203 z 1 czerwca 1883 r. str. 795 i nast. i Zeszyt 204 z 15 czerwca t. r. str. 870 i nast.

łęczyckiego i inowrocławskiego. W ogólności Wielkoposka nie jest prowincyą wielkich latyfundyów królewskich, jaką była jeszcze wtedy Ruś albo Wołyń lub raczéj Podole. Nadto i sama połowa XVI w. jest epoką dla dóbr królewskich najsmutniejszą. Z dawnych rozległych obszarów pozostały tylko szczątki, reszta poszła w rozsypkę. W XV w. rozproszono dóbr niemało, w następnym również wiele przeszło w ręce prywatne. Pozostały więc tylko, szczególniéj w Wielkopolsce tu i owdzie około pewnych starostw ugrupowane majątki czyli ekonomie stołu królewskiego, rzadko gdzie przedstawiające większe skupienie. Pod względem rozległości dóbr ziemskich królewskich pierwsze miejsce w Wielkopolsce przypadało województwu łęczyckiemu.

Następnie przechodzi autor do *dóbr duchowieństwa.* Podaje on ilość łanów posiadanych przez katedry biskupie, kapituły, opactwa i klasztory i ich stosunek do ogólnéj liczby łanów kmiecych. Największy procent dóbr duchownych czyli raczej łanów kmiecych posiadanych przez duchowieństwo, przypada w województwie Łęczyckiem, najmniejszy w województwie Poznańskiem. Do najbogatszych klasztorów należał trzemeszyński kanoników regularnych o 200 niemal włókach chłopskich, które równały się posiadłościom biskupa poznańskiego. Drugiem było opactwo cysterskie w Bledzewie.

Przechodząc do *dóbr szlachty folwarcznéj*, zaświadcza autor, że w Wielkopolsce przeważała własność drobna, mniejsza, rozstrzelona i nie masz prawie skupienia wielkich obszarów ziemi w ręku pewnych rodzin. Wyjątkowo tylko tu i owdzie znaczniejsze spotykają się folwarki, skupione w ręku jednego właściciela. W województwie Poznańskiem i Kaliskiem do rodzin dygnitarskich należeli: Górkowie, Ostrorogowie, Czarnkowscy i Leszczyńscy.

Charakterystyczną zatem cechę własności szlacheckiéj w Wielkopolsce stanowi z jednéj strony brak wielkiego skupienia majątków ziemskich w rękach pojedyńczych posiadaczy, a z drugiéj przewaga własności mniejszéj, drobnéj. Co wieś to szlachcic, co wieś to szlacheckie gniazdo, to szlachecka rodzina i posiadanie wiejskiéj czyli ziemskiéj własności stanowiło główne źródło dobrobytu szlachty polskiéj. Typem była wieś o 7 włókach kmiecych czyli pańszczyznianych.

Prócz szlachty jedno-wioskowéj była jeszcze *szlachta drobno-folwarczna.* Spotykały się wsi gdzie trzech lub czterech siedziało właścicieli, jeden większy miał ośmiu, dziewięciu i t. d. chłopów pańszczyznianych, a inni posiadali zaledwie pół łanka obsadzonego kmieciem i obok swój mały folwarczek czy swoją zagrodę. Nie

trzeba ich brać zajed no ze szlachtą zagrodową, która kmieci nie miała zupełnie i siedziała tylko na swoich nie wielkich zagonach. W stosunku do ogółu jednowioskowéj szlachty stanowili ci drobni folwarczni posiadacze prawie jednę czwartą część we wszystkich województwach Wielkopolski.

Biorąc ogółem w Wielkopolsce, oprócz dóbr królewskich i duchownych, wielkich własności nie było. Między szlachtą zaś możnowładcze rody, bardzo zresztą nieliczne, posiadały względnie niewielkie obszary ziemi. Przeważną część własności ziemskiéj dzierżało w swym ręku rycerstwo czyli szlachta jedno-wioskowa. Jednowioskowa posiadłość była typową w Wielkopolsce formą. W stosunku zaś jednéj czwartéj do ogółu jedno-wioskowych właścicieli władała drobniejszą jeszcze własnością mało-folwarczna szlachta, skupiona nieraz w liczbie dwóch, trzech, czterech lub niekiedy pięciu właścicieli jednéj wsi o kilku lub kilkunastu włókach pańszczyznianych.

Przechodząc do *zagród szlachty cząstkowéj* konstatuje autor, że wykazy poborowe rzucają nader ciekawe światło na stosunki społeczne i ekonomiczne tych drobnych właścicieli ziemskich, którzy kmieci nie posiadali i tylko sami własnym nakładem, własną pracą uprawiali swe niewielkie osady czyli zagrody albo części. Autor po zebraniu i ogłoszeniu całego materyału w tym sposobie, jak to względem Wielkopolski uczynił, przyrzeka ułożyć nietylko tablicę statystyczną zaludnienia każdego powiatu przez szlachtę zagrodową, ale także przedstawić mapę całkowitą geograficzną rozszerzenia się i rozlania na dalekiéj przestrzeni Rzplitej tego ważnego żywiołu społeczności polskiéj. Tym sposobem rozjaśni się całe życie, początek i kolejny rozwój téj tak ważnéj w naszéj społeczności warstwy, tego tak charakterystycznego żywiołu społecznego.

Autor podaje liczby zagród szlacheckich z r. 1571. Wypada w Wielkopolsce w ogólności 2052 łany szlachty zagrodowéj, czyli 2 łany średnio na milę kwadr. Podług województw stosunkowo najwięcéj łanów na milę kwadr. przypada w województwie Łęczyckiem ($7_{,7}$ łanów na milę kw.), następnie w ziemi Dobrzyńskiéj ($7_{,6}$) i w województwie Brzeskiem ($5_{,4}$). One to stanowią główne ognisko szlachty szaraczkowéj. Podług powiatów bezwzględnie najwięcéj włók bezkmieciowéj szlachty posiada powiat przedecki w województwie Brzeskiem, następnie orłowski, dobrzyński, rypiński i t. d.

Położenie materyalne téj szlachty charakteryzuje autor w sposób następujący:

W wielu razach materyalne położenie zagrodowca uprzywilejowanego pod względem polityczno-społecznym, było gorsze i smu-

tniejsze od stanu zwykłego chłopa. Wprawdzie szlachcic cząstkowy nie płacił nikomu czynszu, nie odrabiał pańszczyzny, jak to kmieć był zobowiązany czynić, miał przeto całkowicie na swoje wyżywienie dochód ze swojéj zagrody, ale zobowiązany do służby wojskowéj, rycerskiéj, społecznie postawiony wyżéj od chłopa, mógłże opędzić z téj zagrody potrzeby pewnego, choćby najzwyczajniejszego uzbrojenia oraz przyodziania.

O *łanach wójtowskich* czyli *soleckich* powiada autor, że epokę ich świetności i rozwoju stanowi wiek XIV i XV, kiedy się tworzyły osady na prawie niemieckiem i kiedy w każdéj wsi bądź przechodzącéj z prawa polskiego na magdeburskie, bądź świeżo wyrastającéj „z nowego korzenia“ ustanawiano wójta czyli urządzano sołectwo. Dawano wtedy wójtowi na dziedziczną własność większą lub mniejszą miarę ziemi, od łana jednego do pięciu i dziesięciu, wraz z wielu innemi prawami, przywilejami i wolnościami, z zastrzeżeniem pewnych powinności na rzecz właściciela zwierzchniego czyli pana dominialnego.

Ale w drugiéj połowie XV wieku powstała dążność, która się jeszcze więcéj wzmocniła w XVI wieku, a zmierzała ku ograniczeniu tych szerokich podstaw samorządu, jakie zaprowadziło prawo niemieckie. Walną zawadą w rozwinięciu się wszechstronném téj dążności były sołectwa. Żeby ją więc dla skuteczniejszego zburzenia dawnego porządku usunąć, skupowano grunta wójtostw lub sołectw i wcielano je do folwarków.

Autor nie podaje szczegółów dotyczących sołectw we wszystkich województwach, ale poprzestaje na województwach sieradzkiem i Brzeskiem. W pierwszém wypada średnio siedm do ośmiu wsi na jedno sołectwo, w województwie Brzeskiem przypada średnio jedno sołectwo na dziesięć wsi, zatem mniéj niż w województwie Sieradzkiem.

Następnie podaje autor krótką wzmiankę o *łanach karczmarskich*, *młynarskich* i łanach wolnych osadników jak również o *zagrodach i osadach kmiecych*. Byli bowiem czynszownicy-kmiecie, którzy brali w dzierżawę za umówioną opłatą czynszową łany albo t. zw. *dezerty*. Dezerty powstawały coraz częściéj w XVI w. z powodu przenoszenia się kmieci jawnie lub pokryjomu w inne dalsze strony rzeczypospolitéj. Powstawały także z powodu zgorzenia do szczętu całéj osady, któréj dziedzic nie mógł dla braku środków odbudować i dać jéj załogi. Takie pustkowia brali w dzierżawę kmiecie, korzystając z nich niekiedy, jak się korzysta z ugorów.

Zastanawiając się nad *dobrami i włókami miejskiemi*, przypomina autor, że konstytucya z r. 1496 zabroniła mieszczanom nabywać

jakiekolwiek dobra, folwarki podlegające prawu ziemskiemu, posiadane zaś polecała sprzedać w ciągu pewnego czasu. Jednak tylko pierwsza część uchwały, zabraniającéj nabywanie dóbr ziemskich, uprzywilejowanych, szlacheckich, była wprowadzona w życie z całą surowością.

W drugiéj połowie XVI w. liczyła Wielkopolska 247 miast i miasteczek, autor przypuszcza, że ilość posiadanych przez nie łanów wynosiła od 3,000 do 3,500, czyli w stosunku do 1051 mil kwadr. wypadałoby 3 łany miejskie na jednę milę kw., w stosunku zaś do ogółu łanów kmiecych własność miejska stanowiłaby zaledwie $^{1}/_{13}$ czyli 0,07.

Kończy autor rozdział uwagami i wnioskami ogólnemi, z których niektóre podajemy w streszczeniu.

W XV w. przeważają gospodarstwa kmiece pod względem rozległości uprawianego obszaru. We wsi dziedzicznego szlachcica jest 15, 20 lub 30 łanów, z których kmiecie czynsz płacą, dają daniny na rzecz folwarku pańskiego niewielkiego, obejmującego od 2 do 6 włók i uprawianego sprzężajem dworskim. W drugiéj połowie XVI w. ten sam dziedzic powiększył swój folwark o kilkanaście włók, które albo wykarczował z lasu, albo z nieużytków na ziemię orną zamienił, albo, co się działo najczęściéj, spędził chłopów, odebrał im grunta, a na pozostałych włożył obowiązek pańszczyzniany uprawiania wszystkich gruntów folwarcznych, zarówno dawniejszych jak i nowo wcielonych do obszaru dworskiego. Już bardzo wcześnie wytworzył się taki stosunek, że grunta dworskie wynosiły niemal połowę tego, co posiadali kmiecie czyli chłopi. Ich czworo lub pięciodniowa na tydzień pańszczyzna wystarczała dla uprawy ziemi — w równéj mierze — na rzecz folwarku szlacheckiego.

W XVI w. najliczniejsza część społeczeństwa zakutą została w twarde formy średniowiecznego poddaństwa, odsądzono ją od prawa dojścia do jakiejkolwiek własności; odgrodzona od drugiéj części, pozbawioną została możności zasilenia jéj swojemi żywiołami; a znów drugi odłam nie tyle liczny, owszem liczebnie nie wielki, wzrastał coraz gwałtowniéj w moc i potęgę polityczną i coraz więcéj nabierał odrębności.

W tym rozwoju dziejowym nie ma nic nadzwyczajnego, na téj drodze wyprzedziły Polskę całe wieki średnie na zachodzie Europy. Tam znacznie wcześniéj i w sposób nierównież dotkliwszy rozwinęło się takie wyłączne panowanie własności ziemskiéj w granicach klasy uprzywilejowanéj pod względem politycznym i społecznym.

W Wielkopolsce XVI wieku uwydatnia się drobniejsza własność wioskowa, nadająca całéj społeczności szlacheckiéj charakter demokratyczny. Za typ uważać można wioskę o 16 chłopach pańszczyznianych, zajmujących od 7 do 10 włók, co dodane do gruntów folwarcznych uczyni posiadłość od 15 do 20 włók mającą. Wypada więc, że prawie w każdéj wsi siedział oddzielny właściciel na obszarze, który wystarczał najzupełniéj do wygodnego utrzymania całéj rodziny szlacheckiéj.

W szeregach szlachty zagonowéj była tylko bardzo niewielka liczba takich, którzy mając po jednéj włóce lub trochę więcéj albo mniéj, mogli się utrzymać z uprawy rolnéj swéj niewielkiéj zagrody. Wskutek wydarzających się nieurodzajów, wojen lub innych klęsk, wytwarzał się z tych pierwiastków proletaryat, który w gospodarstwie społeczném szedł albo na marne lub stawał się nawet dotkliwym ciężarem. Politycznie wyniesiony wyżéj po nad chłopa, materyalnie nieraz gorzéj uposażony, stawał się biedny szlachcic zagrodowy prawdziwą anomalią społeczną.

Przedstawiliśmy czytelnikom główne wyniki wydawnictwa rozpoczętego w celu poznajomienia szerszego koła badaczy z bardzo ważnym materyałem urzędowym, zachowanym w archiwach skarbowych i zaledwie w małéj cząsteczce zużytkowanym przez badaczy historycznych. Sprawiedliwie utrzymuje autor, że obecnie rozpoczęte wydanie tych źródeł dziejowych rzuci nowe światło na dzieje Polski w XVI w., da poznać jéj stan polityczny, materyalny i społeczny w tym czasie i przyczyni się niemało do wyświecenia wielu faktów dziejowych. Wdzięczność się należy za niepożałowanie takiego nakładu pracy, czasu i pieniędzy, albowiem rozprzedaż dzieła nie zwróci i dziesiątéj części kosztów.

Wobec ogromu pracy i środków materyalnych, poświęconych wydawnictwu, przykre robi wrażenia wielka ilość pomyłek rachunkowych i pomyłek druku w samym wstępie, mianowicie w tablicach zbiorowych, niezgadzających się z tekstem. Na niektóre z tych różnic i usterek zwracaliśmy już uwagę, a dla dokładności przytoczymy jeszcze kilka.

Tak np. opisuje autor z jaką pracą mozolną i we trzech obliczał rozległość pojedyńczych powiatów i województw i otrzymał dla całéj Wielkopolski 1051,60 mil kw. (patrz tab. na str. 49). Tymczasem w tablicy zbiorowéj na str. 117 podano rozległość ogólną tylko 1051 mil, dodawszy zaś wszystkie województwa i ziemie otrzymamy 1053 mil kw. Wprawdzie różnica ta nie jest znaczną, ale psuje dokładność rachunków i obliczenie średnich dla ludności na 1 milę kw.

Daléj ludność Wielkopolski podana jest na 850 tysięcy na str. 113, w tablicy na str. 117—825,800, albo dodawszy kolumnę wypadnie jeszcze mniéj bo 820,200.

Podobnie ludność ogólna wiejska, podana na 170 do 180 tysięcy na str. 113, na str. 117 zaś wypada tylko 142,800 (dokładniéj 142,200).

Najczęściéj przytacza autor województwo łęczyckie, jako przedstawiające najlepszy materyał. U dołu str. 103 podaje autor przykład obliczenia ludności, zastosowany do tegoż województwa, ale zamiast brać liczby z poprzednich wykazów odnoszące się do tego województwa, bierze do rachunku liczby województwa brzeskiego, i tak zamiast: 62,7 łanów bierze 67; zamiast: 34 osadników, bierze 28, zamiast: 62,7 łanów kmiecych dla obliczenia głów rzemieślników, bierze liczbę 67, stąd zamiast otrzymać na milę kw. 888, otrzymuje 919—929 głów. Ostatnią liczbę pomyłkową bierze następnie autor dla dalszego obliczania na początku str. 106. Tutaj znowu przytacza autor, że województwo łęczyckie posiada około 810 wsi folwarcznych, kiedy w wykazie na str. 63 podano 875. Otrzymawszy w ten sposób 1029—1039 głów ludności wiejskiéj wszelkiego rodzaju i gatunku, z wyjątkiem szlachty zagrodowéj, na 1 milę kwadratową, i dodawszy dla ścisłości po kilka głów na milę dla księży parafialnych i służby kościelnéj, dochodzi autor do liczby ogólnéj 990 głów na milę kw. (?). Podobnie nie dokładny jest dalszy rachunek na str. 107. Zastanawia również coraz inna liczba parafij wiejskich w województwie łęczyckiem. Na str. 63 podano 74 parafii, na str. 106 — 65 i w wykazie na str. 106 — 49 parafij. Taka chwiejność liczb osłabia ogromnie zaufanie w dokładność robionych obliczeń.

Wskazaliśmy już wyżéj jak z powodu wadliwéj korekty, ostatni okres na str. 87 jest zupełnie niezrozumiały, zamiast bowiem wydrukować „a liczba kmieci 6,912“ wydrukowano „a liczba łanów uprawnych kmiecych 6,912;“ zwróciliśmy także uwagę na niezrozumiałość przykładów na str. 97 o ludności w chacie kmiecia wielkorolnego we wsi Wysokiéj.

Podobnie przytoczyć można ostatni ustęp na str. 163, w którym raz podano liczbę miast w Wielkopolsce 280, następnie kilka wierszy niżéj 250, kiedy w wykazie na str. 63 wyliczonych jest 247. Mamy nadzieję, że w dalszych tomach tego tak ważnego wydawnictwa korekta będzie staranniejszą, zapobieży się niezgodnościom pomiędzy tekstem i tablicami zbiorowemi, i z różnych liczb będą przyjęte za zasadę do obrachunku jedne i te same i najprawdopodobniejsze.

Prócz tego bardzo byłoby do życzenia, żeby wydane zostały mapy szczegółowe województw i powiatów, z oznaczeniem wszystkich wspominanych w regestrach skarbowych miejscowości. Wtedy tylko da się dokładnie porównać każda ziemia i województwo w połowie XVI w. z położeniem jego późniejszém albo nawet i obecném. Spis alfabetyczny miejscowości na końcu tomów nie jest wstanie zastąpić dokładnéj mapy geograficznéj.

Nakoniec życzylibyśmy, żeby treść tomów była dokładnie podaną, tak np. w treści tomu 2-go opuszczono znajdujący się na str. 112—120 regestr miast i miasteczek województwa łęczyckiego z 1576 r. i nie wymieniono co się znajduje na str. 154—166, a mianowicie: Sumaryusz łanów tegoż województwa z 1576 r., spis wsi i kmieci z 1552 r., i wykaz sumaryczny podatków powiatu łęczyckiego z 1578 r.

Witold Załęski.

Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI
nadesłane do redakcyi „Ateneum“
w ciągu m. Sierpnia 1883 r.

---

1. *Estreicher.* **Bibliografija** XV-XVII w. Ogólnego zbioru tom VIII, str. 455, XIV i CXXXV, Kraków 1882.
2. **Wypisy Polskie** ułożył *Antoni Bądzkiewicz.* Część niższa. Warszawa, u L. Polaka, 1883. str. III, 354. 51.
3. **Wskazówki-pielęgnowania Dzieci** w pierwszym roku życia, opracował Dr. *I. Polak.* Warszawa, u T. Paprockiego. 1883, w 16 str. 20.
4. **Książeczki dziesięciogroszowe**: 2. Historya Michałka Ryby, który z biednego chłopca wyszedł na doktora—napisał *Bronisław Rysiński.* Warszawa, Lesman i Swiszczowski, 1883 — str. 32.
5. **Vzpominka na Boleslava Jabłońského**—posledni navrat do vlasti podává *Edvard Jelinek.*—Praha. 1881.
6. **Prałaci i Kanonicy** katedry metropolitalnéj gnieźnieńskiej od r. 1000 aż do dni naszych. Opracował Ks. *Jan Korytkowski.* Zeszyty XXI i XXII. Gniezno, nakładem J. B. Langiego. 1883.
7. **Ueber die Bedeutung der Praktischen Ideen Herbart's** für die allgemeine Aesthetik v. Dr. *O. Hostinsky.* Praga 1883.
8. **O prawach kobiety** wedle ustaw u nas obowiązujących p. *Romana Wierzchlejskiego.*
9. **Proces Tisza-Eslarski** — według stenogramów urzędowych i sprawozdań .ułożył *S. P.* Warszawa, nakład redakcyi „Izraelity“ 1883. 8-o str. 100.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi w roku 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 19 Августа 1883 г.